

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 11/37

1950



• *«La Culture» • Revue mensuelle* •

J. M. BOCHENSKI O.P. — Encyklika «*Humani generis*» ★
A. GROBICKI — Emigracja polska i Legia Cudzoziemska ★
J. CZAPSKI — «Dzwonki» ♦ W. IWANIUK — Dziennik z podróży i wiersze o wojnie ♦ *STRATY KULTURY POLSKIEJ* ♦
KRONIKA KULTURALNA ♦ R. WRAGA — Korea ♦
W. A. ZBYSZEWSKI — Polonia francuska ♦ W. ZALESKI —
Organizacja czy zbiórka? ♦ W. SUKIENNICKI — Z ziemi nie-
ludzkiej — relacje obcych i swoich.

SPIS RZECZY

Józef Białasiewicz:	<i>Młode Polki w Chicago</i>	3
I. M. Bocheński O. P.:	<i>Encyklika «Humani generis»</i> ..	6
Aleksander Grobicki:	<i>Emigracja polska i francuska Legia Cudzoziemska 1832/36</i> ..	12

NOTATKI AMERYKAŃSKIE

Józef Czapski:	<i>«Dzwonki»</i>	37
----------------	------------------------	----

ARKUSZE POETYCKIE

Wacław Iwaniuk:	<i>Dziennik z podróży tropikalnej i wiersze o wojnie</i>	45
-----------------	--	----

STRATY KULTURY POLSKIEJ

Aleksander Korczyński:	<i>Edward Cros</i>	59
------------------------	--------------------------	----

KRONIKA KULTURALNA

Edouard Roditi:	<i>«List z diaspory»</i>	66
-----------------	--------------------------------	----

SPRAWY KRAJOWE

Józef Łobodowski:	<i>Sytuacja w kraju poprzez korespondencję</i>	71
-------------------	--	----

ARCHIWUM POLITYCZNE

Wojciech Zaleski:	<i>Organizacja czy zbiórka?</i>	82
Juliusz Mieroszewski:	<i>List z Wyspy</i>	88
Zygmunt Nagórski, jr.:	<i>Którędy droga?</i>	95

SPRAWY SOWIECKIE

Ryszard Wraga:	<i>Korea (II.)</i>	104
----------------	--------------------------	-----

SPRAWY I TROSKI

W. A. Zbyszewski:	<i>Polonia francuska</i>	109
-------------------	--------------------------------	-----

KRONIKA EMIGRACYJNA

J. B.:	<i>Niemcy</i>	118
--------	---------------------	-----

KSIAŻKI

Wiktor Sukiennicki:	<i>Z ziemi nieludzkiej — relacje obcych i swoich</i>	121
—	<i>LISTY DO REDAKCJI</i> ..	158

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Listopad — Novembre 1950

*Numer poświęcony
Legionowi Młodych Polek*

w Chicago, Ill. U.S.A.

INSTYTUT



LITERACKI

Do naszych Czytelników w Szwajcarii,

W dniu 21 września rb. federalny Urząd prokuratorski w Bernie wezwał naszego przedstawiciela na Szwajcarię i zakomunikował mu, że egzemplarze „Kultury” przystane na jego adres zostały skonfiskowane na poczcie. Następnie oświadczone mu, że rozpowszechnianie naszego pisma w jakiegokolwiek formie i nawet posiadanie go w ilości przekraczającej jeden egzemplarz — o ile zajmuje się tym emigrant — będzie uważane za zakazaną działalność polityczną. Czytanie natomiast i abonowanie „Kultury” jest emigrantom dozwolone.

Ogółem konfiskacie uległy dwie przesyłki, łącznie 31 egzemplarzy. Jest to pierwsza znana nam urzędowo konfiskata naszego pisma. Z ubolewaniem stwierdzamy, że nastąpiła w Szwajcarii, którą przywykliśmy uważać za kraj wolności.

Wobec powyższego stanowiska władz szwajcarskich nie będziemy mogli zwracać się do naszych czytelników w Szwajcarii inaczej jak na łamach naszego pisma. W sprawach dotyczących administracji prosimy więc o kierowanie korespondencji do siedziby naszego wydawnictwa w Maisons-Laffitte; przedpłatę natomiast prosimy wpłacać pod dawnym adresem.

Zwracamy się też do naszych czytelników z apelem, aby zechcieli wziąć na siebie część obowiązków naszego przedstawiciela i zjednać nam nowych abonentów. Niespodziane trudności, z jakimi „Kultura” spotkała się w Szwajcarii, są dowodem, że abonowanie naszego pisma nie jest tylko kontraktem kupna-sprzedaży, ale także formą walki o wolność kultury, o nasze prawo do niezależnego słowa.

REDAKCJA.

Ponieważ druk Bibliografii Polonistów Niemieckich, opracowanych przez p. J. Kowalika, przeciąga się niezmiernie z powodu nawału aktualnego materiału, pragnąc zaś jak najszybciej udostępnić ją czytelnikom, Redakcja zdecydowała się wydać Bibliografię w osobnej broszurze.

Broszura ukaze się w ciągu listopada 1950 i będzie do nabycia w administracji «Kultury» (1, Av. Corneille, Maisons-Laffitte, S. et O.) w cenie 150 fr.

IMPRIME EN FRANCE.

Imprimerie de la S.N.I.E., 32, rue de Ménilmontant — Paris (20)

Młode Polki w Chicago

Na szybach kilku wielkich okien pierwszego piętra gmachu przy 1507 W. Division Street w Chicago widnieje napis w jęz. polskim i angielskim:

Legion Młodych Polek
Legion of Young Polish Women

W okresie jesieni ub. roku, gdy na teren Chicago zjeżdżały coraz liczniejsze grupy nowych emigrantów, wysiedleńców z Niemiec i Austrii, wielu z nich błędziło po ulicach polskiej dzielnicy miasta, szukając siedziby Legionu. Organizacja ta bowiem podjęła wówczas jakże sympatyczną i jakże pożyteczną zarazem inicjatywę organizowania niedzielnych „herbatek” zapoznawczych. W miłej atmosferze zebrań towarzyskich, gdy na dworze zapadał mrok i ponad miastem włóczyła się jesienna plucha, a w przytulnym lokalu Legionu płonące świece i melodie taneczne stwarzały nastrój rozrzewnienia, patrzyliśmy, my nowi, na jedno ze środowisk polonijnych, starając się urobić sobie pogląd w tak ważnej dla każdego z nas sprawie: jak też ułożą się stosunki nowoprzybyłych z Amerykanami polskiego pochodzenia. Patrzyliśmy szeroko otwartymi oczyma ludzi, rzuconych losem w inny całkiem świat, którzy coś tam wiedzieli o Polonii w Stanach Zjedn., a obecnie chcieliby skontrolować swoje wiadomości i poglądy.

Atmosfera tych zebrań niedzielnych, początkowo raczej sztyw-
na i oficjalna, zmieniała się z każdym tygodniem w miarę, jak poznawaliśmy środowisko LMP oraz w miarę, jak ono nas poznawało. Czas systematycznie obalał usprawiedliwioną w tego rodzaju sytuacjach wzajemną rezerwę czy nawet nieufność, siedziba Legionu pozyskała wśród nowoprzybyłych bardzo wielu stałych bywalców.

Lecz nie tylko tańczące „herbatki” przyczyniły się do jak najlepszego ułożenia stosunków pomiędzy nową emigracją a Legionem Młodych Polek. Niedzielne spotkania towarzyskie były płaszczyzną zetknięcia się tych dwóch tak różnych przecie środowisk, które mogły jednak przy tej okazji poznać się wzajemnie pod względem zapatrywań, zainteresowań i dążeń. Ileż to było pogawędek i dyskusji przy przysłowiowej „pół czarnej”, ileż namiętnych sporów, ba — czasami nawet zacietrzewienia,

gdy ten czy ów pośród nas wydawał zbyt pośpiesznie sądy o starej Polonii. Ale pożyteczny był to okres pierwszych poszukiwań współzycia. Dziś można już powiedzieć bez cienia przesyady, że stosunki nowej emigracji w Chicago z LMP są bodajże klasycznym przykładem poprawności na tle całokształtu stosunków nowych ze starymi w tym mieście-olbrzymie, będącym siedzibą centrów dyspozycyjnych naczelnych organizacji polonijnych. Może jest to wynikiem bezinteresowności ze strony Legionu, może jest to potwierdzenie tezy o wspólnocie duchowej pokoleń. Ale na pewno jest to sprawdzian, zaprzeczający kołtuńskim podejrzeniom o "separowaniu się" nowoprzybyłych od Polonii.

Jednak przyznać się trzeba szczerze, że nic nie wiedzieliśmy o ideowych i organizacyjnych osiągnięciach LMP. Warto więc, w krótkiej chociaż nocie informacyjnej, przedstawić organizację Amerykanek polskiego pochodzenia, która na terenie Chicago okazała tyle serca i zrozumienia w sprawie nowoprzybyłych.

Już data założenia tej organizacji ma wiele wymowy symbolu: Legion powstał 2 września 1939 r., w dzień po napadzie Rzeszy na Polskę. Na wieść o wybuchu wojny blisko sto młodych Amerykanek polskiego pochodzenia postanowiło podjąć prace na rzecz niesienia pomocy ofiarom kataklizmu, jaki nawiedził Polskę. Kierowały nimi takie same myśli i czujące serca, jakie kierowały Amerykankami polskiego pochodzenia w latach pierwszej wojny światowej, śpieszącymi z wydatną pomocą moralną i materialną Polakom walczącym o wolność. Odżyły więc piękne tradycje ofiarności kobiecej z lat 1914-18, aby ponownie świadczyć o potęgę wspólnoty krwi.

Lata drugiej wojny światowej wykazały też najlepiej, jak pożyteczną dla narodu polskiego była działalność LMP, zarówno w zakresie zbierania funduszy, jak i w dziedzinie propagowania słuszności sprawy, za którą walczył i cierpiał daleki kraj nadwiślański. Na utworzony wówczas w USA "Fundusz Ratunkowy Polonii" Legion wpłacił blisko 14. tys. dolarów, zebranych przy okazji organizowanych imprez. Koncerty, obchody polskich rocznic narodowych, imprezy świąteczne i okolicznościowe, bale i wieczorki — oto sposoby uzyskiwania środków finansowych przez członkinie LMP w ich opromienionej entuzjazmem młodości działalności na rzecz często całkiem im nieznanego kraju ojców i dziadów. Prowadzone przez Legion księgi kasowe oraz "Kronika" organizacyjna są wspaniałymi dokumentami prac zespołów kobiecych, które nie pozostały obojętne wobec losów Polski i jej żołnierzy, walczących na wszystkich frontach świata. Dotacje Legionu Młodych Polek w Chicago wspierały każdy polski cel. Oprócz wpłat na F. R. P., Legion ofiarował znaczne sumy na inne potrzeby i wykaz tych dowodów czujących serc jest obszerny i długi, więc wymieńmy tylko ważniejsze. Sp. Prezydent Wł. Raczkiewicz, przebywając jeszcze na terenie Francji, otrzymał dotację 3.000 dol., na ambulans Czerwonego Krzyża

przekazano 2.950 dol., na szpital im. I. Paderewskiego — 2.200 dol., prawie 10.000 dol. pochłonęła akcja wysyłki paczek dla polskich jeńców wojennych w Niemczech, uchodźców na Fili-pinach, w Indiach i w Meksyku. Udzielono też pomocy materialnej Urszulankom w Warszawie, Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Yorku, polskiemu harcerstwu w Iranie, polskiej YMCA w Warszawie pod kierownictwem nieodżałowanej pamięci amerykańskiego przyjaciela Polski, Pawła Supera, a wreszcie sumą 2.850 dol. zasilono fundusz na rzecz sprowadzania polskich DP. Ogólnie biorąc, przeszło 45 tys. dol. przekazał LMP na cele i potrzeby polskie.

Nader ważne znaczenie dla propagandy sprawy polskiej miały różnego typu imprezy, organizowane staraniem LMP.

Niektóre imprezy LMP, zapoczątkowane przed dziesięciu czy jedenastu laty, stały się częścią składową życia polonijnego w Chicago i do dzisiaj stanowią jakby jego tradycję. "Bal Biało-Amarantowy" (pierwszy w r. 1940) odbywa się odtąd corocznie, gromadząc w najwspanialszych salach hotelowych w Chicago tysiące osób i będąc reprezentacyjnym balem Polonii. Jesienne "Andrzejki" są również do dziś stałym elementem żelaznego repertuaru polonijnych imprez w Chicago. Słowem dzielna organizacja kobieca, podejmując działalność w chwili wybuchu wojny 1939 r., wniosła trwałe wartości do życia polonijnego w Chicago oraz przyczyniła się do jego upiększenia i wzbogacenia. Dwie grube księgi wycinków prasowych z pism w jęz. polskim i angielskim oraz liczne fotografie z uroczystości i imprez stanowią historyczne już dokumenty zasług zespołów kobiecych, które w ciągu tych lat jedenastu przewinięły się przez szeregi Legionu Młodych Polek, kierowane przez kolejne prezeski: Adelinę Preyss, Helenę Skubikowską, Eleonorę Bochnik, Henrykę Grajewską. Obecnie prezeską jest ponownie Helena Skubikowska.

W ostatnim roku organizacja znowu nabrała rumieńców życia. Poza wyżej wymienionymi imprezami, Legion może zapisać w kronice swojej działalności dwa piękne momenty: ufundowanie sztandaru Koła AK w Chicago oraz ofiarowanie poważnej sumy 2.600 dolarów na polskie cele: na Tow. Przyjaciół Dzieci i Młodzieży oraz Koło Opieki nad Żołnierzem Polskim w Londynie i, obecnie, ufundowanie numeru naszego miesięcznika. Wydaje się, że ten kierunek zainteresowań Legionu w chwili obecnej jakby wyznacza charakter działania organizacji na najbliższą przyszłość, a nie jest tylko przypadkowym gestem pod adresem nowej emigracji polskiej. Czyż mogą być piękniejsze i lepsze cele dla tych, którzy chcą nieść pomoc narodowi polskiemu, jak ratowanie istnień ludzkich i ratowanie polskiej kultury w czasie, gdy zginęły miliony Polaków, a nieprzemijające wartości kulturalne naszego narodu mogą być pielęgnowane i rozwijane jedynie w wolnym świecie.

Encyklika «*Humani generis*»

Pisząc na łamach „Kultury”, której czytelnicy znają w znakomitej większości Kościół katolicki tylko od zewnątrz i to z drugiej zazwyczaj ręki, napotykam na wielką trudność w komentowaniu encykliki Pius XII z 12 sierpnia br. „O pewnych błędach zagrażających podstawom nauki katolickiej”. Trudność polega mianowicie na tym, że encyklika nie zawiera — poza kilkoma szczegółami małej stosunkowo wagi (jak np. dozwole niem wolnej dyskusji o pochodzeniu człowieka od zwierzęcia) — niczego, co by nie należało do samej istoty katolicyzmu, albo nie wynikało z niej bezpośrednio. Kto Kościół zna, będzie więc całkiem inaczej patrzył na nią niż ten, kto np. myśli że religia katolicka polega na pewnych „uczuciach religijnych” itp. jak to się wśród polskiej inteligencji tak często zdarza. Na takim czytelniku encyklika „*Humani generis*” musi wywrzeć wrażenie czegoś rewolucyjnego, obcego. Wyda mu się wielkim wstrząsem, podobnie jak za taki wstrząs i rewolucję uznali niegdyś niepo informowani świadkowie ogłoszenie dogmatu o nieomyślności papieża — choć każdy, kto myśl katolicką znał, wiedział doskonale, że przynajmniej od XIII wieku teza o nieomyślności żadnej poważnej dyskusji w obrębie Kościoła podlegać nie mogła.

Wydało się zatem potrzebne zacząć od przypomnienia kilku istotnych cech katolicyzmu, tych mianowicie, które encyklika precyzuje; będziemy mogli następnie przejść do krótkiego omówienia jej treści, tła historycznego i znaczenia, zarówno z ogólnego jak i z polskiego stanowiska.

I.

Istotną cechą katolicyzmu jest przede wszystkim absolutyzm. Nic nie jest Kościołowi bardziej obce jak relatywizm i kompromisowość w dziedzinie wiary. Polityka może naginać się do okoliczności, formy administracyjne, a nawet ryt i zewnętrzna postać życia religijnego mogą ulegać wpływom zewnętrznym, ale nie wiara Kościoła. Pod tym względem Kościół katolicki był, jest i będzie zawsze, dopóki pozostanie sobą, skrajnie nietolerancyjny. Tolerancja może być w nim stosowana do ludzi i instytucji; ale mostów między swoją wiarą a obcymi poglądami Kościół tolerować nie może pod groźbą zaprzeczenia swojej

własnej istocie. U podstaw katolicyzmu leży głębokie przeświadczenie, że on jeden posiada pewną, bezwzględną prawdę, że wszystko, co się z jego wiarą nie zgadza, jest fałszem i prowadzi do zguby.

Tego rodzaju postawa wynika w katolicyzmie z jego nauki o wierze. „Wierzyć”, mówi katechizm, „znaczy uznawać za prawdę to co Bóg objawił a Kościół do wierzenia podaje”. Wiara jest dla katolika uznaniem zdań za prawdziwe; nie jest ona dla niego — w przeciwieństwie do poglądów protestanckich — rzeczą uczucia; zawiera element obiektywny, zdania objawione. Te zdania, będąc objawione przez Boga, są prawdziwe i bezwzględnie prawdziwe. Bardziej kompromisowa postawa byłaby możliwa przy protestanckiej interpretacji wiary; ale Kościół katolicki nie może wyrzec się absolutyzmu inaczej, jak porzucając swoją naukę o wierze. Absolutyzm w sprawach wiary jest istotną, nieodłączną cechą katolicyzmu.

Absolutyzm ten pociąga za sobą logicznie określone stanowisko teiopoznawcze: a mianowicie, skoro Kościół zna bezwzględne prawdy, prawda bezwzględna musi istnieć. Na tym jednak nie koniec. Równie istotną jest dla katolicyzmu teza głosząca, że nie tylko w dziedzinie Objawienia, ale i poza nią istnieją prawdy bezwzględne. Jest katolickim dogmatem wiary, że takie prawdy istnieją w dwóch przynajmniej dziedzinach: odnośnie do istnienia Boga, które człowiek może (także bez pomocy Objawienia) poznać jako prawdę bezwzględną, oraz w dziedzinie etyki, gdzie (również bez pomocy Objawienia) możemy poznać podstawowe a bezwzględne prawa moralne. Absolutyzm łączy się więc w katolicyzmie z uznaniem bezwzględnych praw i możliwości ich poznania samym rozumem przez człowieka.

Wreszcie do istoty katolicyzmu należy specyficzna teoria życia i rozwoju Kościoła. Obejmuje ona, między innymi, dwa ważne w naszej sprawie elementy: po pierwsze, dogmat nieomyślności Kościoła w dziedzinie Wiary i prawd z nią związanych; po drugie, tezę, według której postęp w coraz głębszym rozumieniu Wiary jest w Kościele organiczny, w tym znaczeniu, że każda epoka jego dziejów przynosi pozytywny dorobek i że żadnej nie wolno pomijać ani lekceważyć. W Kościele nie może być „powrotów” do rzekomo czystszych rozumienia źródeł (Piśma św. i Tradycji) w czasach dawniejszych i wszelkie próby przeszkakiwania poprzez wieki w poszukiwaniu okresów bliższych autentycznego zrozumienia tych źródeł Kościół odpierał zawsze z wielką energią. Nie znaczy to, by studium dawniejszej myśli katolickiej, a tym bardziej źródeł, nie było wskazane: jest ono konieczne, ale uwzględniać musi całość dorobku dziejowego Kościoła.

II.

Encyklika „*Humani generis*” jest przypomnieniem tych ele-

mentarnych i odwiecznych zasad. Formalnie składa się ona z trzech części, omawiających kolejno szereg błędów teologicznych, kilka spraw filozoficznych i trzy zagadnienia, należące do dziedziny nauk szczegółowych. Poza tym wszystkim stoją wyłącznie i po prostu powyższe myśli: że katolikowi nie wolno iść na żadne kompromisy z nie-wiarą; że istnieje prawda bezwzględna; że człowiek może ją poznać; że Kościół jest w wykładni prawd religijnych nieomylny; że, wreszcie, nie wolno odrzucać niczego z jego dziejowego dorobku. Reszta, to długa lista herezji i pół-herezji ostatnio głoszonych, głównie we Francji, przypomnienie roli, jaką w Kościele odgrywa scholastyka, a w szczególności tomizm; apologia tegoż tomizmu przeciw nowszemu zarzutom; wreszcie parę postanowień dotyczących pochodzenia człowieka, poligenezy (zakazanej) i nauk historycznych w odniesieniu do Starego Testamentu. Jest jeszcze surowe zarządzenie administracyjne, nakazujące Ordynariuszom, by zabronili swoim podwładnym szerzenia potępionych w encyklice błędów i wezwanie do profesorów zakładów naukowych Kościoła, by trzymali się ściśle jej wskazań. Encyklika wymienia kilka systemów filozoficznych, oczywiście z katolicyzmem sprzecznych (m.i. dialektyczny i historyczny materializm, a także obie postacie egzystencjalizmu) — ale nie wymienia żadnych nazwisk; zawiera natomiast wiele dosłownych cytatów z pism różnych duchownych, między innymi jednego z kardynałów francuskich. To są wszystko jednak rzeczy drugorzędne. Istotą encykliki jest, powtarzam, przypomnienie powyżej wymienionych tez. Przypomnienie to dokonane jest w formie surowej, pozbawionej zwykłej w encyklikach uroczyści; styl encykliki jest scholastyczny. Treści zawiera ona tak wiele, że spory tom wypadłoby napisać, aby skomentować wszystkie poruszone w niej myśli.

III.

Doszukiwanie się tła historycznego encykliki w walkach partii politycznych, a w szczególności interpretowanie jej jako kroku przeciw bolszewizmowi jest nieporozumieniem. Materializm dialektyczny i historyczny są w niej wprawdzie potępione, ale potępienie to wypowiedziane jest mimochodem, jakby pogardliwie, pomiędzy odrzuceniem dwóch innych błędów filozoficznych. W rzeczy samej, jeśli zachodziła istotnie potrzeba zabronienia zabaw w kompromisy z leninizmem-stalinizmem (grupa "Economie et Humanisme" z o. Desroches), niebezpieczeństwo to było i jest w Kościele znacznie mniejsze od paru innych. O ile zorientować się można z zawartych w encyklice cytatów i streszczeń, dotknięte są bezpośrednio, poza wymienionymi "towarzyszami drogi" bolszewizmu, cztery grupy katolickich pisarzy. Na pierwszym miejscu stoi niewątpliwie o. Teilhard de Chardins T. J., twórca panteistycznej teorii ewolucjonistycznej,

znajdujący się właściwie już poza chrześcijaństwem; jego na powielaczu odbijane prace miały wielu czytelników w duchowieństwie francuskim. Idą następnie zbyt gorliwi zwolennicy zbliżenia do protestantyzmu, za cenę odstępstwa od zasad katolickich; wymieniany jest jako taki (został dotknięty zarządzeniami administracyjnymi które poprzedziły wydanie encykliki) o. Montuclaire O.P., redaktor gazetki unionistycznej. Na trzecim miejscu należy postawić egzystencjalistów; wydaje się, że sam p. Gabriel Marcel jest wymieniony w zdaniu encykliki, która wspomina o "egzystencjalizmie przeczącym przynajmniej wartości rozumowania metafizycznego". Wreszcie encyklika poświęca najwięcej miejsca "nowej teologii", tj. jezuickiej szkole Lyońskiej, kierowanej przez o. de Lubac T.J. Szkoła ta popadła m.i. w dwa błędy: odrzucanie tradycji po-patrystycznej i fałszywą teorię łaski.

Jak widać, chodzi o kierunki bardzo różne i różnej wagi: podczas gdy np. o. de Chardins jest gnostykiem, zupełnie już niechrześcijańskim, a O. Desroches po prostu człowiekiem bez katolickiego wykształcenia, o. de Lubac zasługuje na nazwę teologa, który niestety pobłądził w trudnych teologicznych dociekaniach. Wszystkich tych pisarzy łączą jednak dwie charakterystyczne cechy: z jednej strony kategorię odrzucanie tradycji scholastycznej, z drugiej dążność do kompromisów. Wszyscy są też Francuzami.

Nasuwa się tu szereg pytań. Dlaczego we Francji właśnie doszło do aż tylu niebezpiecznych nieporozumień? Jak się stać mogło, by światli i zapewne dobrej woli duchowni mogli zignorować tak oczywiste, tak elementarne cechy katolicyzmu? Dlaczego episkopat francuski nie zahamował całego ruchu wcześniej, mimo parokrotnych publicznych wezwań Papieża i alarmu podniesionego przez teologów, w szczególności rzymskich i amerykańskich (zjazd jezuitów Stanów Zjednoczonych z 1949 r.) a także części francuskich (dominikanie ze St-Maximin)? Odpowiedź na te pytania wymagałaby większej znajomości socjologii i sytuacji francuskiej niż ta, jaką posiadam. Powiem więc tylko, że u kleru francuskiego bił w oczy od pewnego czasu kompleks niższości, niewiara we własne siły Kościoła, wywołana zapewne przez złożony splot przyczyn społecznych.

Jak głęboki był wstrząs, przez który Kościół przeszedł na skutek powstania i bezkarnego szerzenia się tych prądów, niech świadczy fakt, że w związku z nim nastąpiło rzadko spotykane rozdarcie na dwa obozy obu głównych zakonów, jezuitów i dominikanów. Wspominałem powyżej, że jezuici amerykańscy wystąpili publicznie przeciw swoim braciom francuskim, podobnie czołowy jezuita rzymski, Francuz z pochodzenia, o. Boyer; chodzi o zjawisko chyba w dziejach Towarzystwa bardzo rzadkie. Podobne zjawisko można było obserwować, choć na mniejszą skalę (bo mniej było u nich zwolenników "nowej teologii"), u dominikanów.

Poza Francją podobne ruchy, choć o mniejszej ostrości, istniały w Austrii (Insbruck) i w Niemczech, a także w Belgii. Natomiast Stany Zjednoczone, Kanada, Hiszpania, Włochy, Holandia i Szwajcaria nie zostały, jak się zdaje, dotknięte.

IV.

Takie jest bezpośrednio tło historyczne encykliki. Patrząc jednak głębiej dostrzec można poza owymi sprawami francuskiego Kościoła coś innego jeszcze, o większym znaczeniu.

W świecie atlantyckim istnieją w tej chwili trzy wielkie siły ideologiczne: bolszewizm, postępowo-demokracja (do której zaliczyć wypada większość socjalizmów i protestantyzmów) i katolicyzm. Sytuacja ułożyła się przy tym tak, że obóz postępowo-demokratyczny, którego głównym przeciwnikiem na polu ideowym był do niedawna Kościół, znalazł się obecnie — na skutek powstania potęgi bolszewickiej — z Kościołem w przymierzu. Przymierze to, wobec faktu, że postępowo-demokracja jest kinetycznie silniejsza i bardziej świadoma swoich celów niż katolicyzm, posiada bardzo niekorzystne strony dla Kościoła. Istnieje zagrożenie pochłonięcia katolicyzmu przez przypadkowego sojusznika. De facto ideał "nauki, postępu, ludzkości i demokracji" przyjęty został przez wielu katolików; nieliczna jest jeszcze elita katolicka, która zdaje sobie sprawę z obcości tych haseł. Katolicy — nie tylko francuscy — cierpią na kompleks niższości; bardzo niewielu spośród nich potrafi np. odeprzeć zarzut "zacofania", tak często katolikom stawiany, prostym stwierdzeniem, że nie jest to kategoria, która by ich interesowała. Katolicy dali sobie nawet narzucić rytuał nie-katolicki np. owe minuty milczenia itp. Mimo taktycznego przymierza, Kościół jest nadal i to bardzo zagrożony przez obóz liberalno-demokratyczny.

Widziana w tym świetle encyklika jest ostrym i niedwuznacznym stwierdzeniem, że Kościół na żadne kompromisy z tym właśnie obozem pod względem ideowym nie pójdzie; encyklika potępia tych, którzy próby takich kompromisów podjęli. Można sobie zadać pytanie, dlaczego potępienie przyszło aż w tak ostrej i jaskrawej, z nikim i niczym nie liczącej się formie, dlaczego ubrane zostało w słowa, które głęboko razić muszą zwolenników postępowej demokracji i katolików ulegających jej wpływom. Zapewne, stan zagrożenia przez herezję we Francji wymagał energicznych środków. Ale czytając encyklikę wolno dopatrzeć się w niej czegoś więcej niż reakcji na bezpośrednie potrzeby chwili. Odnosi się wrażenie, że Kościół nie liczy na pomoc postępowej demokracji w walce z bolszewizmem, jaką dziś toczy. Czy zwątpił w szanse zwycięstwa tego obozu? Nie wiemy. Pozostaje wrażenie, że sensem encykliki jest *la Chiesa farà da sé*, że Kościół nie liczy już na nic innego poza swoją własną mocą duchową. Kto umie patrzeć naokoło siebie, ten się tym nie dzi-

wi: bo nie-bolszewicki świat przedstawia niestety obraz słabości, skłócenia, nieraz rozkładu.

Chciałbym podkreślić, że Kościół w żadnym wypadku by na kompromisy ideowe nie poszedł: nie pozwala mu na to jego własna istota. Ale stwierdzenie tej bezkompromisowości w taki sposób i w tej właśnie dziejowej chwili zdaje się posiadać wagę większą niż zwykle przypomnienie. Brzmi, jeśli poprawnie myśl jej Autora interpretuję, jak wyzwanie.

V.

Jak mamy się zapatrywać na encyklikę z polskiego punktu widzenia? Wszystko zależy od tego, jak szacujemy żywe siły Polski w walce, którą nasz kraj toczy. Kto sądzi, że opór polski czerpie swoją główną moc z ideologii postępowo-demokratycznej, ten może żałować, że Kościół czuł się zmuszony wystąpić w tych właśnie czasach z orędziem tak kategorycznym, mogącym utrudnić stosunki między katolikami a postępowymi demokratami. Co do mnie, nie wydaje mi się jednak, aby podobna teza nadawała się do obrony: w Polsce jedyną wielką siłą ideologiczną jaka została w widoczny sposób na placu, jest Kościół. A jeśli tak jest, stanowcze wystąpienie Papieża musi być ocenione jako fakt pozytywny o dużym moralnym znaczeniu.

Rzecz widzę mianowicie następująco. W walce jaką Kościół w Polsce prowadzi potrzebne mu jest, oczywiście, moralne oparcie o Zachód. Otóż, jak dotąd, Zachód, w szczególności Kościół francuski, zamiast owego oparcia, dawał Polsce bardzo często zwątpienie. Nie mówię tylko o takich skrajnościach, jak podróże osławionego ks. Boullier, ale o koncepcjach o. Desrocha, o. Theillarda i innych. Wszyscy oni wywoływali u myślących katolików w Polsce wrażenie, że coś jest z zachodnim katolicyzmem w nieporządku, że w chwili, gdy w kraju ludzie cierpią za wiarę, na wolnym Zachodzie wybitni duchowni załamują się pod wpływem samej propagandy. Mówił mi to przed paru laty młody polski ksiądz, wracający po dwumiesięcznym pobycie we Francji do Polski: "szukałem duchowej siły, znalazłem zgniliznę". Tym, którzy myślą jak on, encyklika przynosi zapewnienie, że Kościół Powszechny stoi niezłomnie na swoim stanowisku, że nie będzie ani wahań, ani kompromisów. A to jest, jak sądzę, rzecz ogromnego znaczenia.*)

I. M. BOCHENSKI. O. P.

*) Pragnę podziękować ks. prał. Walerianowi Meysztońcowi za przedyskutowanie ze mną poruszonych w niniejszym artykule zagadnień: szereg myśli tu wypowiedzianych, jest jego, nie moja własnością; niestety nie potrafię już wskazać które.

Emigracja polska i francuska Legia Cudzoziemska 1832/36

Już parokrotnie podkreślaliśmy analogie — czasami wręcz przerażające między Wielką Emigracją a nami. Te same problemy, te same błędy i to same osamotnienie nielicznych jednostek myślących trzeźwo, planujących szeroko, nie podwórkowo.

Gdy dziś jesteśmy w pełni dyskusji na temat ewentualnego nowego układu wojennego emigracji spowodowanej konfliktem koreańskim i „sprawą Wyrwy” wydaje się nam celowe przypomnieć jak podobne zagadnienie wyglądało przeszło sto lat temu.

1

Francja po 1830 roku, otoczona świeżą glorią rewolucji lipcowej. Na tronie, ostatecznie opuszczonym przez Burbonów, zasiadł ich burżuazyjny kuzyn, Ludwik-Filip orleański, „Król Francuzów”.

„Aux armes!...”, raz jeszcze wykrzyknięte nad Sekwaną, dręcząc nadziei wstrząsnęło całą Europę. Z czterech jej krańców, poprzez wszystkie granice i kordony, śpieszyć poczęli do Ojczyzny Rewolucji uchodźcy polityczni: Niemcy zza Renu, Belgowie, Holendrzy, Portugalczycy, hiszpańscy guerillasi, Piemontczycy, Sardyńczycy. Sława trójkolorowych sztandarów nie poszła wśród nich w zapomnienie. Wydawało się temu wielojęzycznemu tłumowi, że na nowo będzie się mógł pod nimi zorganizować, do walki z reakcją i absolutyzmem, przeciwko Świętemu Przymierzu.

Ten masowy exodus do Francji wszystkiego co niezadowolone, co „czerwone”, co rewolucyjne i poszukiwane przez policję, rychno postawił Ludwika-Filipa przed problemem o niebezpiecznych konsekwencjach politycznych. Ci wygnańcy, cień rzucali na po-lipcowe rządy Ludwika-Filipa, już nie tylko w oczach

Wyjątek z opracowywanej przez autora obszernej pracy pt. «Polacy w francuskiej Legii Cudzoziemskiej, od 1831 roku po ostatnie czasy».

Austrii, Prus i Rosji, ale i innych sąsiadów, którzy nie zapomnieli, iż podobne „aux armes!...” wydało Napoleona...

Nie przebrzmiały jeszcze słowa Sebastianiego,¹⁾ że: „L'ordre règne à Varsovie!”, gdy do tej międzynarodowej masy uciekinierów politycznych, szukających we Francji schronienia i broni, dołączyli powstańcy polscy z 1830/31 roku. Pierwsi, jak zwykle politycy, którzy już w listopadzie 1831 zorganizowali w Paryżu swój „Komitet”, a po nich żołnierze, borami i lasami, piechotą, konno czy dwukórką podążających na wychodźstwo.

Od samego początku między sobą o przyczynę klęski skłóceni, jednomyślni jednak w żądaniu: „odbudowy Polski całej, wolnej i niepodległej, zdolnej zostać — jak niegdyś — przedmurzem cywilizacji Europy przeciw duchowi zaborów i barbarzyństwa”²⁾ Przy odgłosie tłuczonego w winiarniach szkła, nawołując do „rozwinienia trójkolorowego sztandaru do wojny o sprawiedliwość i wolność³⁾; z dnia na dzień oczekując i modląc się do prorokowanej a w starych kościołach Europy wyczuwanej już „Wojny Ludów”, (która niechybnie, w ich mniemaniu, sprawę polską wysunie na czoło zagadnień europejskich), stali się swoją siłą liczebną i moralną najniebezpieczniejszymi z niebezpiecznych. Za nimi był sentyment mas, na sam widok polskich czamar wołających „Polacy naprzód!” Ku nim zwracały się zewsząd spojrzenia politycznych uchodźców z całego świata, wśród nich właśnie wypatrujące trybunów i wodzów przyszłej rewolucji. Byli więc typowym czerwonym kłosem, który niespodziewanie wyrósł i pod postacią kilku tysięcy potencjonalnych agitatorów anty-moskiewskich, anty-pruskich, anty-habsburskich, a co najgroźniejsze, anty-monarchistycznych, rozplenił się po całym kraju. Aby mieszczanin francuski mógł spokojnie zażywać dobrodziejstw nowego ładu, a Ludwik-Filip pozyskać uznanie i aprobatę dla dynastii orleańskiej u Mikołaja I-go, „obroncy prawa i legalizmu”, ten polski kłok należało wyciąć lub przynajmniej odizolować.⁴⁾

2

Pierwszym pociągnięciem rządu francuskiego, mającym właśnie na celu pozbycie się niewygodnych cudzoziemców, których 75% stanowili Polacy, było stworzenie, 10 marca 1831 r., Legii Cudzoziemskiej:

- 1) Minister Spraw Zagranicznych «rewolucyjnego» Ludwika-Filipa.
- 2) Odezwa Emigracji Polskiej do francuskiej Izby Deputowanych.
- 3) Odezwa Komitetu Polskiego do Izby Deputowanych — 24.11.1832.
- 4) Urzędowe stanowisko francuskie w stosunku do Polaków najlepiej odaje Lucien de la Hodde w swojej «Histoire des sociétés secrètes» (Paris 1850), pisząc: «Les Polonais arrivèrent en France en grande nombre. Presque aussitôt ils formèrent un comité dont les membres prétendaient représenter la patrie et former une sorte de gouvernement de Pologne à Paris. Ils lancèrent une protestation contre les mesures de presse prises en Allemagne, adressèrent un appel à la révolte aux Russes et se déclarèrent prêts à aider

„La Légion étrangère a été formée dans le seul but d'ouvrir un débouché et de donner une destination aux étrangers qui affluaient en France et qui pouvaient y être un sujet de perturbation”.⁵⁾ — Przytułek więc dla wszystkich niespokojnych duchów, wojowniczym temperamentem czy rewolucyjną (lub kryminalną) przeszlósnością zatruwających życie francuskim politykom. Instytucja uniwersalna, w której obok cudzoziemców z najzjadlejszych zwalczających się partii arystokratów, konstytucjonistów czy demokratów, znaleźć się mieli Francuzi, bonapartyści, burbończycy i „wściekli” republikanie; obok przestępców politycznych — przestępcy kryminalni; obok ideowców — szubrawcy, by wspólnie maszerować pod jednym sztandarem do jednego celu. Dla pewności zaś wyraźnie zaznaczono, że cel ten leży „tylko poza terytorium kontynentalnym królestwa”. W praktyce nigdy to nie było przestrzegane i Legia brała udział we wszystkich wojnach jakie Francja prowadziła na kontynencie, w danej chwili jednak, usunięcie jej poza obręb Europy objętej zarazą rewolucyjną, było konieczne tak z punktu widzenia politycznego jak i spokoju wewnętrznego. Pozbywano się z Francji ludzi niebezpiecznych, zatrzymując ich jednak dla Francji. Entuzjazm do obalania tronów usiłowano zamienić (i z czasem zamieniono) na entuzjazm do sołdateski, do walki jako takiej z każdym, kogo Francja wskaże jako wroga — swojego lub swoich sprzymierzeńców.

Wymagania, stawiane ochotnikom do Legii, nie były wygórowane. Aby zostać przyjętym na okres od trzech do pięciu lat, wystarczyło mieć ukończonych 18 lat i nie mniej niż 1,55 cm wzrostu. Dokumenty, takie jak paszport, metryka urodzenia czy świadectwo moralności były pożądanym ale bynajmniej nie koniecznym.

Dla przynęty wreszcie ustanowiono, że Legia składać się ma z batalionów, w których służyć będą „ludzie jednej narodowości, mówiący jednym językiem”.⁶⁾ Dawano im iluzoryczną namiastkę „narodowego” wojska, w którym mogliby się skupiać, oczekując na „lepsze czasy”.⁷⁾

W ten sposób powstały kolejno, w miarę zgłaszania się ochotników: 1-szy Batalion „szwajcarsko-niemiecki”, złożony z żołnierzy, rozwiązanych po rewolucji lipcowej pułków szwajcar-

quiconque voulait entrer en révolution. Tout cela était fort bien de la part de gens n'ayant rien à perdre, mais la France, qui se trouvait responsable de ces actes devant les Puissances, avait quelque raison d'y regarder; elle expulsa le comité, bientôt on sut que non contents de fomenter la révolution au dehors, des Polonais s'associaient à nos sociétés secrètes...».

5) Marszałek Soult, francuski Minister Wojny, w liście do gen. Voirol, Gubernatora Algieru (18.3.1834).

6) Rozkaz o utworzeniu Legii Cudzoziemskiej. «Journal militaire officiel», année 1834, Paris.

7) W rzeczywistości taka «narodowa» organizacja, okrzyczana jako akt humanitaryzmu ze strony rządu francuskiego, służyć miała głównie jako odtrutka na różne demokratyczne zastrzeżenia i wątpliwości w stosunku do celów i przeznaczenia Legii. Spełniwszy zadawalając swoje zadanie, została w 1835 roku na wieczne czasy zaniechana.

skich i „Legii Hohenlohe”; 2-gi i 3-ci Bataliony „niemieckie”, przeznaczone dla uciekinierów zza Renu i dezertersów z różnych armii niemieckich; 4-ty Batalion „hiszpański”, dla guerillasów, we Francji szukających schronienia przed prześladowaniami Ferdynanda VII-go; 5-ty Batalion „włoski”, dla wychodźców politycznych z Piemontu i Sardynii; 6-ty Batalion „belgijsko-holenderski”, dla dezertersów z armii tych krajów; i wreszcie 7-my Batalion „polski”, przeznaczony dla byłych powstańców 1830-31 roku.

Równocześnie, aby rozwiązać zagadnienie całkowicie, dla tych cudzoziemców, którzy posiadali już obywatelstwo francuskie, a więc mieli prawo służenia w regularnej armii, utworzono nowe pułki piechoty liniowej.⁸⁾

Jednakże ta militarna zachęta dla pozbycia się uciążliwych przybyszów niewielki, jeżeli chodzi o Polaków, odniosła skutek. Emigracja polska bynajmniej nie miała zamiaru rezygnować ze swoich narodowych czy światoburczych projektów na rzecz ciężkiej, kiepsko płatnej i mało jeszcze romantycznej służby pod obcymi sztandarami.

Wobec tego, rząd francuski widział się zmuszony do podjęcia bardziej radykalnych kroków. I tak, w kwietniu 1832, uzyskał od Izby Deputowanych uchwałę, upoważniającą go do wyznaczania miejsc pobytu wychodźcom, pobierającym subsydia⁹⁾; do zmuszenia ich, by udawali się do wyznaczonych „zakładów” („dé-

8) Według niektórych źródeł francuskich (Azan, Grisot), takim pułkiem przeznaczonym dla Polaków, obywateli francuskich, miał być 67 p. piechoty liniowej, uformowany 4 maja 1831 w Algierze. Dlaczego jednak nazywają go «Les Polonais» trudno stwierdzić. Składał się głównie z tzw. «ochotników paryskich», republikanów, byłych kombatanów rewolucji lipcowej, którzy zszedłszy z borykad nie chcieli już powrócić do normalnej pracy i zasilił szeregi mętów Paryża. Możliwe, że znajdowali się w tym pułku również i Polacy, «tonem» swoim do jego nazwy się przyczyniając. Wielkiej chwały nam to jednak nie przyniosło, pułk bowiem cieszył się w Algierze jak najgorszą opinią, tak ze względu na ilość dezertersów czy też żołnierzy przebywających w więzieniu (po 150 naraz), jak i z powodu bardzo kiepskiej wartości bojowej. Został też szybko rozwiązany.

9) Skarb francuski płacił zasiłki wszystkim «réfugiés» potrzebującym wsparcia. Początkowo hojniejsze, subsydia te wkrótce, po przejściu całej emigracji pod zarządek cywilny, bardzo się skurczyły. Według taryfy, wprowadzonej 1 kwietnia 1833 r. pobierali miesięcznie we frankach:

wojskowi		cywilni	
generał dywizji	150	minister	200
tenże z rodziną	200-250	posłowie niezona	150
generał brygady	100	naczelnicy powstania, pre-	
tenże z rodziną	135-170	zesi sądu, profesorowie,	
pułkownik, podpułkownik,		lekarze, adwokaci, b. wła-	
major	60	ściciele ziemscy, akademi-	
kapitan, porucznik, podpo-		cy	45-70
rucznik	45	rzemieślnicy, rolnicy, dzien-	
podoficer, żołnierz, dziennie		nie centimów	0,75
centymów	0,75		

Jak pisze Ludwik Gadon w swojej «Emigracji Polskiej»: «była to pomoc szlachetna, chroniąca od głodowej śmierci, ale niedostateczna do życia...».

pół") i przebywali w nich stale; a nawet pozwalającą mu wydalac z granic Francji tych, którzy do tego nakazu nie chcieli się stosować lub też, nie podpisali wymaganego oświadczenia, że nie będą należeć do żadnych tajnych stowarzyszeń.

W ten sposób rychło pozbyto się takich polskich „rewolucjonistów” jak Lelewel, Worcell i ks. Pułaski. Również na skutek tych zarządzeń, kilkuset emigrantów polskich przeniosło się z Francji do Szwajcarii, krok swój motywując prześladowaniami rządu francuskiego.

3

Emigracja polska we Francji składała się podówczas z około tysiąca cywilów i 4000 wojskowych — w sumie 5000 polityków. Gdy cywile jednak, zasobni na ogół w fundusze, uniezależnieni byli od rządowych subsydiów, to żołnierze, w tym w czym stali, nagle z pola walki przeniesieni do ogłupiającej bezczynności w „zakładach”, z rodzinnych stron zagnani losem w dalekie i obce im środowisko — znajdowali się w sytuacji krytycznej. Rozpacz, nędza i choroby szerzyły się wśród nich zastraszająco. Załamywały się charaktery mniej odporne, a rozpętane przez doktrynerów partyjnych „potępieńcze swary” i doszukiwanie się przyczyn klęski, rozogniały umysły i tak już osłabione niepowodzeniami i poniewierką.

Co z tymi ludźmi począć? Czym ich zająć? Jak ich ocalić dla sprawy polskiej? — oto były najważniejsze problemy wewnętrzne, stojące przed przywódcami emigracji.

Gdy jednak „czerwoni” (nad którymi rząd dusz sprawował Lelewel, a po jego wydaleniu z Francji — generał Dwernicki) spodziewali się rewolucji europejskiej i usiłowali wszelkimi sposobami emigrację polską do niej przygotować, a co za tym idzie, zatrzymać ją we Francji; „biali”, zgromadzeni w cieniu „Hotelu Lambert” i księcia Adama Czartoryskiego, zupełnie odmiennie do tej kwestii podchodzili. Spodziewali się rewolucji lecz wojny europejskiej, a wychodźców polskich uważali za realny związek przyszłej siły zbrojnej, która wzorem Legionów Dąbrowskiego¹⁰⁾ poparłaby kwestię polską, wysuniętą przez państwa demokratyczne.

„Do dzisiaj jeszcze zarzuca się księciu Adamowi Czartoryskiemu i w ogóle polityce polskiej z tego okresu, iż z niepoprawną naiwnością wierzyła ona w interwencję obcą i możliwość odbudowy na tej drodze państwa polskiego. Jednakże ks. Adam nie tylko wysyłał memoriały i wzniecał w parlamentach europej-

10) Władysław Zamojski, prawa ręka i „zły duch” (Jak pisze prof. Handelman) Czartoryskiego tak tę sprawę ujmował. w swojej odezwie do współtowarzyszów broni (1834): «Zawsze byłem przekonany, że pamięć dawnych Legionów polskich wiele się przyczyniła do wywołania dzisiejszej Emigracji naszej. Zawsze żywo pragnąłem aby ci spomiędzy nas, którzy nie mają sposobności służenia sprawie naszej na innej drodze, mogli się utformować w Hufiec, który z bronią w ręku miałby prawo pocieszać Naród Polski nieśmiertelną pieśnią Legionów Dąbrowskiego».

skich demonstracje dla sprawy polskiej sympatii. Usiłował również bezpośrednio wpłynąć na wydarzenia, wykorzystując każdą okazję, każdy konflikt i rozruch polityczny do wysunięcia polskiego problemu, nie cofając się przed akcją militarną¹¹⁾ Książę Adam wychodził z założenia, że „wojsko w pojęciu politycznym jest instrumentem polityki, że w zbrojnych demonstracjach jest chęć wywołania pewnych politycznych skutków, które w dalszym rozwoju wypadków mogą przy pomocy sił obcych przynieść pożądane zwycięstwo¹²⁾ Takim właśnie instrumentem polityki polskiej, taką demonstracją miał być dla niego udział żołnierzy polskich we wszystkich ruchach wolnościowych czy konfliktach wojennych kontynentu europejskiego i jego przyzwołków.

Znaczna część, rozbitej politycznie i pogrążonej w egzaltacji, emigracji polskiej, idei księcia Adama nie pojmowała. Jego arystokratyczne pochodzenie i konserwatywne poglądy społeczne sprawiły, że bez względu na to co głosił i do czego zmierzał, elementy radykalno-demokratyczne były mu wrógie. Różnili się między sobą tylko w środkach a nie w celu, lecz tego w zapamiętaniu nie chciano czy nie umiano dostrzec. Rozognione polityką umysły starych generałów i młodych podporuczników, a priori odrzucały wszystko co nosiło na sobie stempel „Hotelu Lambert” i wobec tego nie miało (według nich), nie wspólnego ze sprawą „ludu¹³⁾ Tym bardziej więc byli przeciwni służbie Polaków pod obcymi sztandarami, obstając z uporem przy „legendzie kosy¹⁴⁾ i twierdząc, że żołnierz polski wystarczająco dobrze posiadał już sztukę wojowania, by się w niej jeszcze potrzebował ćwiczyć. Nie mogli i nie chcieli zrozumieć księcia Adama, gdy pragnął, choćby kosztem bardzo ciężkich ofiar, dać żołnierzowi uczciwą broń do ręki, przechować świetne tradycje oręża polskiego i uchronić wychodźstwo od zabójczej bezczynności. Oskarżali go wręcz o „frymarczenie krwią polską”, sięgając nawet za broń, by strzelać do generała Bema¹⁵⁾ jednego

11) Jerzy Braun: «Polityka Czartoryskiego w 1848 r.», artykuł drukowany w krakowskim «Tygodniku Powszechnym», 1948.

12) Przytoczony ustęp pochodzi z artykułu «Cat»-Mackiewiczza («Lwów Wilno», Londyn 1948, nr. 85).

13) «Ludu» tego zresztą na emigracji prawie że nie było, szeregowi bowiem i podoficerowie powstańcy masowo skorzystali z «amnestii» mikolajowskiej i powrócili do Kraju.

14) «Legenda kosy» i rola partyzantki w przyszłej wojnie wyolbrzymiona została przez takich demokratycznych pisarzy wojskowych jak Mierosławski, Kamiński i Stolzman. Ten ostatni pisał («Partyzantka, czyli wojna ludów...», Paryż 1844): «Lada broń, lada ostre narzędzie, kłonic, kół z piota nawet posłużyć mogą do rozpoczęcia wojny». Pisarze wojskowi obozu Czartoryskiego: Chrzanowski, Bystrzonowski i Bem, woleli miast masy ludzi źle uzbrojonych i nie wyćwiczonych raczej mieć wojsko małe a bitne. (Marian Kukiel, «Koncepcje powstania narodowego przed Wiosną Ludów», londyńskie «Teki historyczne», T. II, Nr 3, 1948).

15) Zamachu tego, z którego Bem cudem wyszedł cało, dokonał 14 czerwca 1833 r., ppor. A. Pasierbski, podniecony gwałtowną agitacją Lelewela i demokratów przeciwko załogowi Polaków do tworzonego przez Bema «Legionu Portugalskiego».

z najbardziej czynnych zwolenników wojskowego zorganizowania emigracji.

Książę Adam, mimo tej napastliwej opozycji, odmawiającej mu nawet prawa przewodnictwa nad Emigracją, zdołał zgromadzić wokół siebie pewną ilość ludzi wybitnych i energicznych, którzy stali się głównymi propagatorami i wykonawcami jego idei „walki i demonstracji wojskowej”. Byli to płk. Władysław Zamoyski, gen. Henryk Dembiński, gen. Józef Bem, płk. Ludwik Bystrzonowski i płk. Feliks Breański. Niezadługo dołączyli do nich inni, którym sprzyrzyło się gnuśne życie na koszt rządu francuskiego i bezplodne politykowanie w „zakładach”.

„Wywołali oni na jaw krzyże, honor, sławę wojenną i zebrawszy kilkunastu na drodze obłąkania, wyprawili do Algieru, do Egiptu, do Portugalii, do Hiszpanii...”, darli szaty demokracji, zarzucając Czartoryskiemu i jego stronnikom rozbijanie emigracji. Równocześnie jednak, jednym zamachem pióra stwierdzali, że tym zamierzeniom „nieprzyjaciół” przeciwstawili się, „wysyłając pełnomocników swojej myśli do Niemiec, do Szwajcarii, do Sabaudii...”¹⁶⁾

Jakżeż blisko siebie biegły ścieżki myśli politycznej dwóch głównych odłamów Emigracji polskiej. Jakże jednak mury nie do przebycia między nimi wznoszono!



Z rozmaitymi państwami łączył książę Adam nadzieje:

We wrześniu 1832, gen. Bem z zapalem przystąpił do organizowania „Legii Polskiej”, która miała wesprzeć liberalną królową portugalską w jej wojnie z popieranym przez Moskwę stryjem, Don Miguelem, zwolennikiem absolutyzmu. W lutym 1833, wysłannik sułtana Mahmuda II-go namawiał Czartoryskiego, by z całą emigracją polską przeniósł się do Turcji i pomógł jej w wojnie z Egiptem. W czerwcu tegoż roku, wobec pomocy, ofiarowanej sułtanowi przez cara (w zamian za to, że w „czasie wojny nie dał się nakłonić do pomagania buntownikom polskim”), sytuacja odwróciła się o 180 stopni i Dembiński, w pełnej generalskiej gali wyjechał do Egiptu, by organizować armię Kedywa. Mickiewicz w swoim „Pielgrzymie polskim” (12.4.1833) widział już w Mehmedzie Alim wcielenie mocy i wiary Mahometa a inni upatrywali w gotującej się wojnie spełnienia proctwa Wernyhory o zmartwychwstaniu Polski, „gdy Turek (w tym wypadku Egipcjanin) konia napił w Dnieprze”.

Jednak wszystkie te nadzieje, plany i marzenia pokolei paliły na panewce, sytuacja polityczna bowiem tak się układała, że Polacy wszędzie coraz niemilej byli widziani. Trzeba ich było utrzymywać, co samą Francję kosztowało dwa miliony rocznie; zanadto byli w porewolucyjnym świecie rewolucyjni; zanadto wreszcie antyrosyjscy. Popieranie ich czy nawet tolerowanie tylko, coraz więcej drażniło cara rosyjskiego, którego wszyscy

16) «Polak w Paryżu», Nr 1, 1837.

się bali, wszyscy nienawidzili, ale o którego względy wszyscy usilnie zabiegali.

„Legia Portugalska” nie doszła do skutku z powodu rychłej porażki pretendenta i niechętnego zaciągu do niej Polaków. Służbie w armii Kedywa kres położyło zawarcie pokoju oraz intrygi rosyjskie na dworze w Kairze. Nie dała również spodziewanych rezultatów pierwsza misja generała Chrzanowskiego do Turcji (1834-35).¹⁷⁾

A tymczasem rząd francuski słyszeć nie chciał o formowaniu narodowych, polskich oddziałów. Proponował Legię Cudzoziemską w Algierze, coraz niechętniej wypłacał emigrantom głodowe subsydia, nowych wychodźców z Kraju przyjmować już nie miał zamiaru. Cień Świętego Przymierza coraz bardziej zaśniana polityczny horyzont Ludwika-Filipa. W Izbie Deputowanych stwierdzono urzędowo (16.1.1834), że: „sprawa polska jest obca dla interesów francuskich!”

W obliczu tych kolejnych niepowodzeń, świadom jednak, że chwilowo niekorzystna dla Kraju i wychodźstwa sytuacja międzynarodowa, w każdej chwili może ulec odniamie, książę Adam zwrócił uwagę na formujący się w Algierze, od połowy 1833 roku, 7-my, „polski” Batalion Legii Cudzoziemskiej.

Było to wówczas jedyne na świecie wojsko, do którego Polacy przyjmowani byli bez żadnych ograniczeń czy politycznych zastrzeżeń.

4

Jednakże do końca 1832 roku liczba zaciągających się Polaków była bardzo niewielka. Najwyżej 100 szeregowych i podoficerów, oraz kilku młodszych oficerów.

Byli to ludzie przeróżni. Jedni wstępowali do Legii wprost z zamiłowania do wojaczki i przygód żołnierskich. Inni, rzućni losem do Francji, bez znajomości języka i bez środków do życia, nie wiedząc w którą obrócić się stronę, wybierali zło najmniejsze i opatrzeni w „feuille de route” przybywali do Algieru. Trzecią wreszcie kategorię tworzyli ci, którzy uważali, że najlepiej jest własną krwią płacić za gościnność francuską.

Znaleźli się wśród nich przedstawiciele politycznej emigracji, jak kapitan Józef Tański, członek paryskiego Towarzystwa Literackiego i autor szeregu dzieł pamiętnikarsko-politycznych, przeważającą większość jednak stanowili żołnierze, młodzi wiekiem acz starzy doświadczeniem bojowym, żadnego fachu nad wojskowy nie posiadający i nie przekładający. Najtypowszym ich reprezentantem był porucznik Wincenty Gaucz, były podoficer 1-go pułku piechoty Wielkiego Księcia Michała (w armii Królestwa Kongresowego), potem podchorąży, „belweder-

17) Jak nie dały rezultatu dwie późniejsze jego misje i jak płónnymi okazały się nadzieje żywno z powodu przyjęcia gen. Skrzyneckiego do armii belgijskiej w 1839 r.

czyk¹⁸⁾ wreszcie oficer w powstaniu listopadowym a potem w Legii Cudzoziemskiej.

W ludziach tych i w oddziale tworzonym przez nich pod skwarnym niebem afrykańskim, książe Adam Czartoryski widział przyszłe ramie zbrojne swojej polityki, zaczątek „Legii Polskiej”, która w wypadku wojny francusko-rosyjskiej „skierowana być mogła nad morze Bałtyckie lub Czarne¹⁹⁾”. Wysłał też do nich zaraz, na dowódcę i organizatora, niedawno z powstania do Francji przybyłego, młodego majora 18-go p.p. płockiej, Tadeusza Horaina, związanego z „Familią” jeszcze przez dziadka swojego, wojewodę brzeskiego.

W dziejach tego człowieka, który dzięki osobistym zasługom, prawości charakteru i wysokiej dyscyplinie, szybko wysunął się na wybitne stanowisko²⁰⁾ i stał się de facto ojcem „polskiego” Batalionu Legii Cudzoziemskiej, odbita jest cała historia Polaków w Legii tej w latach 1832-38 służących.

Francuzi, ciągle liczący się z liczniejszym napływem ochotników polskich, skwapliwie skorzystali ze zgłoszenia się pierwszego sztabowego oficera polskiego, i 31 sierpnia 1832 r. przyjęli Horaina do Legii w prowizorycznym stopniu („à la suite”²¹⁾ szefa batalionu (majora).

Sytuacja jego od samego początku nie była łatwa. Koledzy-politycy, zbyt jeszcze wówczas silnie z emigracją we Francji związani, a więc czuli na rodzinne spory i kłótnie, widzieli w nim „agenta” Czartoryskiego. Koledzy-wojskowi zarzucali mu, „że przed powstaniem w wojsku nie służąc, stopień majora już posiadał²²⁾”. Ostatecznie przedstawiono go Francuzom jako główną przyczynę niezgody, panującej wśród legionistów polskich i marszałek Soult, obawiając się, że intrygi te źle mogą

18) Za udział w pamiętnej Nocy Listopadowej skazany zaocznie przez cara Mikołaja na śmierć przez powieszenie.

19) Archiwum XX Czartoryskich w Krakowie, «Legion polonaise», bez daty... Wojna francusko-rosyjska wybuchła ostatecznie, ale dopiero w 1855 roku (tzw. wojna krymska). «Polski» Batalion od dwudziestu lat już nie egzystował, paru jednak jego żołnierzy w wojnie tej brało jeszcze udział w szeregach Legii Cudzoziemskiej. Kapitan Ludwik Mokrzecki, b. sierżant «polskiego» Batalionu, 2 maja poległ na czele swojej kompanii woltażerów; kapitan Feliks Sawicki, ppor. «polskiego» Batalionu, z powodu złego stanu zdrowia został w czasie kampanii krymskiej zwolniony z wojska; kapitan Jan Feliks Kozłowski, żołnierz «polskiego» Batalionu, odbył w Legii całą kampanię.

20) Poza Horainem, tylko jeden jeszcze Polak dosłużył się w Legii Cudzoziemskiej wyższego stopnia i stanowiska. Był nim Franciszek Blendowski, b. oficer powstania listopadowego, który przyjęty do Legii w 1837 roku w stopniu podporucznika, na wojnie krymskiej, w 1855, dowodził batalionem w 1. p. Legii. Później naturalizował się, przeszedł do wojska francuskiego i w 1868, jako podpułkownik, został emerytowany. Umarł w Krakowie, w 1870, na wiadomość o klęsce francuskiej.

21) W pierwszych latach istnienia Legii Cudzoziemskiej przyjmowano do niej oficerów cudzoziemskich w stopniach «à la suite», póki Król ich nie zatwierdził. Później nie-Francuz wstąpić mógł do Legii tylko jako prosty szeregowiec drugiej klasy.

22) M. Pawlicowa, «Sto lat temu, o Polakach w Legii francuskiej i hiszpańskiej, 1834-39» («Przegląd Historyczny», Tom 13-33, Warszawa 1935).

wpłynąć na ogólną dyscyplinę Legii Cudzoziemskiej, wydał już był rozkaz, odwołujący wszystkich Polaków z Afryki do Francji.

Wydawało się, że wewnętrzny rozłam wśród Emigracji, raz jeszcze zniweczy plany księcia Adama. Horain jednak dał się osobiście poznać generałowi Desmichels, żonatemu z Polką komendantowi Oranu. Spowodował on cofnięcie rozkazu Soula i Horainowi polecił — dla próby — ćwiczyć dwie kompanie sformowane z Polaków. Nie znając musztry francuskiej, uczył się jej nocami, w dzień szkoląc swoich żołnierzy i po dwóch miesiącach wystąpił z tak dobrze wymusztrowanymi, że 1 lipca 1833 roku uznani zostali za dwie pierwsze kompanie 7-go, „polskiego” Batalionu, którego Horain został już rzeczywistym dowódcą.

Legionista w roku 1833, powołany do szeregu przez najbardziej nieromantycznego monarchę w historii Francji, nie miał w sobie jeszcze nic z owego nimbu romantyczności, jakim go potem otoczyły historia i literatura. W swoim wysokim, czerwonym „képi”, niebieskiej bluzie i czerwonych spodniach całkiem nie pasował do pustyni afrykańskiej, a uzbrojony w staromodny muszkiot napoleoński nie przedstawiał dla Arabów tak groźnego przeciwnika, jak w późniejszych latach XIX stulecia.

Zajęcia jego były ciężkie i przeróżne. Wzorem swoich poprzedników sprzed wieków, legionistów rzymskich w Afryce, budował forty i drogi, pracował przy żniwach, wytyczał i badał nowe szlaki na pustyni. Wojskowo wyżywał się w karnych ekspedycjach, tzw. „razzia”, mających na celu utrzymanie w porządku i karność plemion arabskich i kabylskich, stale buntujących się przeciwko okupacji francuskiej.

Od połowy 1833 r. w tej pioniersko-kolonizacyjnej pracy brał już udział „polski” Batalion Legii. 15 sierpnia otrzymał on chrzest bojowy, skutecznie osłaniając na przełęczy Buffarick (Algier) oddziały, powracające z karnej wyprawy do Guiroa²³⁾. W zimie „walczył z febrą” w sławnym obozie Maison Carrée pod Algierem. Wreszcie, 27 stycznia 1834 roku, odpiął do portu Bougie, niedawno przez Francuzów zdobytego. Liczył już wówczas cztery pełne kompanie liniowe i część piątej, razem około 400 żołnierzy, w większości Polaków.

Walki z Arabami, otaczającymi Bougie, trwały od lutego do kwietnia. „Polski” Batalion niejednokrotnie odparł ataki wroga, lub sam urządzał na niego pomyślnie wycieczki. Szczególnie jednak odznaczył się w bitwie, jaka miała miejsce 11 marca, kiedy to natarciem na bagnety wyrzucił Arabów ze wszystkich zajmowanych przez nich stanowisk, zadając im poważne straty i „zdobывая wiele trzody”. Szef Batalionu Horain „a fait preuve dans cette circonstance de la plus brillante valeur”²⁴⁾

23) Za akcję tę major Horain cytowany był w rozkazie Legii Cudzoziemskiej.

24) Za walki pod Bougie cytowani byli w rozkazie dziennym armii francuskiej, poza majorem Horainem: por. W. Gaucz, ppor. J. Borkacki (ciężko

W kwietniu 1834, z powodu „zlicencjonowania” (zdemobilizowania) 4-go Batalionu „hiszpańskiego”, który odplynał do Hiszpanii, by wziąć udział w toczącej się tam wojnie domowej, numer 4-ty w Legii Cudzoziemskiej odziedziczył po nim Batalion „polski”,²⁵⁾ jako taki już do końca swego istnienia występując. W związku z tą zmianą opuścił on Bougie i udał się do Oranu, gdzie też został (po raz pierwszy i ostatni) poważnie zasilony Polakami, przybyłymi do Legii z Harwich.

5

Z 26.000 podoficerów i szeregowych, oraz 2.600 oficerów polskich, którzy po upadku powstania 1830/31 przekroczyli granicę pruską,²⁶⁾ większość skorzystała z „amnestii” mikołajowskiej i powróciła do Kraju. Paru tysiącom udało się, zmyliwszy czujność Prusaków, przedostać się do Francji, Anglii, Belgii lub Szwajcarii. Reszta²⁷⁾, osadzona została w różnych twierdzeniach pruskich, głównie w Gdańsku i Grudziądzu.

„Nieszczęśliwi ci (pisał Adam Mickiewicz w „Pielgrzymie Polskim” — 24.4.1833), porwali byli broń w rękę przeciw nieprzyjaciółom Ojczyzny. Chcieli krew za nią przelewać; ale znaleźli się ludzie rozsądni, którzy broń im kazali złożyć... Bo pocóż walczyć przeciwko mocniejszemu... po co umierać za Ojczyznę — bez pożytku. Pożyteczniej tedy oddać harmaty i pieniądze... ręce żołnierzy zaprzędz tu taczek, niech pracują dla Prusaków — pożytecznie; krew ich szczerzyć, niech się leje teraz pod knutem i batem — pożytecznie...”

I rzeczywiście, pracowali ci „internowani” w najstraszniejszych warunkach, urągających wszelkim prawom kombatanckim i humanitarnym. Całe lato, jesień i zimę własnymi karkami zwożąc kamienie, „nie opuszczając choćby najśrotniejszy i najmroźniejszy był dzień”, kopali ziemię i wały fortyfikacyjne sypali, dostając na całą dobę kwartę kartofli gotowanych, funt chleba i trzy grosze pruskie.

ranny 23 kwietnia), ppor. A. Kuczkowski, sierżant-major (starszy sierżant) L. Iwanczewski, sierżanci Szolowski, Narowski i Jakobiński. Trzech oficerów i pięciu podoficerów podanych zostało do oznaczeń, wiadomo nam tylko o jednym, ppor. Borkackim, który otrzymał krzyż kawalerski Legii Honorowej. Otrzymali również potwierdzenie swoich prowizorycznych dotąd stopni: porucznicy J. Wern i K. Zarembecki, oraz podporucznicy J. Tittenbronn i A. Kuczkowski (gen. Bernelle, dowódca Legii Cud. w latach 1833-37: «Histoire de l'Ancienne Légion Etrangère», Paris 1850, oraz «Kronika Emigracji Polskiej», Tom I-II, Paryż 1834).

25) Równocześnie z tym przenieumerowaniem, Batalion «polski» został dekretem królewskim z dn. 19.4.1834 oficjalnie uznany jako etatowa jednostka Legii Cudzoziemskiej, a major Horain zatwierdzony jako jego dowódca.

26) Pruska Gazeta Urzędowa, 6.2.1834.

27) W połowie 1833 roku było ich około 700, z których w twierdzy gdańskiej 382, a w grudziądzkiej 184. Liczba ta jednak ulegała ciągłej zmianie w miarę wylapywania byłych powstańców, przedzierających się z Królestwa do Prus, w nadziei dotarcia tą drogą do Francji. Jeszcze w 1936 r., po deportacjach i repatriacjach, w samym Grudziądzu przebywało 477 «internowanych».

Mimo tych warunków, mimo wysiłków, presji a nawet mordów²⁸⁾ stosowanych przez władze pruskie, żołnierze ci z uporem nie chcieli skorzystać z „amnestii”, pragnąc „żyć i za wolność ginąć”.²⁹⁾ Pochodzili głównie z Ziemi Wschodnich Rzeczypospolitej, z Litwy i Rusi, i zdawali sobie sprawę jaki los ich czeka w razie powrotu. Dochodziły ich już wieści o masowych zesłaniach kolegów-powstańców do floty czarnomorskiej, w żołdacy na Kaukaz i do kopalń syberyjskich.

Jeżeli chodzi o tych powstańców, którzy przekroczyli granicę Galicyjską, nie skorzystali z „amnestii” i nie emigrowali dalej do Francji, to żyli oni początkowo względnie spokojnie, przebywając na „parolu”.³⁰⁾ Gdy jednak nieszczęśliwa wyprawa Zaliwskiego oraz przybycie do Galicji liczonej rzeszy emisariuszy emigracyjnych wywołały w tej „austriackiej” prowincji poważne niepokoje, cesarz Franciszek II-gi przestrzaszył się swojej łagodności i również nakazał „internować” najbardziej niebezpiecznych.

Jednakże międzynarodowa sytuacja w połowie 1833 roku była tego rodzaju, iż polskich „przestępców politycznych” trudno było siłą repatriować w objęcia Moskwy.³¹⁾ Nawet samo przeciagające się „internowanie” ich w twierdzeniach pruskich i austriackich wywoływało już protesty rządów francuskiego i angielskiego.³²⁾ Zezwolenie im na udanie się do Francji lub Anglii, gdzie tylko powiększyliby szeregi emigracji przygotowującej nowe powstanie, było nie do pomyślenia. Wobec tego Fryderyk Wilhelm pruski i Franciszek II-gi austriacki, przy cichej aprobacie cara rosyjskiego, zawarli między sobą tajny układ, mający na celu przymusową deportację z granic Austrii i Prus wszystkich Polaków, pochodzących z Królestwa. Aby jednak deportacja ta była skuteczna, zwrócono oczy na dalekie i „dzikie” Stany Zjednoczone Ameryki Północnej.

Głosy zza Oceanu przedstawiały sytuację rodaków, przybyłych tam innymi drogami, za wręcz rozpaczliwą. Dla sprawy polskiej ludzie ci byli zupełnie straceni. Na wiadomość więc o mających nastąpić masowych deportacjach Polaków z Prus i Austrii, tak książę Adam jak i jego demokratyczni przeciwnicy poruszyli niebo i ziemię, by wyjazdowi temu przeszkodzić. Za-

28) Największy taki mord miał miejsce 27 stycznia 1832, w twierdzy pruskiej Fischau, gdzie do bezbronných Polaków, protestujących przeciwko przymusowej repatriacji, Prusacy oddali salwę, kładąc dziewiętnastu trupem.

29) List płk. J..., z marca 1833, drukowany w «Pielgrzymie Polskim», Paryż, 19.5.1833.

30) Na «parolu» takim przebywali w Austrii m. in. główni przywódcy powstania: Chłopiński w Krakowie i Szczyński w Pradze.

31) Gdy tylko sytuacja poprawiła się, Austria, Prusy i Rosja nie omieszkały zaraz zawrzeć, 1 kwietnia 1834 r., jawnego już układu o wzajemnym wydawaniu sobie «przestępców politycznych».

32) Interwencje te spowodowane zostały nieustannymi protestami tak ks. Czartoryskiego jak i demokratów polskich, generał Bem np. jeszcze w lutym 1832 złożył francuskiej Izbie Deputowanych specjalny «adres» w sprawie Polaków «internowanych» w Prusach oraz mordu w Fischau.

sadnicze różnice w poglądach na to, co z tymi ludźmi zrobić, gdzie ich umieścić i za czyje pieniądze utrzymywać, wywołały między „białymi” a „czerwonymi” nowy konflikt o władztwo dusz emigracyjnych.

Wśród deportowanych bardzo duży procent stanowili podoficerowie i szeregowi, których brakło dotąd w szeregach emigracji polskiej. Demokraci więc — widząc w nich swoich potencjalnych zwolenników — postanowili zatrzymać ich w Europie i wykorzystać dla własnych celów, tak rewolucyjnych jak i wewnętrzno-politycznych. Natrafili jednak na zdecydowany sprzeciw rządu francuskiego. Coraz bardziej zaniepokojony działalnością emigrantów polskich, nie tylko że nie chciał nic słyszeć o wpuszczeniu do Francji nowej ich partii, ale przystąpił do wydalania już przybyłych.³³⁾ Jedyne ustępstwo, jakie był gotów uczynić w stosunku do deportowanych — to przyjąć ich do Legii Cudzoziemskiej.

Książę Adam na propozycję tę przystał uważając, że jeżeli nie da się ich zatrzymać we Francji, to lepiej umieścić przy Francji, aniżeli dopuścić do wysyłki za Ocean. Również generał Dwernicki, ówczesna głowa Demokratów, musiał stwierdzić,³⁴⁾ że: „aczkolwiek byliśmy i jesteśmy przeciwni formowaniu z emigrantów polskich Legionu cudzoziemskiego w Algierze, sądzimy jednak, iż ta ostateczność powinna mieć pierwszeństwo nad podróżą do Ameryki”. Ale Dwernicki był starym żołnierzem. Miał sentyment do wojska. Uważał, być może, iż czasem lepiej jest mieć broń w rękę a sztandar za pazuchą, niż pod rozwiniętymi sztandarami prowadzić bezbronne szeregi. Bardziej zaciekl i bardziej „cywilni” Demokraci zdania tego zupełnie nie podzielali i pomysł wysłania Polaków do Legii zaatakowali jak najzjadliwiej.



Tymczasem deportacje stały się faktem dokonany. Niemal równocześnie, z dwóch krańców Europy, wyruszyły transporty „opornych”. 22 listopada 1833 r. z Triestu, dwie fregaty austriackie „Hebe” i „Gwezyera”, wiozące stłoczonych jak bydło 235 Polaków; oraz 24 listopada z Gdańska, trzy fregaty pruskie, „Elisabet”, „Union” i „Mariane”, mające pod swoimi pokładami 630 Polaków.

Historia tych transportów jest niezwykła.

Fregata „Elisabet”, wioząca około 200 Polaków, zawinęła do Havru. Deportowani, korzystając z tak niespodziewanej okazji znalezienia się u brzegów francuskich, zgodnie z zaleceniami

33) Ofiarami tego stanowiska rządu padło m. in. 25 oficerów polskich, wywiezionych przez Austriaków z Triestu do Marsylii 17 stycznia 1834 r. Jeszcze tego samego dnia wylapani zostali przez żandarmerię francuską i mimo oporu oraz protestów miejscowej ludności, przymusowo wywiezieni do Afryki, bez względu na to, czy chcą czy nie chcą do Legii się zapisać. Utworzyli oni w Oranie nowy «zakład» polski i tylko kilku do «polskiego» Batalionu wstąpiło.

34) W odezwie z lutego 1834.

Czartoryskiego, wystali petycję do Izby Deputowanych prosząc, by im zezwolono — jeżeli już nie mogą pozostać we Francji — zaciągnąć się do „polskiego” Batalionu Legii. Nim jednak prośba ta dotarła do Paryża, ludność Havru, dowiedziawszy się kto przebywa pod pokładem pruskiego statku, wtargnęła nań siłą i w triumfie sprowadziła Polaków na ląd, „gwałcąc tym samym wszelkie istniejące zarządzenia kwarantanny i przepisy policyjne”.³⁵⁾ W rezultacie rząd francuski, postawiony przed faktem dokonanym i pod naciskiem opinii publicznej, udzielił im zezwolenia na stały pobyt.

Fregata „Mariane” przybiła do Portsmouth, gdzie 200 deportowanych nią Polaków, również kategorycznie sprzeciwiło się dalszemu kontynuowaniu podróży. Władze brytyjskie zezwoliły im pozostać w porcie, pod warunkiem jednak, że zgłoszą się do Legii Cudzoziemskiej. Wciągnięci natychmiast przez emisariuszy politycznych emigracji w wir walki toczzonej o ich los, oświadczyli ostatecznie, że „obawiając się zdrady, pozostaną w Anglii i nigdzie dalej nie pojedą”³⁶⁾ — i słowa dotrzymali. Składki, na gwałt zebrane przez demokratyczny Komitet Narodowy, zabezpieczyły im chwilowo byt a z czasem rząd brytyjski, pod wpływem interwencji Czartoryskiego i jego wpływowych angielskich przyjaciół, przyznał im skromny zasiłek³⁷⁾ i prawo stałego pobytu. Utworzyli oni w Portsmouth sławną (w dobrym i złym tego słowa znaczeniu) „Gromadę Grudziąz Ludu Polskiego” i uważani są (słusznie lub niesłusznie) za pierwszych polskich socjalistów.³⁸⁾

Trzecia wreszcie fregata „Union” z 227 Polakami, zawinęła do portu w Harwich. „Ochotnicy do Ameryki”, poczuwszy za burtą wolną ziemię angielską, również odmówili dalszej jazdy i podobnie jak ich koledzy z Havru, wysłali do Paryża prośbę o przyjęcie do Legii Cudzoziemskiej.

Widząc, iż ludzie ci nie mają zamiaru pozostać na stałe w Anglii, władze brytyjskie chętnie udzieliły im zezwolenia na chwilowy pobyt, a nawet przyznały zasiłek.³⁹⁾ Lekarz, który z ramienia rządu francuskiego przyjechał stwierdzić, czy fizycznie

35) Pruska Gazeta Urzędowa, 6.2.1834.

36) Bolesław Limanowski, «Stanisław Worcell», Kraków 1910.

37) Zasiłek ten dla uchodźców polskich w Anglii potrzebujących pomocy, uchwalony został przez parlament brytyjski w 1834 r. Dostawali na 4 tygodnie: oficer sztabowy 3 funty, oficer młodszy 2 funty, żołnierz 1 funt 8 szylingów. Żony otrzymywały połowę, dzieci ćwierć. Żołnierzom, mieszkającym bezpłatnie w powojkowych barakach w Portsmouth, płacono tylko 1 funta. Pomoc ta była mniejsza niż otrzymywali inni uchodźcy polityczni, przebywający w Anglii, jak Francuzi czy Hiszpanie. Mniejsza również od zasiłku przyznanego emigrantom we Francji lub Belgii. Nic dziwnego więc, że Władysław Zamoyski uspakajał brytyjskiego Ministra Skarbu, że: «co do dalszego napływu emigrantów, tego się wcale obawiać nie należy, bo... sposób utrzymania się z subsydiów uchwalonych dla Polaków zapewne nigdy znieść tu nie może...».

38) A. Ciołkosz, «Było to w Portsmouth. Pierwsi socjaliści polscy» («Robotnik polski», Londyn 1948, nr 10).

39) Według «Kroniki Emigracji Polskiej» (4.4.1834), otrzymywać nawet mieli więcej niż żołnierze brytyjscy.

nadają się do służby w Legii, zdał sprawę, iż „trzeba by 5000 rekrutów francuskich, ażeby z nich dobrać 300 ludzi tak pięknych i wyrosłych, jakimi są wszyscy z Prus przybyli żołnierze polscy”.⁴⁰⁾ O ich politycznej „niewinności” najlepiej świadczy fakt, iż lekarza tego, pierwszego oficera francuskiego, jakiego ujrzeni, przywitani spontanicznym okrzykiem: „Niech żyje Francja!”

Książę Adam podanie 227 „harwiczan”, proszących tylko, „by najbardziej zasłużeni z nich mogli otrzymać awans przynajmniej na podoficerów w oddziale do którego wejdą”, przedstawił rządowi francuskiemu, od siebie załączając prośbę, aby por. Szyszło, który przyczynił się do namówienia ich do Legii mógł być również przyjęty do „polskiego” Batalionu w stopniu oficerskim.⁴¹⁾

Marszałek Soult z ochotą „harwiczan” do Legii przyjął. Odpłynęli też 4 kwietnia 1834, jako zwykli pasażerowie na statku angielskim, narzekając jedynie, iż racje mięsa im zmniejszono, dodając wzamian mąkę na puddingi, z którą wiara kłopot miała nim się przyprawiać nauczyła.⁴²⁾

Mimo przychylnego, zdawałoby się, załatwienia sprawy, wszyscy po przybyciu do Oranu, 24 kwietnia, przyjęci zostali do „polskiego” Batalionu Legii w stopniach prostych szeregowych,⁴³⁾ a por. Szyszło długo miał pozostawać „bezrobotnym” i w spisach oficerów Legii Cudzoziemskiej w ogóle nie figuruje.

Przewidując, iż pogarszające się położenie emigracji polskiej we Francji zmusić może w końcu rodaków do szukania pracy i schronienia w szeregach Legii Cudzoziemskiej, jak również uważając, że w danej chwili Legia jest jedynym sposobem zatrzymania przy Francji nowych rzesz uchodźców — książę Adam, na początku 1834 roku, przedłożył rządowi francuskiemu projekt zorganizowania przy niej osobnego „Legionu polskiego”. Za warunek stawiał: wyłącznie polski charakter tego oddziału, różne rodzaje broni (szczególnie kawaleria) w jego skład wchodzić, oraz nazwa i barwy narodowe. Wynagrodzenia dla żołnierzy żądał takiego samego jakie pobierali żołnierze francuscy, zaś po pewnym okresie służby, zezwolenia na naturalizację i powrót oddziałami na ziemię francuską. Pamiętając wreszcie San Domingo zastrzegając, że tylko w Europie i w krajach dokoła

40) Idem.

41) M. Pawlicowa.

42) «Kronika Emigracji Polskiej», 4.4.1834.

43) «Harwiczenie» tworzyli później w «polskim» batalionie Legii najbardziej zwartą grupę żołnierzy. W 1837 r., w Hiszpanii, wobec odmowy rządu francuskiego dalszego opiekowania się Legią, niewypłacania żołdu i strasznych warunków wojny domowej (w której stan Legii zredukowany został do kilkuset załadowanych ludzi), «harwiczenie» przy życiu wówczas jeszcze pozostał, korzystając z upływu trzyletniego kontraktu, jednocześnie z Legią wystąpił, żukając się nawet zaległego żołdu. Rząd francuski chcąc nie chcąc musiał ich do Francji przyjąć i umieścić w «zakładzie» w Angoulême, wypłacać sybysdia.

morza Śródziemnego będą Polacy użyci. Miał nadzieję, że może i z kraju ochotnicy będą się zgłaszać.⁴⁴⁾

Projekt ten, jak zresztą i wszystkie inne ówczesne wysiłki emigracyjne — był nie na czasie. Rząd francuski, acz przychylnie spoglądał na zaciąg Polaków do Legii Cudzoziemskiej, to jednak bynajmniej nie miał zamiaru formować jakiejś osobnej, polskiej jednostki bojowej. Polityczne motywy, niedwuznacznie kryjące się za planem księcia Adama, w razie przyjęcia go, naraziłyby Ludwika-Filipa na niechybny zatarg z Rosją. Były to przecież czasy, kiedy, wobec nowego naprężenia stosunków z Anglią — francuska opinia publiczna gwałtownie była przerabiana i karmiona artykułami w prasie, pod niebiosą wychwalającymi Rosję, która: „przez swoją pozycję geograficzną i warunki rozwoju cywilizacji (!!!) przeznaczona jest być pomocą dla Francji, a nie przeszkodą”.⁴⁵⁾ Wprawdzie w lipcu 1834, marszałek Soult, a nawet sam król, czynili księciu Adamowi pewne nadzieje, to jedynym ich rezultatem był rozkaz, by wszyscy Polacy zaciągający się do Legii Cudzoziemskiej, automatycznie wcielani byli do „polskiego” batalionu oraz, by oficerowie tego batalionu, za wyjątkiem oficerów płatników (sic!) byli wyłącznie Polakami.

Te nieustające zabiegi Czartoryskiego w stosunku do Legii Cudzoziemskiej wywoływały — rzecz zrozumiała — coraz gwałtowniejsze ataki ze strony kół demokratycznych emigracji. Największą jednak burzę, która ostatecznie przesądziła sprawę rozwoju „polskiego” Batalionu, i do której przyłączyli się nawet niektórzy zwolennicy księcia, wywołał Ludwik hr. Plater. Na jednym z zebrań Towarzystwa Literackiego w Paryżu wystąpił on z niefortunnym projektem, aby wszystkich emigrantów polskich obowiązkowo zatrudnić wedle posiadanego przez nich fachu. Żołnierze więc, którzy przeszło 75% emigracji tworzyli,⁴⁶⁾ mieli zaciągać się do wojska, czyli we Francji, cudzoziemców do regularnej armii nie przyjmującej, do Legii Cudzoziemskiej w Afryce. Odmawiających zgody miano pozbawić subsydium rządowego... Projekt ten, pomyślany jako artykuł do prasy, był czysto osobistym tworem chcącego zapewne jak najlepiej autora. Wychodząc jednak od „kasztelana”, jednego z najbliższych współpracowników Czartoryskiego i przedstawiony Towarzystwu Literackiemu, którego Czartoryski był prezesem, w bardzo niefortunnym świetle postawił całe stronnictwo „białych”, wywołując natychmiastową reakcję w postaci przeróżnych oskarżeń i kalumnii, szczególnie na samego księcia rzuconych.

„Wychodzący polscy mają za obowiązek publicznie ogłosić, iż Adam Czartoryski nie tylko nie posiada zaufania, ale uważany

44) Archiwum XX Czartoryskich w Krakowie: noty w sprawie formacji Batalionu polskiego w Algierze, 1834.

45) Paryski «Moniteur du Commerce» z 1834 r.

46) W 1833 r., na niecałe 5000 emigrantów polskich we Francji, 4042 było wojskowych.

jest za nieprzyjaciela Emigracji polskiej...”, orzekał nieprzytomnie „Akt demokratycznej emigracji”. „Nie miejsce dla żołnierza polskiego stać na równi z łotrzykami, wybranymi z całego wojska francuskiego...”, dodawał bardziej rozsądnie ks. Czetwertyński, członek Towarzystwa Literackiego, a Worcell i Pułaski wołali: „Czy to myśmy spowodowali deportacje do Algieru?”, oskarżając Czartoryskiego, że chce się pozbyć emigrantów polskich, by mu nie przeszkadzali w sięganiu po koronę.

6

Gdy emigracja we Francji słowem i piórem walczyła o dusze polskie, „polski” Batalion Legii Cudzoziemskiej z bagnetem lub łopata w rękę, pod skwarnym niebem afrykańskim, wywalczał sobie sławę i uznanie.

W połowie 1834 roku, w Oranie, po przybyciu „harwiczan”, stan Batalionu podniósł się do pełnych sześciu kompanii, razem około 600 żołnierzy i 16 oficerów. Prowadzenie się ich i trzeźwość były przedmiotem podziwu u samych Francuzów. Od chwili powstania Batalionu, żaden jego żołnierz nie był oddany pod sąd, co stanowiło zupełny wyjątek już nie tylko w samej Legii ale i w całym wojsku francuskim w Afryce. Przełożeni cenili ich, koledzy — bez względu na narodowość — szanowali i podziwiali, widząc w nich swego rodzaju „arystokrację legionową”. Skazani jednak byli na powolne wymarcie. Wewnętrzne spory w łonie emigracji polskiej — od której swoją dyscypliną i moralnością tak odbijali — przeszkodziły dalszemu, masowemu zaciągowi. Zgłaszały się tylko jednostki, równocześnie zaś z panującą w Oranie cholera i walki z Arabami poważnie przerzadzały szeregi.

Trzy kompanie „polskiego” Batalionu wzięły jeszcze udział w 1835 roku, w tragicznej wyprawie gen. Trézel na Abd-el-Kadera. W krwawej bitwie pod Muley-Ismael, 26 czerwca, idąc w straży przedniej dywizji francuskiej, mieli 30 zabitych i rannych. W dwa dni później, w bitwie pod Macta, mając polecenie pilnowanie konwoju rannych, zostali z tego stanowiska odwołani na pomoc „włoskiemu” Batalionowi Legii, który zdziśiatkowany, uległ panice. Włochów już nie uratowali, gdyż cała dywizja poczęła uciekać, i sami ledwie — do ostatka utrzymując porządek — zdołali się za nią wycofać. Na pozostawiony jednak bez osłony konwój rannych napadli Arabowie i wszystkich w barbarzyński sposób wyrznęli.⁴⁷⁾ Między zamordowanymi znalazł się również porucznik Wiktor Józefowicz, ranny dwa dni wcześniej pod Muley-Ismael.

47) Generał Trézel tak o tym pisze w liście do M. de Colleville (12.3. 1842): «Bitwa nie miałaby tak tragicznego rezultatu, gdyby ppłk. Conrad nie wydał dzielnemu majorowi Horainowi nieprzemysłanego rozkazu, by ten ze swoimi kompaniami opuścił tabor i poszedł na pomoc 5-mu batalionowi («włoskiemu»). Horain uważał za swój obowiązek wykonać rozkaz otrzymany od swojego bezpośredniego dowódcy... Z tego powodu konwój rannych znalazł się w pewnej chwili bez wystarczającej osłony...».

Za obie te bitwy major Horain odznaczony został krzyżem kawalerskim Legii Honorowej, a porucznik Gaucz i podporucznicy Wierzbiński i Borkacki cytowani byli w rozkazie armii. Był to już jednak „łabędzi śpiew” „polskiego” Batalionu. Antagonizm, jaki narodził się między Włochami a Polakami na tle tragicznych wypadków pod Macta, doprowadził niedługo później do poważnych awantur a nawet rozlewu krwi, i stał się jednym z głównych powodów rozwiązania wszystkich „narodowych” batalionów Legii.

27 czerwca 1835, w przeddzień bitwy pod Macta, Legia Cudzoziemska została przez Francję sprzedana królowej Marii Krystynie hiszpańskiej. Z całym dobrodziejstwem żywego i martwego inwentarza (z wyjątkiem sztandaru). Cudzoziemcom nie dano żadnego wyboru. Żołnierze i podoficerowie musieli do Hiszpanii pojechać, by do końca wysłużyć swój kontrakt w Legii. Oficerowie wprawdzie mogli odmówić wyjazdu, ale tracili wówczas wszystkie prawa do pobierania subsydiów rządowych, nie będąc już uważani za „réfugiés”.

Cała ta tranzakcja oraz jej warunki były bez precedensu nie tylko we Francji, ale i w innych krajach. Jedynym może podobnym wypadkiem było odstąpienie wojsk heskich Anglikom, którzy użyli je w wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych Ameryki. Ale była to tylko sprzedaż typowego „mięsa armatniego”, ludzi siłą porwanych do wojska, podczas gdy legionieści byli w stu procentach ochotnikami.

Protestowali też i mało do buntu wśród nich nie doszło. Ostatecznie jednak musieli skapitulować.⁴⁸⁾ Ugłaskani nieco awansami⁴⁹⁾ i wypłatą trzymiesięcznego żołdu, zostali 1 sierpnia 1835 załadowani na statki i odplynęli na wojnę do Hiszpanii.

Nie na tym tylko skończyła się ich tragedia. 18 sierpnia, w przeddzień wylądowania w Tarragone, pułkownik Bernelle, w obawie przed narodowymi niesnaskami, zarysowującymi się wśród oddziałów, przeprowadził radykalną reorganizację dowodzonej przez siebie Legii Cudzoziemskiej. Aby antagonizmy (których typowym i drastycznym przykładem był konflikt polsko-włoski powstały na tle bitwy pod Macta), nie wpłynęły ujemnie na „służbę i honor Legii”, oraz celem wyrobienia w niej ciągle jeszcze niedostatecznego „esprit de corps”, rozwiązał on

48) Najostrzej, nie tylko spośród Polaków, ale i wszystkich cudzoziemców, na tę całą tranzakcję zareagował kpt. Tański. Stanowczo odmówił on udania się w szeregi Legii do Hiszpanii. Pozbawiony wobec tego natychmiast dowództwa kompanii i wszelkich praw wojskowych, jako osoba cywilna, podejrzany o korszachy z Don Carlosem, odesłany został do Francji. Major Horain również podał się do dymisji, w ostatniej jednak chwili, ublagany przez kolegów, cofnął ją, nie chcąc opuszczać rodaków-żołnierzy w chwilach dla nich najbardziej krytycznych.

49) Z Polaków awansowali: na kapitanów — porucznicy Gaucz i Wern; na poruczników — porucznicy «à la suite» Karaskiewicz i Zalbachowski oraz podporucznicy Borkacki, Ledóchowski, Tittenbronn i Wierzbiński. Podporucznikiem wreszcie mianowany został sierżant-major Iwanczewski.

wszystkie „narodowe” bataliony, oficerów i żołnierzy rozrzucając proporcjonalnie po nowoutworzonych „międzynarodowych” już batalionach.

W ten sposób, pogwałciwszy przepis, że Legia Cudzoziemska użyta być może tylko poza kontynentem, gwałcono z kolei drugi, mówiący, iż bataliony jej złożone być mają z „ludzi jednej narodowości, mówiących jednym językiem”. Ale bo też Legia przestała już być „francuska”. Jej statuty, podpisane dionią Ludwika-Filipa, przestały dotyczyć międzynarodowych oddziałów kondotierów, sprzedawanych lub wynajmowanych i bijących się tam gdzie im każą, obojętnie dla jakiej sprawy, za czyje pieniądze i w czym interesie.

600 żołnierzy polskich i 16 oficerów rozproszono więc po wszystkich batalionach Legii. Zasłynęli oni w wojnie karlistowskiej, szczerze swoją krew „za Waszą wolność” przelewając. „Osobiście na tym przemieszaniu nic nie stracili, ale owszem, tylko zyskali, odznaczając się bowiem, w największej części w kompaniach wyborowych się znajdowali, w największej proporcji awansując na oficerów i podoficerów...”⁵⁰) Wielu z nich, po zakończeniu wojny domowej, ponownie zaciągnęło się do „Nowej Legii Cudzoziemskiej” w Afryce, gdzie brali udział w na dobre już rozgorzałej wojnie z Abd-el-Kaderem. Ostatni wreszcie, na Krymie jeszcze krew swą w szeregach Legii przelewali.

Sama Legia Cudzoziemska uwieczniła ich w swojej pieśni, powstałej w 1835 roku, zaczynającej się od słów: „Nobles pros-crits, ennemis de tyrans, réfugiés de tous les points du monde”, której druga zwrotka poświęcona jest żołnierzom „polskiego” Batalionu:

*„Au premier rang, Polonais généreux.
Marchez, l'honneur vous vit toujours fidèles:
Pour vous guider, déjà du haut des cieux,
Votre aigle blanc a déployé ses ailes...”*

Ci „dzielni Polacy”, wyszkoleni w najtwardszej szkole wojskowej, byli potem wszędzie tam, gdzie w pierwszej połowie XIX stulecia toczyła się walka z zaborcami. Spotykamy ich w powstaniu Wielkopolskim i w Legionie Polskim we Włoszech i na Węgrzech. Ostatni weterani uczą dyscypliny i tradycję oręża polskiego przekazują młodszemu — w Kozakach Sadyka Paszy Czajkowskiego lub w Dywizji polskiej generała Zamoyskiego w Turcji. Niewielu spośród ich grona na emigracji zgnębiało.

Gdy jednak w literaturze francuskiej każda historia walk Legii Cudzoziemskiej w Afryce lub Hiszpanii, oddaje należyty hołd „dzielnyemu Polakom” z 4-go Batalionu, w literaturze czy historii polskiej, o tym wyjątkowym oddziale, zgoła glucho. Najwyżej skromne, lub całkiem ogólnikowe wzmianki...

50) «Kronika Emigracji Polskiej», 1836.

Usiłowania księcia Adama i jego obozu, nakłonienia wychodźców polskich do wstępowania do Legii Cudzoziemskiej nie dały więc rezultatów. Natrafiwszy na opór w łonie samej emigracji i widząc, że droga poprzez francuskie Ministerstwo Wojny również do niczego nie prowadzi, książe Adam starał się już tylko o polepszenie losu tych rodaków, którzy z własnej woli lub za jego namowami znaleźli się w Legii. W tym też celu komunikował się bezpośrednio z gen. Desmichels⁵¹) oraz z gen. Pelet, dyrektorem Departamentu Wojny w Paryżu, prosząc ich, by opiekowali się Polakami przebywającymi w Afryce oraz tymi, którzy tam przybyć jeszcze mogą.

I na tym smutnym finale zakończyłoby się zapewne zainteresowanie emigracji polskiej francuską Legią Cudzoziemską, gdyby nie wypadki 1835 roku. Na przekór bowiem wszystkiemu, a na dowód dalekowzroczności polityki Czartoryskiego, w roku tym zaistniała całkiem wyjątkowa i realna możliwość utworzenia kilkotysięcznego „Legionu Polskiego”.

Jeszcze w 1834 r., Anglia, Francja, Portugalia i Hiszpania zawarły między sobą Czwórprzymierze. Miało ono na celu usunięcie z półwyspu Iberyjskiego wpływów Świętego Przymierza, czyli personalnie — pretendentów, Don Miguela portugalskiego i Don Carlosa hiszpańskiego. Pierwszego zlikwidowano szybko i bezboleśnie; Don Carlos jednak, rozpętawszy zawieruchę wojny domowej, rósł szybko na siłach, a otwarcie popierany przez Mikołaja I-go i Metternicha, stawał się groźny. Anglia, obawiając się wyjścia wpływów rosyjsko-austriackich na Atlantyk i zamknięcia przez nie morza Śródziemnego, postanowiła wysłać na pomoc królowej regentce Marii Krystynie, 12-to tysięczny Legion. Francja, obojętna a nawet z cicha zadowolona zagrożeniem imperialnych, brytyjskich dróg komunikacyjnych, nie mogła się jednak pogodzić z myślą, że Hiszpania dostać się może pod wpływy angielskie, wobec czego sama również przyrzekła Marii Krystynie swoją Legię Cudzoziemską z Afryki.

Anglicy, podobnie jak Francuzi, nie mając zamiaru na wojnę domową do Hiszpanii wysłać swoich własnych, regularnych wojsk, już z początkiem czerwca 1835 r. zwrócili się do gen. Henryka Dembińskiego z propozycją zorganizowania brygady lub dywizji polskiej, która by weszła w skład Legionu brytyjskiego. Dembiński jednak, nauczony ostrożności swoimi smutnymi doświadczeniami z misji do Egiptu, ofertę tę odrzucił, pisząc, że: „stopień posiadany we własnej Ojczyźnie i mimo-wolny blask z którym go otrzymałem, nie pozwala mi iść z korpusem pomocniczym, chyba tylko jako korpusu tego dowódcą!”

Tymczasem, po rozwianiu się różnych planów emigracyjnych, oraz po zahamowaniu zaciągu Polaków do Legii Cudzoziem-

51) Archiwum XX Czartoryskich w Krakowie: list ks. Adama do gen. Desmichels (27.7.1834) oraz gen. Pelet do ks. Adama (8.1.1835).

skiej, wielka ilość żołnierzy-wychodźców znalazła się bez pracy i chleba. Położenie ich było tym przykrzejsze i niepewne, że rząd francuski, a nawet opinia publiczna, coraz niechętniej spoglądały na uchodźców politycznych, żyjących na koszt państwa i namawiających do niepopularnej wojny z Rosją. Hiszpania, już wówczas doświadczała poligon, na którym Czwóprzymierze Zachodu mierzyło swoje siły ze Świętym Przymierzem Wschodu, wydawała się być najlepszym wyjściem z tego kryzysu emigracyjnego. Wojna toczona w imię liberalizmu i wolności przeciwko absolutyzmowi i reakcji była wśród wychodźców polskich bardzo popularna.

W porozumieniu więc z księciem Adamem, w czerwcu 1835 r., generał Dembiński złożył francuskiemu Ministerstwu Wojny i hiszpańskiemu ambasadorowi w Paryżu wniosek, proponujący, aby Legia Cudzoziemska odstępowana właśnie Hiszpanii, uzupełniona została żołnierzami polskimi i jemu oddana pod dowództwo. Sytuacja polityczna jednak ciągle jeszcze nie była skryształizowana. Ludwik-Filip nie mógł się zdecydować, kogo wolałby jako sąsiada w Madrycie. Absolutnego monarchę Don Carlosa, w którym widział sojusznika przeciwko hegemonii angielskiej; czy też liberalną Marię Krystynę, pod której rządami obawiał się, że półwysep Iberyjski stanie się azylem wszystkich republikanów i rewolucjonistów europejskich.⁵²⁾ Wobec tego Hiszpania, której bardziej zależało na pozyskaniu polityków francuskich aniżeli żołnierzy polskich, wniosek Dembińskiego chwilowo odrzuciła, dowództwo „Dywizji Posiłkowej” (jak zwał się miała w Hiszpanii Legia Cudzoziemska) ofiarowując generałowi Desmichels. Ale tym razem Dembiński, aczkolwiek ponownie oświadczył, że inaczej nie pójdzie z Dywizją jak tylko jako jej dowódca, wyraził gotowość zajęcia się formacją oddziałów polskich, mających wejść w jej skład. Również francuski Minister Spraw Wewnętrznych, widząc doskonałą okazję pozbycia się z Francji setek uciążliwych cudzoziemców, skłonny był planom polskim udzielić swojej pomocy.

Wypadki szybko postępowały naprzód a z dnia na dzień zmieniała się sytuacja polityczna. Generał Desmichels warunków hiszpańskich nie przyjął (czy też od swoich odstąpić nie chciał) i zrzekł się proponowanego mu dowództwa, wobec tego Hiszpanie ofiarowali je Dembińskiemu.

Tym razem wyraził swoją zgodę, proponując równocześnie rozwinięcie „Dywizji Posiłkowej” w Korpus przez podniesienie jej stanu do 10.000 ludzi, zorganizowanych w trzech rodzajach broni. Stawiał jednak warunek, aby konwencją z Hiszpanią w sprawie zaciągu nowych ochotników zagwarantował rząd francuski.⁵³⁾ Licząc się z tym, że blisko 100% ochotników stanowić

52) Echo tych obaw znajdujemy na procesie Ludwika Allbanda, który w 1836 r. dokonał nieudane zamachu na życie Ludwika Filipa. Prokurator francuski utrzymywał wówczas, że oskarżony działał pod wpływem włoskich i polskich rewolucjonistów, gromadzących się w Barcelonie.

53) Jak widać, nie poszła w las nauka, otrzymana od Portugalii, u której

będą Polacy, Dembiński żądał dla Korpusu polskiej nazwy, odznak i mundurów. Komenda miała być w języku polskim lub francuskim, służba zaś nie ograniczona żadnym terminem tak, by każdy żołnierz miał prawo opuszczenia jej kiedy zechce. Po zakończeniu wojny rząd hiszpański mógłby „Legion Polski” (jak zwał się miał Korpus Posiłkowy) albo nadal zatrzymać na swojej służbie, albo też rozwiązać go, wypłaciwszy żołnierzom sześciomiesięczną odprawę. W takim wypadku mieliby oni prawo osiedlić się w Hiszpanii lub we Francji, której rząd zobowiązałby się ponownie wypłacać im subsydia. W razie przyjęcia tych warunków, Dembiński proponował utworzenie specjalnej komisji, złożonej z kilku wybitnych emigrantów Polaków, która stosując się do wskazówek rządów francuskiego i hiszpańskiego, zajęłaby się organizacją „Legionu Polskiego”.⁵⁴⁾

Projekt szedł bardzo daleko. O dwadzieścia lat wyprzedzał organizowaną na podobnych podstawach i warunkach, w czasie wojny krymskiej 1855 r., Dywizję Polską generała Władysława Zamoyskiego. Od samego początku jednak natrafił na przeszkody, które ostatecznie okazały się nie do przezwyciężenia.

Pierwszy cios zadali bankierzy paryscy, którzy wobec spadku papierów hiszpańskich, odmówili udzielenia pożyczki na uzbrojenie i umundurowanie ochotników polskich. Rząd francuski również, inne cele mając na widoku niż drażnienie cara Mikołaja formowaniem we Francji „Legionu Polskiego”, do propozycji polskich odniósł się nieprzychylnie. Nagła wreszcie i podejrzana śmierć gen. Zumalacarregui, genialnego dowódcy wojsk Don Carlosa, z którego odejściem „umarł duch karlistowskiej armii”, wzbudziła u krystynosów (jak zwano żołnierzy Marii Krystyny) płonne nadzieje na łatwe zwycięstwo bez oglądania się na obcą i kosztowną pomoc. Wszystko to sprawiło, że rząd hiszpański niechętnie odniósł się do propozycji polskich. Rozwinięcie „Dywizji Posiłkowej” w Korpus i podniesienie jej stanu do 10.000 ludzi uznał za niepotrzebne i zbyt kosztowne; Dembińskiemu oświadczył, że jeżeli chce, to dowodzić może tylko tymi siłami, które odstąpione już zostały przez Francję, czyli Legią Cudzoziemską, liczącą około 5.000 żołnierzy.

Generał, pragnąc ratować sytuację, wymagania swoje opuścił do 8.000 żołnierzy i 300 jazdy, lecz gdy i ten projekt został przez ambasadora hiszpańskiego w Paryżu odrzucony, oświadczył, że dowództwa się zrzeka. Nim jednak decyzja ta zdołała dotrzeć do Madrytu, przyszło stamtąd, 9 lipca 1835 r. zatwierdzenie Dembińskiego na dowódcę „Dywizji Posiłkowej” w stopniu generała dywizji, zaś 27-go tegoż miesiąca, ugodowa odpowiedź, iż rząd hiszpański zgadza się na podwyższenie jej stanu o... 600 jazdy. O formowaniu artylerii nie było mowy, a sprawę zwiększenia piechoty pozostawiano w zawieszeniu. Największym

jeszcze w 1845 roku, Bem i Czartoryski, dopominali się o zaległe i niewypłacone należności byłych żołnierzy «Legionu Portugalskiego».

54) Archiwum XX Czartoryskich: «Articles essentiels pour une convention à octroyer Polonais devant former une Légion étrangère pour Espagne».

atoli ciosem było, że Madryt kategorycznie nie zgadzał się na jakąkolwiek nazwę polską, lub znaki narodowość tę przypominające. Odrzucono również propozycję, aby wśród nowo przyjmowanych oficerów dwie trzecie stanowili Polacy.

Mimo tych ciężkich z narodowego punktu widzenia warunków, Dembiński dowództwo ostatecznie przyjął, prosząc jedynie o dwóch adiutantów-Polaków i na szefa sztabu Dywizji proponując pułkownika Feliksa Breańskiego.

Wydawało się, że cel księcia Adama, zorganizowania żołnierzy polskich w jednym oddziale, jeżeli już nie pod narodowym sztandarem to przynajmniej pod polskim dowództwem, częściowo choćby zostanie osiągnięty. Snuto nadzieje, że to co się nie powiodło w Portugalii, Turcji, Egipcie czy Algierze, powiedzie się nareszcie w Hiszpanii. Przypuszczano że Madryt, rychło przekonawszy się o walorach żołnierza polskiego, przestanie sprzeciwiać się i pozwoli otworzyć szeregi „Dywizji Posiłkowej” dla szerokiej rzeszy polskiej emigracji wojskowej.

Cios przyszedł szybko i niespodziewanie.

Dembiński, który swój wyjazd do Hiszpanii odłożył, oczekując przybycia do Paryża wysłannika rządu hiszpańskiego, upoważnionego do rekrutacji ochotników do „Dywizji Posiłkowej”, został nagle 3 sierpnia wezwany do ambasady hiszpańskiej. Dowiedział się tam, że nadesłana instrukcja pozwala tylko na zaciąg rodowitych Francuzów. Hiszpania doszła ostatecznie do przekonania, iż nie należy zbyt drażnić Rosji i Austrii. Napróżno Dembiński tłumaczył, że do uzupełnienia Dywizji wystarczy chwilowo 100-200 oficerów, których trudno znaleźć lepszych niż Polaków; że wśród emigrantów polskich pięciu ofiarowuje się na każde jedno wolne miejsce; że wielu wyższego stopnia oficerów chce pełnić służbę w niższym stopniu... Nie przekonał nikogo. Nie zgodzono się nawet na pułkownika Breańskiego.⁵⁵⁾ Mimo więc ułudnych obietnic powiększenia „z czasem” Dywizji Posiłkowej nawet do 12.000 żołnierzy; mimo zachęty osobistej, iż liczyć może na stałą służbę w wojsku hiszpańskim — generał definitywnie rzekł się dowództwa, uważając słusznie, że w tych warunkach żadnej korzyści sprawie polskiej przynieść nie może.⁵⁶⁾

8

Dla skompletowania obrazu stosunku emigracji polskiej do służby w Legii Cudzoziemskiej, należy jeszcze wspomnieć choćby pokrótce o „Pułku Ułanów Polskich Legii Cudzoziemskiej”,

55) Mimo to, po przybyciu Legii Cudzoziemskiej do Hiszpanii, Szefem Sztabu «Dywizji Posiłkowej» został jednak Polak — Tadeusz Horain, mianowany równocześnie podpułkownikiem.

56) List gen. Dembińskiego, ujawniający historię jego zabiegów o stworzenie «Legii Polskiej» w Hiszpanii («Kronika Emigracji Polskiej», Tom IV, 1835).

którego dzieje są już właściwie całkiem osobnym rozdziałem w historii wojska polskiego na obczyźnie.⁵⁷⁾

W 1836 roku, gen. Bernelle, były dowódca Legii Cudzoziemskiej w Algierze, po rezygnacji Dembińskiego mianowany dowódcą francuskiej „Dywizji Posiłkowej” w Hiszpanii, stanął przed nagłą potrzebą posiadania kawalerii. Powołując się na zgodę Madrytu, wyrażoną co do takiego oddziału w rokowaniach z gen. Dembińskim, i uzyskawszy całkowitą aprobatę gen. Cordovy, naczelnego wodza hiszpańskiej armii północnej, przystąpił w maju do organizowania przy Legii pułku kawalerii, który nazwał „Pułkiem Ułanów Polskich”. „Miał możliwość utworzenia tego pułku z Francuzów i obsadzenia go francuskimi oficerami. Nie czyniąc tego, a powierzając zorganizowanie oddziału oficerom polskim z polskich szeregowych, dał tym samym dowód daleko idącej sympatii dla narodu i sprawy polskiej”.

Głównym projektodawcą, organizatorem i opiekunem pułku był szef sztabu „Dywizji Posiłkowej”, pppk. Tadeusz Horain, od chwili rozwiązania „polskiego” Batalionu Legii nieustający w zabiegach o ponowne zgromadzenie żołnierzy polskich w jednym oddziale.

Wiść o ułanach polskich w Hiszpanii lotem błyskawicy rozszła się po Francji i wywołała prawdziwy entuzjazm wśród bezrobotnych wychodźców polskich. Marszałek Maison, francuski Minister Wojny, popierał werbunek. Subskrypcja na zakup broni, rozpisana w Hiszpanii i we Francji, dała niespodziewane rezultaty⁵⁸⁾ i już z końcem maja 1836 r. pułk liczył trzy szwadrony. Prosił o przydział do niego m.in.: generał Bem i płk. Breański. Dowództwo pułku Horain ofiarował Władysławowi Zamoyskiemu, gdy ten jednak wymógł się od niego, dowódcą został ostatecznie stary wiarus napoleoński, szef szwadronu w 1-szym p. ułanów-Królestwa Kongresowego, major, później pułkownik, Henryk Krajewski.

Ułani bili się świetnie. Ich szarże pod Zubiri (1.8.1836) i pod Huesca (24.5.1837) przeszły do historii wojny w Hiszpanii. Zbięrali same pochwały i odznaczenia,⁶⁰⁾ Zasilani ochotnikami masowo zgłaszającymi się z Francji, mieli wszelkie szanse rozwoju, gdy nagle, w trzy miesiące po swoim powstaniu, otrzymali cios, który definitywnie powstrzymał ich rozrost.

W sierpniu 1836, odwołany został ze swojego stanowiska gen. Bernelle, tak przychylnie ustosunkowany do Polaków.⁶¹⁾ Niemal równocześnie Ludwik-Filip, skłonny już do znacznego powięk-

57) Jedyną rozprawę o nich w języku polskim napisał płk. dypl. Jerzy Grobicki, pt.: «Pułk Ułanów Polskich Legii Cudzoziemskiej», Warszawa, 1932.

58) Idem.

59) Nawet oficerowie i szeregowi Legii Cudzoziemskiej, stwierdziwszy kilkakrotnie na swojej skórze konieczność posiadania własnego oddziału kawalerii, odstąpili na ten cel zaległy zółd za rok 1835, w ogólnej sumie 52.000 franków.

60) 11 oficerów Pułku Ułanów odznaczonych zostało w Hiszpanii orderem wojskowym św. Ferdynanda 1-szej klasy.

61) Jak gen. Bernelle ceniony był przez ułanów polskich, świadczy ofiarowanie mu przez nich, w dniu odjazdu do Francji, wstążeczki krzyża «Vir-

szenia szeregów walczącej w Hiszpanii „Dywizji Posiłkowej”,⁵²⁾ na wiadomość o buncie wojska w La Granja, 15.8.1836, zakazał wszelkiej dalszej rekrutacji ochotników we Francji, skazując tym samym nie tylko Pułk Ułanów Polskich ale i całą Legię Cudzoziemską na nieuchronną zagładę na polach hiszpańskich bitew.

Oficerowie i szeregowi Polacy, masowo gromadzący się na granicy francusko-hiszpańskiej, w oczekiwaniu transportu do Pułku Ułanów, zostali odesłani z powrotem do „zakładów”. Zakupione już konie oddano kawalerii francuskiej...

Pułk tymczasem, a raczej tylko trzy szwadrony, które do tego czasu zdążono sformować, jeszcze do połowy 1837 roku walczył bohatercko w szeregach szybko topniejącej Legii. Później, straty wojenne i zdemobilizowanie się wielu zniechęconych zredukowały go do jednego szwadronu, który przeszedł pod bezpośrednie rozkazy gen. Espardero, naczelnego wodza armii hiszpańskiej. Wreszcie 8 grudnia 1838, wobec rozwiązania resztek „Starej” Legii Cudzoziemskiej, jej „Pułk Ułanów Polskich” również przestał egzystować. Większość oficerów i ułanów wstąpiła na służbę hiszpańską,⁶³⁾ część powróciła do Francji, kilku ponownie załągnęło się do „Nowej” już Legii Cudzoziemskiej, rozpoczynającej właśnie w Afryce krwawe zapasy z Abd-el-Kaderem.⁶⁴⁾

Po Ułanach Polskich Legii Cudzoziemskiej, podobnie jak po żołnierzach byłego „polskiego” Batalionu pozostały w Hiszpanii tylko skromne i szybko zapomniane wspomnienia w postaci nowych grobów polskich w Saragossie i Pampelunie. Pozostały również mniej skromne i dłużej pamiętane należności pieniężne od rządu hiszpańskiego dla tych żołnierzy, którzy powrócili do Francji. Dopiero w 1841 roku udało się księciu Adamowi Czartoryskiemu uzyskać przyrzeczenie ambasadora hiszpańskiego w Paryżu, iż mniejsze sumy wypłacone zostaną od razu, większe zaś — za dwa lata...

Wreszcie, byłym ułanom i legionistom trzeba było z powrotem zapewnić subsydia od rządu francuskiego, by znowu w „zakładach” siedząc i za Mickiewiczem o „Wojnę Ludów” się modląc, beczynnym czekać mogli na nową okazję wydobycia szabel z rdzewiejących pochew, i imię nieśmiertelnego hasła:

„Za Waszą i naszą wolność!”

Aleksander GROBICKI.

tuti Militari», jedynej cennej rzeczy, jaką wówczas mieli w swoim posiadaniu ci wygnañcy na dalekiej obczyźnie.

62) A to celem dokuczenia Austrii, która właśnie dała kosza synowi królewskiemu, starającemu się o rękę arcyksiężniczki.

63) Dowódca Pułku Ułanów, Henryk Krajewski, dosłużył się w armii hiszpańskiej stopnia pułkownika. Jego zastępca, Michał Horain (brat Tadeusza), był adiutantem gen. Espardero, dzielił z nim wygnanie w Londynie, po czym wrócił do Hiszpanii, jako generał brygady, w 1855 r. zmarł w Madrycie.

64) Zgromadzili się oni głównie w 2 Batalionie Legii, którym od 1837 roku dowodził b. dowódca «polskiego» Batalionu w Algierze, a potem Szef Sztabu Legii w Hiszpanii, major Tadeusz Horain.

Notatki amerykańskie

« Dzwonki »

Zaproszony przez Związek Narodowy do Chicago na 3-cio Majowy obchód, gdzie mam przemawiać o Katyniu, wyjeżdżam z New Yorku. Pociąg odchodzi o 5.10. Wychodzę z mieszkania na Madison Avenue dobrze po czwartej. W mig podjeżdża pod dom wolna żółta taksówka. Tych taksówek, z czerwonym, od zmierzchu zapalonym oczkiem — gdy są wolne — tysiące krąży po ulicach w poszukiwaniu pasażerów. W aucie gra radio kierowcy. Ruszamy w strudze aut, skręcamy na Park Avenue. Średnia wysokość domów 15 - 20 pięter. Wieże Waldorf Astorii, pyszne kościoły różnych chrześcijańskich wyznań, „prawie” gotyckie czy „prawie” romańskie. Przy jednym z nich widziałem robotnika na drabinie, który pilnie i energicznie tarł rzeźby z brązu, by dobrze błyszczwały. W głębi potężny tum Grand Central Station, ustawieniem wpoprzek ulicy, nawet kształtem przypominając mi zamerykanizowaną, dostosowaną do rozmiarów ulicy i domów — Bramę Floriańską.

Wczoraj jeszcze ostry chłód, dziś ciężka szara, duszna pogoda. Auto kołuje się jak łódka; oczywiście świetne resory, radio sączy muzykę bez przerwy. Poprzez szyby, z przodu, widzę po obu stronach jezdni na niezliczonych skrzyżowaniach sznury zielonych lampek; co parę minut gasną i na ich miejscu mruga sznur lampek czerwonych. Wszystkie auta stają, by miękkim ruchem znów ruszyć i znów stanąć za chwilę. Dusznosc, kołowanie, muzyczka, cikliwy zapach spalonej benzyny, nieustanne przystawanie i lekkie nudności.

Stacja. W parę sekund uprzejmy Murzyn zgrabnie ładuje moją walizkę na już załadowany wytwornymi walizkami wózek i wręcza mi numerek. W kieszeni mam już bilet do Chicago. Teraz nie mam już nic innego do roboty, jak tylko bez pośpiechu iść do pociągu, gdzie tragarz z rzeczami będzie na mnie czekał.

Przejazdy, wyjazdy, taksówki, tragarze, bilety, restauracje na stacjach i w wagonach, wszystko to jest tak zorganizowane,

idzie tak gładko, że po pewnym czasie jeździ się prawie mechanicznie, nie myśląc więcej o samej technice podróży, jak się nie myśli o guziku od kamizelki, gdy się ten guzik zapina lub odpina.

Wchodzę na stację zupełnie roztargniony, raczej zanurzony w swoich myślach. Długie przejścia, schody, światła do boku, światła z góry, płynący tłum — aż nagle przy wejściu do ogromnego hallu, głównej sali, budzi mnie jak uderzenie gromu potężna muzyka organowa wraz ze śpiewem wielkich chórów. Bach? Te organy muszą być gdzieś tuż. Mam przez sekundę wrażenie, że trafiłem przez pomyłkę do katedry.

Ale uspakaja mnie ogromny sztandar amerykański, spływający wzdłuż wielu piętér od stropu do ziemi i ogłoszenia zalane niezbyt ostrym, przyjemnym światłem elektrycznym: reklamy. Na ścianie znów kawiarka. Różowa, "jak żywa", ręka nachyla ją i znów struga kawy płynię do filiżanki i pyka z niej para. Inna ręka, również różowa, na drugiej ścianie wyciska jakąś pastę z tubki wielkości drobnej lufy armatniej. Dalej, w oświetlonej skrzyni przez szybę patrzy na nas uśmiechnięta twarz młodzieńca w nadszwyczej szykownym mundurze khaki i w czapce. Młodzieniec, jak z doskonałego panopticum, tryska rumieńcami zdrowia i radością życia. *The first citizen in the U.S.A.* — reklama wojska.

Wszędzie kioski i kioski, przeładowane jadem, cukierkami, butelkami, portmonetkami, książkami w pięknych okładkach. Potężne kioski gazetowe, wydania codzienne ogromne, a w niedzielę tak obfite w dodatki, że kupić parę gazet to ma się zaraz cały kufer do noszenia. Niezliczone miesięczniki, tygodniki, przeważnie na ciężkim, kredowym, glansowanym papierze, zawsze kolorowe okładki. Czytam w jakiejś z gazet, że jedna z firm wypuściła papiery nie tylko glansowane, ale i pachnące. Miesięcznik o leśnictwie wyszedł z zapachem igliwia.

Strugi ludzkie płyną we wszystkich kierunkach bez pośpiechu, bez nerwów. Nie widzę w tym tłumie ani jednego człowieka biednie ubranego — w europejskim znaczeniu tego słowa. Ani jednego, który by nerwowo targał swoje stare walizy, rozwalające się kosze i sznurami powiązane manatki. Wszystkie twarze syte, cery szczęśliwych dzieci — krew z mlekiem, wszystkie walizy nowe i wytworne.

Mimowoli wraca mi na pamięć wielka sala stacji w Kujbyszewie, podczas wojny. Sala też ogromna, cała podłoga zapchana ludźmi w łachmanach, półżywym i głodu i zimna. Brud, wilgotny odór tych ciał i tych szmat, na ścianach aż do sufitu portrety Lenina i Stalina. Zielonawy półmrok, ze środka sali płyną również, tak jak tu, potężne dźwięki świetnego radia; tylko tam na zmianę słyszałem walce Straussa. Nie kontrast materialny mnie dziś zastanawia, ale tu, na tej stacji amerykańskiej, zrealizowany ideał, o którym tam się stale mówi i pisze. Ideał dostatku udostępnionego masom, który tam jest podawany jako ideał wyłącznie sowiecki, fatamorgana, którą się karmi głod-

ne rzesze, wysyłając jednocześnie miliony ludzi na śmierć do obozów za to, że nie dość totalnie służą temu ideałowi, który byłby dawno zrealizowany, gdyby nie "krwawa Ameryka" i inni kapitaliści. I nie chodzi tu tylko o ten milionom udostępniony dostatek. Patrzę na wesołe, wykarmione dzieci, na kolorowe reklamy, słucham każdego uśmiechniętego "sorry" i powtarzam sobie po cichu tamte, stamtąd, slogany: *żil' stato wieselej i żywiom kulturno*. Bo i to tutaj uderza: grzeczność wszystkich ze wszystkimi, nikt głosu nie podnosi, nikt nie wydaje rozkazów, a gdzieżby się kto rozpychał? jest miejsce dla wszystkich.

Mówią mi, że gdyby nie ta grzeczność, ten *kredyt* zaufania, którym każdy natychmiast zostaje obdarzony, gdy się znajdzie na bruku nowojorskim (nikt na przykład w autobusie mnie nie pilnuje czy wrzucam za bilet do czegoś w rodzaju skarbonki tyle centów ile trzeba, lub czy może dosypałem zamiast centów parę guzików), gdyby nie ta ogólna i dobrowolna dyscyplina ludzi wszystkich narodowości, wszystkich kolorów, najsprawniejsza organizacja nie dałaby tu rady z przerzucaniem tych milionów ludzi jednego dnia z, do, i w New Yorku.

— "Ech, co warta ta grzeczność, nauczona" — mówi mi gorzki emigrant. Ja bym chciał wiedzieć, jaka grzeczność w Europie nie jest nauczona. Ile razy każdego z nas uczono, żeby mówił "proszę" czy "dziękuję".

Naturalnie, że to wszystko co opisuję to jest *powierzchnia*. Wystarczy przeczytać parę książek surowych o Ameryce, przez Amerykanów pisanych, wystarczy pójść na sztukę, która się od roku cieszy w New Yorku kolosalnym powodzeniem: "The Death of the Salesman", by ujrzeć rzeczywistość amerykańską w barwach najciemniejszych. Ale przecież ta powierzchnia także coś znaczy, to jest styl życia milionów. Ja: wiem, że pod tymi dobrze skrojonymi ubraniami biją takie same serca ludzkie, że i tu jest cierpienie, nienasycone, niewyżyte namiętności, rozpacz i śmierć, pomimo, że robi się tyle, by to ukryć, ale wyrazy twarzy, dostatek, zorganizowany, niegorączkowy rytm, to jest przecie życie na poziomie takim, o którym ludzie całej kuli ziemskiej marzą, życie nie paru tysięcy jednostek uprzywilejowanych, ale milionów Amerykanów. A styl ten to nie tylko styl Grand Central Station: przenika on wszędzie, widzę go na niezliczonych ulicach, widzę go nawet w kościołach.

Te kościoły z witrażami dziwnej mieszaniny comicks'ów religijnych z barwą szkieł we fioletach, granatach i czerwieniach, godną witrażów w Chartres, gdzie obrazy malowane "prawie" jak Fra Angelico, sąsiadują z rzeźbami "gotyckimi" czy "renesansowymi", błyszczącymi jak dobrze zadbane samowary, a w kościołach nowoczesnych rzeźby i mozaiki "modern" są wśród kotar i oświetleń prawie kinowych! Podczas nabożeństwa zakonnicy o dobrej tuszy i twarzach zażywnych i kolorowych, świetnie wyczyszczonych butach i habitach z solidnej materii, wsuwają zrecznie i wprawnie na długich, długich kijach szufle między ciężkie dębowe ławki, by nie opuścić ofiary żadnego z po-

bożnych, który już i tak swoje wejście musiał opłacić siedzącemu przy wejściu pedantycznemu osobnikowi. Ten ostatni te opłaty układa zgrabnie w drobne stopy, zależnie od wielkości monet. Wielcy kaznodzieje przemawiający przez radio do setek tysięcy pobożnych produkują jednocześnie maści lecznicze na skórę, z których czerpią ogromne dochody, dla celów użytecznych i nabożnych: na szpitale, kościoły (tu w Europie Benedyktynę również przecie wyrabiają zakonnicy). Myślę o niektórych kościołach na prowincji z dobrze funkcjonującą piwiarnią pod kościołem, z tryskającymi energią księżmi, sypiącymi cyframi, statystykami, organizującymi z zacięciem swoje bogate parafie, odpusty i święta narodowe, zamawiającymi na metry witraże i freski, ogłaszającymi w gazetach loterię z zakąskami dla parafian "na Częstochowie" i "karcianki" w Parafii Przenajświętszej Krwi. Wszędzie ten sam rytm zorganizowany, dumny z siebie, nasycony i *pomyślny*.

Nieraz w tych kościołach myślałem o Simone Well: "człowiek, którego cała rodzina zginęłaby w torturach — notuje podczas wojny — który by był sam długo torturowany w obozach koncentracyjnych, albo Indianin z 16-go wieku, sam jeden uratowany przy eksterminacji całkowitej swej plebmy. Tacy ludzie jeżeli wierzyli w miłosierdzie Boże, albo już weń nie wierzą, albo je pojmują całkiem inaczej niż uprzednio. Nie przeszedłem przez takie rzeczy. Ale wiem, że istnieją, więc cóż za różnica? Muszę dążyć, by mieć o miłosierdziu Bożym pojęcie, które się nie zaciera, które się nie zmienia, cokolwiek los by mi zesłał, i które mogłoby być przekazane każdemu człowiekowi".

I nagle tu, na Grand Central Station wśród grzmiącej muzyki Bacha i tłumów ludzkich poczułem się zupełnie sam. Co mamy tu do roboty my, Polacy, rozsypani, bezsilni, oszukani, z Warszawami i Katyniami w trzewiach, nudni "resistent Poles", którym jest tak trudno zapomnieć, że stracili podczas ostatniej wojny swój kraj i 6 milionów zabitych, zamordowanych. Muszą się oni przede wszystkim nauczyć wszystkich formułek amerykańskich, jak najszybciej nauczyć się uśmiechu i jeszcze głębiej — jeżeli nie zapomnieć, to schować, schować wszystko co w nich *waży i znaczy*. Żeby nie razić, nie gorszyć twarzą nie ułożoną w uprzejmy, "szczęśliwy" uśmiech, czy powagę dostojństwa, ubraniem niestandardowym, nerwami, ruchami, chodem innym, wprost *złym wychowaniem* w rozumieniu tutejszym.

A może wcale nie, może musimy *krzyczeć*, że to wszystko jeszcze zwycięstwo powierzchowne i straszliwie zagrożone, że bez myśli ogarniającej kulę ziemską bez żarliwej imaginacji i żarliwego współczucia dla każdej na kuli ziemskiej niedoli grozi i tutaj klęska, że my, wygnańcy, jesteśmy pomimo, czy dzięki całemu obciążeniu przeszłości, od której oderwać się nie chcemy czy wprost nie możemy, bardziej świadomi, może bardziej czujni i że tej nabytej gorzko świadomości, nie jeden z nas nie chciałby oddać za najbardziej amerykańskie szczęście.

Może naszą rolą jest właśnie o wszystkim pamiętać i świadomość budzić, że nasz los może stać się losem także Ameryki.

Dzwonem na alarm był wybuch wojny w Korei, gdzie tysiące młodych, rumianych "first citizens of U.S.A." zginęło nawet z początku nie bardzo rozumiejąc po co rzucono ich do walki w dalekim, obcym kraju, ale może tysiące dzwonek alarmowych — opowiadań tysięcy wygnańców coś także znaczy?

Jeszcze z dalekiej młodości pamiętam przeczytaną nowelkę Czechowa, w której bohater wyraża życzenie, by w każdym domu, gdzie pod lampą zasiada szczęśliwa rodzina do sytej wieczerzy, dzwonił nieustannie dzwonek alarmowy przypominając o tych, którzy nie mają domu, ani wieczornego posiłku. Może na to jesteśmy w Ameryce, żeby spełniać rolę tych dzwonek alarmowych?

Byłoby ostatnią hipokryzją widzieć w tej, tak często tu przeze mnie spotykanej, harmonii czystego sumienia z dostatkiem — cechę specyficzną amerykańską.

Już ponad półtora tysiąca lat temu św. Hieronim pisał, że chrześcijanie ówczesni "ubierają drogocennymi kamieniami swe księgi, gdy przed ich progiem kona nagi Chrystus", "Gemmis codices vestiuntur et nudus ante fores emoritur Christus". Kiedy myślę o prawdziwej żarliwości współczucia, przypomina mi się skromna Amerykanka, miss Lane, którą w 19 roku obserwowałem jak na Wołyniu rozwoziła ciężarówką worki białej jak śnieg mąki do wiosek polskich i ukraińskich, gdzie dawno już jedzono chleb z kory.

Gdy tłumaczyłem jej wyrazy wdzięczności tych chłopów, mówiła mi: "niech Pan mi tego nie mówi, czy Pan nie rozumie, że *mi jest wstyd!*"

Ona wiedziała, że przed jej progiem "emoritur Christus".

Czyż Europa XIX wieku nie miała całych warstw społecznych "triumfalnie sytych", prawdziwą żarliwość współczucia miały jak zawsze wyjątki a *nagminnie* filantropia była jeszcze jednym powodem do chwały i zadowolenia z siebie. Apoteozą tego stosunku do nędzy wydaje mi się zawsze ten pomnik w skwerze Sèvre Babylone w Paryżu, naprzeciwko wielkich sklepów Bon Marché. Założycielka tej firmy, pani bogata i wielce filantropijna, stoi na marmurowych schodach i lekko pochylona w marmurowym futrze, wyciąga rękę do małego chłopca w marmurowych również łachmanach.

Jeżeli w Europie dzisiaj jest inaczej, to chyba nie dlatego, by tu więcej niż w Ameryce kwitł "żarliwy krzew współczucia", o którym pisze Sambor, ale że nawet najbogatszy i najgłupszy Europejczyk czuje się zagrożony, bo Europa zbiedniała, bo straciła poczucie, że jest panią świata, bo... granice sowieckie są bliższe.

Mam zarezerwowaną przez Związek Narodowy "roomette" w sypialnym wagonie. Nigdy tak wytownie nie jeździłem. Od

chwili wyjazdu patrzę w prawo i w lewo zawsze z tym samym namiętnym zainteresowaniem. Pociąg sunie ponad Haarlemem i innymi niecentralnymi kwartałami. Szpetota nie do zniesienia tych ulic, wypełnionych tłumem ludzkim, papierkami i szmatami. Przez wąskie odnogi rzek czy kanałów stopy żelaza — mosty; prawie że jeden na drugim, zwodzone i niezwodzone, niektóre z nich mają podniesione ku niebu potężne przeszła dziwnego kształtu, wyglądają jak żelazne modele zwierząt przedtopowych. Najbardziej nowoczesne budowle stoją obok stacji kolejki podziemnej w stylu najlichszym, przypominającym stacje podwarszawskich wąskotorówek sprzed 1914 roku. Obok nowoczesnych dwudziestopiętrowych gmachów tysiące domów niskich, niczym się nie różniących od szpetnych domków żydowskiego mieszczaństwa, z końca 19-go wieku na Białej Rusi czy Ukrainie. Ale pociągają te miliony okien, a w oknach i na ulicach miliony twarzy: wszystkie barwy skóry, wszystkie kształty czaszek i wszystkie wyrazy od niesamowicie subtelnych do tępych czy zwierzęco dzikich.

Coraz to sterczy na ulicy, z ziemi, czarna skała Manhattanu, coraz to wśród niedobudowanych domów, składów czy kanałów widzę ziemię, która nie jest ziemią, ale jakimś ubitym, przysypanym śmieciami żużlem. Czasami, bardzo rzadko, widzę drzewo (jechałem raz taksówką trzy kwadransy do Brooklynu i nie zobaczyłem ani jednego). Te drzewa robią wrażenie nierealne i nie wierzę, że żyją, że mogą żyć w tym świecie.

Patrząc oczami malarza nie mam wątpliwości, że odkryć czy raczej stworzyć piękno tego świata (bo twierdzenie Wilde'a, że malarz tworzy piękno natury, bo je sobie i innym odkrywa, jest już dzisiaj nie paradoksem a banałem), więc, że tworzyć tu piękno można i trzeba, nie w poszukiwaniu gotowej malowniczości, ale poprzez studiowanie z precyzją absolutną, pokorą, może nawet czasami zgrzytając zębami, tych ulic milionów szyn, milionów ton żelaza, tej ziemi brunatno-czarnej, z palącymi się o zmierzchu śmietnikami, od których ponad szynami w wiosennym powietrzu idą ku mnie niskie chmury gryzącego, cuchnącego dymu. Trzeba patrzeć na te miliony twarzy, na ludzi wprzęgniętych w pracę prawie nadludzka z jakby nie opuszczającą nikogo z nich, i wbrew uśmiechom, formułkom uprzejmości, straszliwie samotną *idée fixe*, którą czytamy na twarzy prawie każdego człowieka: dorobić się, podnieść swój standard życiowy, prześcignąć sąsiadów, albo chociażby utrzymać się na tej prostopadłej, nad przepaścią zawieszonej, drabinie. Ileż razy pytając o coś przechodniów miałem wrażenie, że moim zapytaniem wrywam tych samotnych spieszących się ludzi z jakiegoś graniczącego ze snem somnabulicznym zamyślenia, że ci ludzie ogarnięci jedną myślą w nieustannym napięciu woli robią naprawdę wysiłek dlatego, by ze swojego świata myśli się wyrwać i dać mi *zawsze uprzejmie* radę czy wskazówkę.

Trzeba by na ten pejzaż patrzeć nie z okien wagonu, ale żyjąc tu latami i kochając tutaj żywe istoty, także na tych

drabinach walki o byt zaczepione. Tylko takie spojrzenie, bez fałszowania osłabiającego widzenie zbyt trudnej prawdy, może wykraść piękno tym ulicom. Tak jak Utrillo potrafił dać nam piękno, uroczą poezję szpetnych i śmiesznych ruder i domów przedmieść paryskich, jak Toulouse Lautrec stworzył sztukę głęboko ludzką, niezafałszowaną poezję, patrząc na trotuary i teatrzyki Montmartre'u, na paryskie domy publiczne i wyszmkowane stare ulicznice. Więcej w tym spojrzeniu było może ludzkości i miłosierdzia, niż w tomach ksiąg moralizatorskich. Trzeba, jak pisał Dürer, długo badać przedmiot i cały nim nasiąknąć, wtedy dopiero można dać "nowe dzieło, nowe stworzenie".

Już po 10 minutach zaczynamy wyjeżdżać z miasta. Domy stają się rzadsze. Patrzę na chaotyczne przedmieścia, domki i wielkie domy budowane na stokach zaspanych tonami śmieci, coraz więcej drzew. Jeszcze kilka minut i już jedziemy brzegiem Hudsonu. Po dwóch stronach ogromnej rzeki stoki prawie górskie, pokryte zielenością, piękne drzewa delikatnie zieleniejące i wszędzie wille od luksusowych do najskromniejszych. Ale jakże zadbane. Mijamy, nie zatrzymując się, małą staromodną stacyjkę ze schodkami i oszklonym mostkiem nad torem, z widokiem na Hudson. To stacja Toscaniniego i Wittlina. Przeczysta natura, przestrzeń. Czymże ten świat wiosenny jest mniej uroczy od jeziora Lemańskiego? Kilkanaście minut od Central Station jestem już przerzucony do cichej Szwajcarii. Na niebieskim Hudsonie widzę drobne łódeczki.

Może jakimś amerykańskiemu Krasińskiemu z jakąś amerykańską Delfiną na jednej z tych łódek dziś właśnie się zda, że "rzeczywistość się pomału zmienia w sen ze srebra i kryształu"?

Ta "roomette", którą jadę, jest dla mnie sensacją. Z początku widzę małe gołe przedziałiki, ale potem odkrywam wpuszczone w ścianę szafki do butów, do ubrań ze specjalnymi wieszakami, lustra i lusterka, wpuszczoną w ścianę własną umywalkę, siateczkę na zegarek i okulary. Woda zimna, gorąca i lodowata, bo jakże żyć całą noc bez wody lodowatej, tego napoju naprawdę narodowego w Ameryce. Gdzie łóżko? Naciskam jeden z guzików i opada mi na głowę powolnie, ale nieodwołalnie wypełniając całą "roomette" szerokie łożo, zasłane świetną bielizną i mięciutkimi kocami. Mój mały przedziałik jest za ciężką zieloną kotarą. Uroczy stary Murzyn dopytuje mnie z serdecznością starej niańki, o której ma mnie obudzić i czy ma mi wyczyścić buty. Do zmierzchu patrzę na pejzaż. Przejeżdżam przez wielkie miasta, to znowu długimi okresami jadę w pejzażu prawie dzikim. O zmierzchu, wśród bujnej zieleności skalistych wzgórz zarośniętych pięknymi drzewami stoją coraz to ogromne rezerwuary, jak z wellowskiego pejzażu: to okrągłe,

to podłużne, całkiem srebrne czy gwałtownie czerwone, jakby wczoraj pomalowane.

Ranek. Pejzaż jest delikatnie wiosenny. Niebo jasne z lekkimi smugami białych chmur. Wielkie lasy, łąki i pola, niezliczone fermy schludne i zasobne, a najskromniejsze domki drewniane, pewno prefabrykowane, mają kolorowe dachy, czerwone, granatowe, zielone i ładną, nieraz nieoczekiwaną, ale bez żadnej sztuczności i taniego efekciarstwa, architekturę. Przez chwilę jedziemy wzdłuż jeziora Michigan, robiącego wrażenie morza, bo nie widzimy drugiego brzegu, a na wybrzeżu po którym idzie nasz pociąg przejeżdżamy przez parę ogromnych kompleksów fabrycznych. Z czystej wsi nagle wpadamy w dżunglę kominów, potężnych rezerwuarów i gmachów. Wszystko to połączone węzowiskiem potężnych rur, to czarnych, to srebrnych, o najdziwniejszych wygibasach, splotach i załamaniach. Wszystkie te gmachy z rurami, rezerwuarami, niezliczonymi drutami, robią wrażenie prawie tablic anatomicznych przedziwnych nieznanych stworów. Plez widziałem obrazów malarzy, którzy próbowali robić obrazy maszynistyczne; nawet fantazje Legera wydają mi się ubogie w porównaniu do tej "rzeczywistej rzeczywistości".

Jeszcze za naszych czasów akademickich w Krakowie, w 1921 roku, ówczesny awangardowiec i formista, redaktor "Zwrotnicy", Peiper, zamówił u Zygmunta Waliszewskiego okładkę do pierwszego numeru tego pisma, koniecznie abstrakcyjną i koniecznie maszynistyczną. Waliszewski, który wówczas szalał za Van Gogh'em i kochał się w podkrakowskim pejzażu zrobił tę okładkę, ale po cichu ironizował: "Ech ten Peiper, koniecznie mu się maszyn zachciało, gdzie on je widział! Jedyna maszyna, jaką on zna, to chyba welocyped".

Tu, w Ameryce, nie można patrząc na pejzaż nie widzieć tych zupełnie nowych kształtów, nowych efektów plastycznych, zachwycających coraz to swoją śmiałością i dziwnością.

Przed wyjściem rzucam okiem na kolorowe ogłoszenie: barczysty bussinesman błyska w uśmiechu zębami i trzyma w ręku piękną walizę. Wysiada szczęśliwy i wyspany po nocnej podróży w "roomette". Podpis: "Bussinesman musi być wypoczęty. Jedźcie "roomettami"!

Nie mam takiej walizy, ani takich zębów, ani takiego wytwornego płaszcza, ani w ogóle "szczęścia" tego bussinesmana, ale czuję się również po takiej nocy, jeżeli nie szczęśliwy, to doskonale wypoczęty.

Pociąg wyjeżdża do miasta. Znów tysiące niskich domów, małe i duże fabryki, a na dachach reklamy i wielkimi literami coraz to wypisane nazwiska, polskie, arcypolskie.

Józef CZAPSKI.

Arkusze poetyckie

Dziennik z podróży tropikalnej i wiersze o wojnie

(Poemat z lat 1939 - 1945)

PROLOG DO POEMATU:

O ISTOCIE RZECZY NIEISTOTNYCH

*Cieniem jest tylko ten co śpiewa
i płaską rybą w złote łuski.
Cieniem jest tylko, choć lirnikiem.
Uklękniem sobie koło drzewa,
przez które zimny chłód przenika,
by spojrzeć w gwiazd błyszczące pustki.*

*Cieniem jest tylko — strugą dźwięku —
która o uszy się odbija,
i gaśnie szkarłatami w burzy.
Choć cień, lecz grozi falą lęków,
i jemu zimne wiatry służą. —
Cieniem jest tylko, chociaż żyje.*

*Cieniem jest każde jego słowo
i kruchym dreszczem. Kreda ciszy
zamienia lśniące dni na echa.
Cieniem jest tylko — ślepa sowa —
odbiciem na kapryśnych rzekach,
głosem, którego nikt nie słyszy.*

*Cieniem jest tylko! Noc pogłębia,
a dzień odbiera — więc w istocie
nie ważne — rdzą jest czy też złotem.
Nad głową musnął cień gołębia,
ale nie dotknął mej tęsknoty —
i znikł, bo tylko był w przelocie!*

CZĘŚĆ PIERWSZA

PIEŚŃ PIERWSZA:

NA SIĘDMIU GÓRACH RIO DE JANEIRO.

*Ocean i ocean. Dnie, noce i dnie.
Co dzień wieści z zaświata — fala słona bryzga —
gramy na pokładach jak dzieci i śledzimy latające ryby...
Na równiku zabawa: Biją orkiestry o dno oceanu.*

*Pierwszy dzień jest podobny do dnia ostatniego,
tylko kilka portów przybyło i kilka wycieczek na ląd.
Tu wyspa Kozia, tam została Madera —
i zdziwiony przewodnik mówi o Polsce...
Słowa pełne są róż.*

*Horyzont jest całkiem płaski i fale zielono-szkliste
zdają się otwierać przed nami tajemnicę odległego dna.
Jakieś ryby pływają fale — leci piana jak iskry —
i huczy śruba,
to węzły okrągłym krokiem prowadzą nas dalej i dalej.*

*Kto by myślał o tobie w te dni, kto by wołał,
nocami gorącymi, że dalekie są tarcze lądów.
Jeden znikł, drugi się zbliża. Czuję zapach słodkich paproci,
to ziemia brazylijska wita nas miastem z bajek:
Rio de Janeiro!*

*Od lądu powiewa ogniem, od lądu powiewa potem,
Czarni w leniwych ciałach niosą grozę syfilityków.
Bananowce są jak parasole opięte złotem,
w których czerwony wąz zdradliwym okiem błyska...
Bananowce okalają obozy-trędowniska.*

*Heż tu ręk się wyciąga? Ile podnosi zaston?
W otwartych oknach i drzwiach szerokie stoją toża,
i dziewczęta odarte z ubrań i wstydu wychylone nago na ulice
zapraszają. Na siedmiu górach Rio de Janeiro,
jak na siedmiu księżycach.*

*Szkoda opuścić to miasto i iść ku płaskim plażom
gdzie szare Montewideo oparte ścianami o tropik
wyrasta, jak ząb z szerokich ust rzeki La Plata.
Szkoda: Nad nami palmy, jak w ogniu kute lichtarze
świecą — i Murzyn omdlały w cieniu —
na szafirowych plażach leżą lampiony domów.
Zamykam tę pieśń pośpiesznie modlitwą za starą ziemię...
Biją dzwony. —*

PIEŚŃ DRUGA:

BUENOS AIRES

*Europejczyk w klimacie tropikalnym
dyszy, jak ryba w sieci. Rozgrzany kamień parzy...
Wieczorem ulice szumią południowym ulem,
i dziewczęta łase na ból
oddają się bogatym plantatorom palącym cygara.*

*Każdy spacer dostarcza zdumienia, uczy jak elementarz:
Trzeba się strzec Włochów chciwych lenistwa i cudzych
[pieniędzy.*

*Sprzedawcy barwionych win zapraszają do klubów,
gdzie można zdobyć tajemnicę storczyków tropikalnych,
lub podróż na tamten świat.*

*Buenos Aires — jak wieża Babel —
Buenos Aires — trzeszcząca drabina pokus.
Dobijamy na wielkim korabiu
do gorącego portu —*

*Otwarto ramiona sygnałów —
palmy chylą zielone czoła.
Na falochronach mewy białe
śpią,
dzwony milkną w kościołach.*

PIEŚŃ TRZECIA:

MISSIONES W ULTRAMARYNACH

Droga się dalej zamyka, a błyszczą tylko rzeka.
 Brązowe talary ognia padają w głęboki ukrop.
 Od brzegu do brzegu lecą promy i świecą strugi mleka,
 spadające z rozpalonego stropu.
 Niebo jest daleko piękniejsze — myślę — i płynę z tą myślą,
 bo tylko ta myśl jest mocna i serce więzi uporem.
 Na falach noc rozkłada swe migotliwe liście —
 dławi zapach wieczoru.

Coraz dalej odchodzi mój los przez rozpalone rzeki —
 Statek ku źródłom się wspina.
 Płyniemy przez ziemie ogniste, ku krajom leżącym daleko...
 Missiones w ultramarynach.

A kiedy pchły ziemne wejdą pod skórę tysiącem drzeń,
 ataki melancholii zakwitną w gwałtowne szaty —
 niespodziewanym bogactwem wszystko w tobie wyrośnie.
 Wśród rozhukanej przyrody człowiek, jak nikły cień,
 będzie powoli odchodził, poprzez straszliwe upały,
 ku tarczom bliskiej wieczności.

PIEŚŃ CZWARTA:

* ODA DO WIATRÓW TROPIKALNYCH

Wzywam was, o wiatry, przyjdźcie i napętnijcie powiewem moją
 [rozpacz.

Nad rzeką leży mgła i pije kroplami pot...
 Nad domem stoi mgła, jak zbite chorągwie,
 a obłok wysoko odpłynął, ku szczytom dalekich gór,
 i słońce lawą się toczy,
 prosto w me oczy.

Niebo i ziemia nasycone są mgłą.
 Rzeki i lasy pachną zgnitym deszczem.
 Liiany, jak lunatyczki, pną się po gzymsach drzew,
 ku szczytom, gdzie płocze obłoki,
 drżą niewidzialnym dreszczem.

Wzywam was wiatry słodkie i burzliwe.
 Wiatry dnia i wiatry nocy,
 byście przyszyły na ten żarem zalany upłaz,
 gdzie wilgoć, jak mchy rozrosła się w ciężki, leniwy ból —
 i pozdmuchiwały pot!

Rośliny ku wam blade wyciągają dłonie,
 i spalają się w krusze łzy,
 choć mają ciała śliskie jak szkło i błyszczące woskiem.
 A rozpacz ich we mnie drży,
 jak głowa zamartwionej palmy.
 O wiatry, ratujcie rośliny,
 żal mi ich!

Zgarbiony, brudny murzyn pełźnie przez fale żaru,
 niosąc bolesne ciężary na obnażonych barkach.
 Na ścieżkach, gdzie ogień chłonie zamartwiałą ciszę,
 siedzą zmęczone dzieci,
 i dyszą!

Czarne ich ręce napięte jak struny.
 W oczach prośba o cień, o odrobinę podmuchu,
 o wiatr, o deszczów cudowny dotyk.
 I czekają drobne i krusze
 zapatrzone w drzew ciężki egzotyk.

Węże się włóczą leniwym truchtem,
 lub leżą złymi strzałami wpoprzek spiętrzonych ścieżek.
 Na pagórku osiedle zgubionych domów...
 dzieci dźwigają odęte, czarne brzuchy,
 jak murzyni pękate worki...
 Węże zwinięte w supty w słońcu zmęczone leżą.

Na kwiatkach wiszą kolibry i modlą się cichym szeptem.
 Nie widać skrzydeł w locie, gdy biją w lepkie powietrze,
 i krzyczą jak niemowlęta, które się nagle duszą.
 Alarm ten toczy się tąd do wnętrza czułych kwiatów,
 które umierają zatrute goryczą.

Strumień — zgubiona nadzieja — spod liści się nagle wypieszcza
 i umiera szepcząc litanie pełną prośby o wiatr.
 A słońce stoi w zenicie i ukrop w strumienie leje,
 gdy dzieci marzą o deszczach.

Wzywam was, o wiatry!
 Nad zgubionym zautkiem,
 stanęła nagle śmierć i pożera w nas wszystkie siły.
 Przyjdźcie do chorych dzieci i obdarzcie je pocatunkiem,
 by żyły!

2.

Wieczorem świeci rzeka. Gwiazdy w chłodzie wieczoru,
nadhodzą z wiszących stron. Dzieci podnoszą ręce.
Murzyni zmęczone ciała układają na jasnej polanie...
Księżyc patrzy z daleka...
Księżyc — nic więcej!

Rozkołysały echa kołatki, to czarni śpiewają o sobie.
O szczepie Guarani, który tu stawiał stopy,
i rósł jak palma wysoko królewski ród,
wśród zawiści zwierząt i klimatycznych jadów.
A potem nagle odszedł i skarlat zduşony,
pazurem nieznanym chorób...

Wieczorem lot kolibra bije w matowe dzwony!

PIEŚŃ PIĄTA:

TUBYLCZA

Wolny przekład pieśni Guarani, śpiewanej w okolicach wodospadów «Cataractas del Iguassu», na granicy brazylijsko-argentyńskiej.

Nad Amazonką białe psy,
spijają tłuste kauczuki.
Drży księżyc — z nieba płyną tży,
to tży królowy Guadaluqui.

Zmęczony kaktus skrzywił twarz
i pazur ostrzy. Krokodyle,
leżą na piasku w ogniu plaż,
a plaże ciągną się na mile.

Czerwona rzeka jest jak krew,
krew drapieżnego jaguara.
Puszczę przenika gniewny śpiew:
To Guarani gra na gitarach.

— Wasze serca są złe jak węże —
wasze oczy trują jak strzały.
My jesteśmy czerwonym zwierzem,
wy — psem białym.

Nasza dżungla jest naszym domem,
nasza dżungla jest dla nas święta.
Wy jesteście jej złym demonem —
duchem przeklętym.

Wykopiemy jeszcze topory
i pójdziemy polować na psy.
Aż powróci nasze królestwo,
królestwo rodu Guarani. —

CZĘŚĆ DRUGA

PIEŚŃ SZÓSTA:

WIERSZ O JESIENI 1939

Nie pojąłem trwogi tych lat. A choć horyzonty płoną,
kusi mnie tylko płomień i ta magia gorących fal,
która bije ku niebu pożogą czarno-czerwoną,
jak wyostrzona stal!

Rok tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty
pochylał się jak każda jesień.
I miał złote w sobie bogactwo,
i bogactwo czerwieni w lesie,
którą wiatr brał oburącz i roznosił po pustych polach,
razem z kawaleryjską szarżą.

To nic! Taka noc, kiedy nad wodą przyczajony
półnicy księżyc spogląda w traw nadwątłone ciała,
kiedy każda kałuża lśni w trawie, jak gwiazda Oriona,
nie rażą wtedy ucha najgłośniejszemu bijące działa
Ni nawet śmiertelny krzyk!

Wszystko jest wtedy odbiciem, obrazem własnego wnętrza,
przez które patrzy słowo, i tyle się kart przekłada,
że trzeba potem przeszłość w ciemnych lamusach spiętrzać,
by kurz miał na co padać!

Na ziemię, jak liście klonu, leciały race gwiazdziste,
przez żółte sznury ściernisk. Bruzdy kipiały piechotą!
Woda w jeziorach stała niezamącona i czysta...
U brzegu koń pił wodę, a żołnierz z nóg zmywał błoto...
Taki był wtedy czas!

Brzeziny kapały bielą — mówiono że płaczą kobiety!
 Spadały jarzębiny — mówiono że płaty krwi!
 A kiedy zakrzyczał żóraw — mówiono że dzwonią bagnety
 o bramy spalonych domów! Że przyjdą straszne dni!

Nikt tylko nie wiedział kiedy. Wstuchani w wiatrów szumy,
 mówili szeptem starzy. Od młodych nie było wieści.
 Jesień kładła na czoła ostatki swojej zadumy,
 i coraz więcej boleści!

PIEŚŃ SIÓDMA:

I TAKIM AKORDEM PĘKŁA STRUNA FRANCUSKIEJ SYMFONII

Twój statek, księżniczko Giovanni, płynie od wielu już dni,
 by nas, łaknących stawy, rzucić w obozy otwarte.
 Francja zieleni się pieśnią, Francja zwycięstwa śni.
 Napoleońskie orły na fortach wschodnich wsparte,
 prowadzą oddziały na pierwszą, świętą krucjatę.

Co dzień są wieści wielkie. Odżyły galijskie rapsody.
 Kur na kościotach w Redon woła za kurem w la Boul:
 Pod nasze mocne skrzydła rozbite się garną narody,
 więc znów zwycięska sława wstanie z francuskich pól.
 Odżyje świetne Verdun, odżyje zwycięski Ypres...
 A my — zamknięci w szeregi — śpiewając La Marseillaise,
 wierzyliśmy każdej pieśni płynącej z paryskich anten.
 Śpiewał galijski kur beztrosko z wysokich wież,
 aż się zachłysnął dyszkantem.

Nagle przyszło olśnienie: W Norwegii front się zatamował,
 dlatego tylko, że Francja klęka pokornie, a forty
 padały, gdyż każdy myślał, że Francja obroni się sama.
 Że ją obroni historia szyta w zwycięskie akordy...
 I nikt już nie zagasi miasta bijących świateł!

Oprócz ucieczki samotnej, prócz rozbieganych kompanii,
 świecilo pustką ulic szerokie Champs Elisées.
 Oraty czołgi niemieckie miodne pola Szampanii,
 upadł Brest, jak latarnia, zgasło święte Nazaire.
 I tylko gromady wojska bez wódzów i bez broni,
 szukały łatwych ucieczek, aby uniknąć niewoli.
 I tak akordem pękła struna francuskiej symfonii,
 ostatnie gasty wystrzały — i krew tężata powoli.

2.

Pijane statki dążą do portu niosąc strzaskanych żołnierzy.
 Francja zapchana śmiercią huczy eksplozją bomb.
 Na morzu północnym statkom pękają mocne puklerze,
 i statki — ranione torpedą — staczają się w zielony głąb.
 Niebieskie plazmy polipów otwierają stone oczy.
 Wieloramienne mątwy wyciągają splecione dłonie,
 by ludzi pragnących powietrza chłonnymi wargami otoczyć,
 zanim ich głębsza warstwa razem ze statkiem pochłonie.

Trumny są kute ze stali i groby rosną wśród drzew.
 Więc po co uciekać ku wyspie i żyć bezdźwięczną rozpaczą?
 Oto spragniona wojna pije żołnierską krew.
 Statki strącone z powierzchni wśród prądów się morskich

[kotaczą.

I tylko spłoszone ryby wyległy z akwariów gromadnie,
 żeby obracać śruby i węzłom przyspieszać kroku.
 Aby wprowadzić do portów statki nim noc zapadnie,
 a potem w jaśnych gwiazdach zbawienne ustawić obtoki.

Pijane statki gonią — rozdarta pieni się fala.
 W huku zmęczonych dział kurczy się krucha radość.
 A tylko Anglia czeka — w portach latarnia się spała,
 sygnały na pusty port, a statki na dna się kładą.

CZĘŚĆ TRZECIA

PIEŚŃ ÓSMA:

ANGLIA, JAK CIĘCIWA GNIEWU WYRZUCA CELNE GROTY

Kogo o los przejmują lęk niemiecki.
 Kto małodusznie chce uciec od zguby
 Ten nie odważy się stanąć do próby,
 Zwycięstwa, albo klęski!

Z rozkazu B. L. Montgomery'ego D-cy 21 Grupy Armii
 z dnia 7 lipca 1944.

Rozległa się pieśń. To pułki za pułkami przez Atlantyki Wał,
 łamiąc barierę ognia, ruszają na półow śmierci.
 Anglia, jak cięciwa gniewu wyrzuca celne groty.
 Na czutym pomoście wody kotłyszają się barki śmierci.

Z artyleryjskich gniazd, jak krzyk załogi Kolumba,
rozlega się wielkie wotanie, które notują szyfry.
Stanąły nagle godziny, cisza przesywa eter.
Bo co będzie, gdy brzeg francuski nie poda nam swojej dłoni,
i światło zagaśnie zanim spłyniemy na drugi brzeg?

Oto — czy chcesz postuchać jak pod murami Troi,
unosi się szum przeszłości rozkołysany wodą.
Ciepłostwa Kirke, znająca Losy,
wzywa, by zdobyć państwo Kimeriów,
gdzie leżą jak święte włości:
Zbroja Achillesa i hełm obłąkanego Ajaxa.

Nikt z nas nie słyszał wtedy żalostnego skowytu Kassandry,
ni bijących o mury Troi włości.
Nikt — bo Europa leżała zdeptana jak plazma,
z której wydarto treść cierniowym życiem obozów.

Od Pirenejów po Wisłę, umęczone kilometry dróg,
wydeptane skrwawioną stopą, idąca ku własnej Gólgocie.

Nie ma nic bardziej kruchego od rzeczywistości, a jednak
rzeczywistość biła ogniami zbrodni przeklinając czasy istnienia.
Uciekały ptaki w trwodze. Płonęły kominy krematoriów.
Stygła skrwawiona ziemia.

Badacze wielkich chwil, co wyniesiecie z tych czasów
świecących jak Cyrus zbrodnią? Obyście mogli, jak Tetis,
uchwycić skowyt śmierci w odmetach nabrzmiałych zgonów.

Na plażach francuskich rozkwita zwycięska sprawiedliwość,
i piasek złotem świeci.
Albatrosy niosą na białych skrzydłach pierwsze promienie
[wolności...]
Od Arromanches i Courseulles rozpoczął się Wielki Pościg!

PIEŚŃ DZIEWIĄTA:

WIERSZE O WOJNIE

Dzień jest jak wosk. Powoli krzepnie na ustach,
a kurz, który stopy roznoszą, zastania słońce.
W ogrodach Magny, Ryes i Crepon rozkwitły nagle maki.
Na żelaznych łożyskach luf chwieją się płomienie jak róże,
tylko ludzie padają niepotrzebnie i w ziemię ścięka krew.

O wolności lotna, jak strzała, oto na drogach do Caen
leży strzaskany czoty. I żołnierz trafiony w głowę
patrzy bolesnym wzrokiem w upalne niebo sierpniowe.
Kiedy się wszystko przemienia na miat i gruz,
gdy miasta kładą się w rzekę — i nic nie wskrzesi już miast —
należy jak mądry Heraklit, straciwszy ostatnią nadzieję,
usiąść i cicho się modlić: *Panta rei...*

Jeszcze mam w oczach ten obraz: szum rozpedzonych motorów,
jęk dział, fontanny ogni, walące się miasto Caen.
Gruz wyległ na ulice, zasypał brzegi rzeki.
Mosty, jak jasne rakiety strzelają przestami w górę...
...U ciemnych fal Acherontu pierwszy żołnierz krew zmywa
[z ran.

Zanim przetoczym się dalej na górzyste pola Chambois,
mając na lewo Skille, a po prawej ręce Charibdis,
trzeba — za śpiewem Parek — uklęknąć u pierwszych grobów,
które cichym wieczorem spadły na zbocza szosy,
jak smutne liście lotosu.

Poprzez zburzone miasteczka, wiedzieni łowieckim tropem,
chwytamy Robertmesnil, jakby zdmuchnięty dmuchawiec.
Kurz tylko leci za nami. Bombowce wśród ciężkich tkan,
tamią wzmocnione przedpole na północ od la Campagne.

Zostanie z dni tych klęska. Zostanie lasek Quesnay,
wzgórz sto jedenaście i pastelowe Vicquette.
Błyszczące w słońcu Silvain i Chrystus na Mont Ormel...
i Jort, i rzeka Dives, przez którą Pułk Strzelców szedł.

2.

Gdy żołnierze nasi wspinali się na Chambois,
dwie noce im świeciły zwycięstwem, a dwa ciężkie dni
oddawały idącej na oślep śmierci kłosa głów,
które wiatr w sercu odciskał, jak na biblijnej chuście.
Samoloty bezmyślnie tropiły ciężko zdobyte przyczółki,
i kładły ślepe sierpy na szyje własnych pułków.

Gdy żołnierze nasi wspinali się na Chambois,
wszystkie panny w ogrodach oliwnych, u kielichów kwitnących
[dni,

modliły się o nasze zwycięstwo.
A ptaki, które niosły wieści z placu boju,
biły w zenity gończym alarmem.
Między tymi co biegli, a tymi którzy zostali,
legła rzeka milczenia.

Gdy żołnierze nasi wspinali się na Chambois,
nikt się nie skarżył na los otwierający im bramy błękitów.
I nie prosili o litość, którą snajperzy,
układali w rozpaczliwe wiersze, gdy im wyrwano broń z rąk.
— Po tej klęsce nieurodzaj wielu lat —
— zapełni doliny opuszczonych rzek —
— Lecz guślarze germańskich plemion —
— nie wypiją z kielicha snów. —
— A gdy owoc granatu podadzą im, to go chwycą —
— zgłodniałymi wargami przyszłości. —

Działo się to u stóp Chrystusa,
któremu pocisk uwolnił jedną rękę,
by mogła nasz czyn błogosławić.

Bóg sprzymierzony z nami oddał nareszcie wzgórze w nasze
[ręce!]

Pragę — ktoś rzekł — i otrzymał napój zwycięstwa,
który miał smak octu.
A historia, choć nas nie nazwie złoczyńcą,
zostawi nam smak Chambois — naszej Golgoty!

CZĘŚĆ CZWARTA

PIEŚŃ DZIEWIĄTA:

OSTATNIA

Po burzy, która bije o czerwone klify,
łęcza jest bledsza od rudych kamieni,
i można — bez wyobraźni — nazwać ją płaskim smutkiem.
A nam, wędrującym po szarej przestrzeni,
powietrze zdaje się być stoną nostalgią,
od której giną najwierniejsi.

Dopóki bram nie otworzą —
dopóki nie wyrzucimy z siebie płochliwej miłości —
dopóki wspomnień nie wymordujemy, nie zerwiemy mostów,
będą nam one przeszkadzać, jak dym chorych lamp,
paląc oczy czerwonym światłem.

2.

Nad wodą, o każdej porze, leży nieprzenikliwa mgła,
i statki zwołują się jak jelenie, dążąc do brzegu.
Dalekie syreny płaczą niespokojnie jak dzieci we śnie...
Sierżant Jim Rock chodzi, jakby prowadził patrole,
a sala przybrana w kwiaty przypomina błękit Normandii.

Przy stolikach zgarbione czujki namawiają się rozkazami,
cichy brzęk noży przypomina ładowanie taśm amunicyjnych...

Syreny wołają ciągle,
syreny są coraz bliższe.
A mgła zadymionego przedpola,
wypukła obraz wojennego nastroju.
Czekam tylko kiedy sierżant Jim
rzuci się w czarnym fraku na najpiękniejszą kobietę,
biorąc ją prawem wojny.
Będzie to scena z pogranicza prawdy,
leżącej na drodze z Ter Apel do Haren.

Pamiętam ten pusty szlak,
po którym przeszły oddziały Dywizji,
dotykając jednym skrzydłem ciepłego gniazda polskości.
Pamiętam te wioski, leżące stadkami na błocie,
pozostawione w polu —
i ten krzyk niemieckiego pastora, gdy mu gwałcono córkę!

— Stuchaj, czy można naraz tyle rozpaczy pogrzebać tak głęboko,
by myśl przestała śpiewać wiersz żalu,
a serce odeszło od bólu, jak się odchodzi od zapomnianego snu?
Czy jest w nas tyle wyobraźni, by zabezpieczyć dzisiejszą
[radość,
przed powrotem dni, które czepiają się pamięci?

I ten pastor leżący na zwłokach córki...
I sierżant Jim — tańczący kelner...

3.

Poezja jest tylko formą snu,
a ludzie, którzy marzą się jak żołnierze na froncie,
którym brak rzeczywistości miast nie dotkniętych mobilizacją.

Ciągniemy po chybotliwych gzymsach wolności,
jak lunatycy, by bronić własnej formy szczęścia.
Kobiety nasze biły się w Warszawie,
dzieci nasze szły razem z matkami na wysunięte barykady,
zbudowane z mizernych przedmiotów,
wyniesionych z serc naszych mieszkań.
Lecz niczego nie zdołaly uratować, prócz wspomnień.

Taka jest geneza wielkich hasel opartych o cudze klęski,
w których moiżni ukrywają swoje akcje,
a ubodzy prawo do miłości ojczyzny.

4.

*Czas okrutny jest wtedy,
gdy nadzieja napętnia serca niepokojem,
a my, czepiając się światła dnia, unikamy myśli o jutrze.
Czas okrutny jest wtedy, gdy życie zatamuje ręce,
i z żył ucieka krew w dalekie krainy zwątpień,
razem z ptakami, które jesienią opuszczają nas.*

*Czas okrutny może spaść nagle na dziecko i na starca,
odbierając dziecku jego spokojny świat,
a starcom skracając wąskie ścieżki życia.*

*Jak latarnia o świetle, gasną nagle wszystkie tęsknoty,
a bezbarwny ton godzin odbiera nam chęć istnienia.*

I to jest czas okrutny!

Wacław IWANIUK.

Straty Kultury Polskiej

Edward Cros

Gdy wczesnym, ciepłym wieczorem majowym 1944 r. wieść niespodziana o Jego śmierci przyszła do gmachów "St-Louis" i "Albertinum", tętniących życiem i gwarem bujnej choć "internowanej" młodości, wywołała ona najpierw zdumione niedowierzanie. Nie tylko dlatego, że w momencie gdy wojna każdej niemal chwili zabierała tysiące istnień ludzkich, śmierć w cichym, spokojnym kraju, śmierć "cywilna", bardzo dziwna i nieprawdopodobna się nam zdawała, ale przede wszystkim dlatego, że w ciągu ubiegłych czterech bezmała lat istnienia Polskiego Obozu Uniwersyteckiego we Fryburgu prof. Edward Cros tak związał się z Obozem i z jego życiem, w takim stopniu stał się jego częścią istotną, nierozłączną, że wprost trudno nam było sobie obóz ten bez Niego wyobrazić.

Dziś, po latach, które minęły od tamtych tak niedawnych, zda się, czasów, o ileż wyraziściej rysuje się właściwe, istotne oblicze tego człowieka. W codziennym biegu zdarzeń wielkich i małych, jakie przewalily się w międzyczasie, pośród tłumu napotkanych nowych ludzi, zagubiły się gdzieś, zatarły w pamięci drugorzędne szczegóły, drobne i nieważne przywary czy śmieszności, których kiedyś doszukiwał się pilnie wyostrzony a złośliwy krytycyzm młodzieży obozowej w tej na pierwszy rzut oka niepozornej, szarej, drobnego wzrostu postaci.

Dwie rzeczy wybijały się w Nim ponad miarę i wyciskały piętno na Jego osobowości — głębokie, namiętne umiłowanie polskiej kultury i prawdziwa, par excellence europejskość. Bo Edward Cros stanowił, nieodosobniony zresztą, a jakże dla nas pocieszający przykład człowieka pochodzenia obcego lub napółobcego, który, zetknawszy się w młodości z polskością, umiłował ją fanatyczną miłością. Nie wiem kiedy i jak historia i kultura polska przemówiły do tego dziecka Francuza, którego los nauczyciela języka francuskiego rzucił na krańce Europy, aż hen do odległych prowincji imperium północnego samo-

dzierżcy, gdzie znalazł on towarzyszkę życia Polkę. Może ustami matki w dalekiej Moskwie białokamiennej, gdzie się urodził, a może wiatrem z ukraińskich stepów w Głuchowie, gdzie do gimnazjum chodził? Dość, że urzekła go polskość, porwała polska kultura, zaprzęgała do służby swojej. Służby, której pozostał potem wierny przez całe życie. Równocześnie jego zadziwiająco wszechstronne wykształcenie, znajomość szeregu języków i szeregu krajów europejskich, głęboka kultura osobista, wysokie poczucie prawa i sprawiedliwości, kurtuazja i niemal wyszukane maniery czyniły z niego prawdziwego, choć może trochę staroświeckiego Europejczyka.

Młody abiturient urzeczony polskością kieruje swe kroki — gdzieżby indziej? — do Krakowa, do Aten polskich. Uważał zawsze, że o wielkości narodu decyduje przede wszystkim jego kultura. Któż wie ile było w tym przekonania, a ile rezygnacji człowieka, któremu mały, prawie karykaturalny wzrost i niezwykłe wąty organizm zamykał inne drogi pracy i walki dla Polski? Kto wie, czy w latach gorącej młodości upartą pracą nie nadrabiał i nie odkupywał swej niezawinionej nieobecności na polach bitew, z których powstawała Niepodległa? Dość, że od tej wczesnej młodości oddaje się całkowicie pracy dla kultury polskiej i jej propagandy za granicą. Tej pracy poświęcił całe swoje życie i w tej pracy, w czasie przygotowywania wykładu, między jakąś konferencją w sprawie polskiego obozu uniwersyteckiego a seminarium slawistycznym na uniwersytecie, padł jak żołnierz na posterunku.

A więc Kraków i Uniwersytet Jagielloński. Studia filozoficzne i przyrodnicze. Młoda Polska i Wyspiański. Potem studia we Wiedniu, a potem dalsze w dziedzinie filozofii i psychologii we Fryburgu. W międzyczasie ogłasza szereg utworów wierszem w Krakowie i Warszawie. W czasie pierwszej wojny światowej jest współredaktorem encyklopedii o Polsce, opracowanej i wydanej po francusku i angielsku we Fryburgu i Genewie, a przeznaczony jako materiały na konferencję pokojową w Wersalu. Z chwilą odzyskania niepodległości i stworzenia polskiej delegatury przy Lidze Narodów obejmuje w niej dział prasowo-propagandowy. W r. 1929 habilituje się w Genewie jako docent języka i literatury polskiej. W r. 1933 obejmuje katedrę literatur i języków słowiańskich na Uniwersytecie we Fryburgu z której dwaj jego znakomici poprzednicy odeszli: Kallenbach do Krakowa, a Dobrzycki do Poznania. We Fryburgu zostaje rychło profesorem nadzwyczajnym, potem zwyczajnym, a wreszcie w latach 1939-40 dziekanem wydziału humanistycznego. Wykłady jego obejmują literaturę polską, rosyjską i czeską, języki polski, rosyjski, czeski i starocerkiewny, gramatykę porównawczą języków słowiańskich. Prócz tego pełni on dalej obowiązki docenta na uniwersytecie genewskim a nawet obejmuje jeszcze dodatkowo jako wykładowca i lektor języków słowiańskich na politechnice federalnej w Zurychu.

Zdawać by się mogło, że ta cała ogromna praca pedagogiczna wypełnia już całkowicie możliwości jednego człowieka. Ale prof. Cros jest niestrudzony. Ogłasza szereg artykułów, szkiców i es-say'ów o mesjanizmie i romantyzmie, o Wyspiańskim, Puszkynie, z dziedziny filozofii i psychologii. Nie obca jest mu i historia. Wygłasza również szereg odczytów. W zakresie historii, rzecz znamienna, przykuwają jego uwagę dwie wielkie postacie polskich królów-wojowników Batorego i Sobieskiego. I wreszcie nadchodzi wojna, wrzesień, klęska Francji i wejście do Szwajcarii 2-giej Dywizji Polskiej. Prof. Cros opanowuje niemal obsesja na temat strat jakie wojna czyni w szeregach pracowników polskiej kultury. Toteż z ogromną energią stara się, aby w bodaj skromnym zakresie te luki uzupełnić. Tą myślą kierowany staje się współtwórcą i współorganizatorem polskich obozów uniwersyteckich dla internowanych żołnierzy w Szwajcarii. Zabiega o wydobywanie studentów, asystentów, młodych naukowców, abiturientów i uczniów ze zwykłych obozów internowania, rozrzuconych po wioskach szwajcarskich, i o umieszczenie ich w specjalnych obozach szkolnych. Potem staje na czele jednego z nich jako rektor wyznaczony przez senat Uniwersytetu fryburskiego. I ten właśnie fryburski obóz wypełnia resztę dni Jego życia.

Prof. Crosa poznałem w październiku 1940 r. Zjeżdżających z różnych stron Szwajcarii do Fryburga żołnierzy polskich oczekiwał na dworcu kolejowym — sztywny i ceremonialny na pozór w swym uroczystym żakiecie. Później przemówił do nas na powitanie gładkim, wyszukany stylem w pięknym, literackim języku. Nawykł do prostego, jeżeli nie do prostackiego języka żołnierskiego, dziwnie zabrzmiał kunsztowny barok i finezyjne hyperbole. Wydał się nam trochę zbyt staroświecki i trochę za uroczysty. Rychło jednak przekonaaliśmy się, że pod pozorami chłodnej rezerwy kryje się dobre serce i szczerą życzliwość. I że, przy zamięłowaniu do ścisłego przestrzegania wyszukanych trochę form, Rektor nasz jest daleki od bezdusznej, urzędniczej formalistyki. Prędko bardzo obóz stał się głównym ośrodkiem zainteresowań prof. Crosa i był przez trzy i pół lat główną treścią Jego życia. Choć nie porzucił swych licznych zajęć naukowych i pedagogicznych, stały się one dla Niego czymś drugorzędnym, dalszym, mniej ważnym. Bliski, ważny był obóz. Sprawy obozu jako całości i sprawy każdego z nas z osobna absorbowały Go całkowicie. Im poświęcał cały swój czas, energię, zapal.

Pragnął gorąco, aby obóz fryburski nie ograniczył się do dania dyplomów uniwersyteckich kilkudziesięciu młodym ludziom. Marzeniem Jego było stworzyć w nim ośrodek o wysokim intelektualnym i moralnym poziomie, który mógłby w przyszłości dostarczyć Krajowi jak najwięcej naprawdę wybitnych jednostek. Kiedy był w dobrym nastroju zwykł był mawiać: "hm, kto wie — Polska już raz rządziły szwajcarskie doktory". Toteż starał się przez cały czas o stworzenie nam jak najlepszych warunków

ków życia i pracy naukowej. Interesował się żywo każdym przejawem życia obozu: nie tylko sprawami nauki i nauczania, nie tylko wykładami, egzaminami, pracą naukową, tezami doktorskimi, drukiem artykułów naukowych, ale w równej mierze wszystkimi warunkami naszej codziennej egzystencji, rozrywkami, życiem kulturalnym. Kłopotał się zarówno o to skąd zdobyć pieniądze na wyjazdy do bibliotek naukowych oraz na druk tez doktorskich, jak i tym by znaleźć fundusze dla "Bratniaka" na dożywianie młodzieży, jak i tym, by członkowie obozu uniwersyteckiego nie odbywali kar dyscyplinarnych aresztu w więzieniu miejskim dla przestępców jak i tym wreszcie, czy aby wszyscy wytrzymają 20 km marszu w drodze na letnie roboty w Grisons. Gdy obóz miał jakiegokolwiek sprawy czy kłopoty (a było tego w specyficznych warunkach internowania wiele, bardzo wiele) był zawsze do dyspozycji każdego dnia i o każdej godzinie. I choć bywały okresy, kiedy stał na pozór dość z dala od obozu, zamykając się w swym biurze na IV-tym piętrze Hôtel de Fribourg, przecież każdy z nas wiedział, że wystarczy pójść, by zawsze być przyjętym, cierpliwie wysłuchanym i co najważniejsze mieć sprawę załatwioną. Bo dobre serce Rektora nie pozwalało Mu odmówić, nawet wtedy gdy słuszność odmówić nakazywała, a głębokie poczucie odpowiedzialności nie pozwalało Mu obiecać, że nie dotrzyma. I w ciągu szeregu lat Rektor "Krupla", jak Go poufale między sobą nazywaliśmy, był dla niejednego ostatnią deską ratunku. Gdy nieszczęśnika jakiegoś temperament czy to pognął na zakazaną nocną wizytę, czy też wyrwał z ust nieopatrzone, a dyscyplinie wojskowej przeciwne słowo, co trzeba było przypłacić wyjazdem z Fryburga, Rektor Krupla pośpieszał na ratunek. I zwykle winny obozu nie opuszczał, opłaciwszy się lżejszą karą. A gdy czasem już wyjechać musiał, to znów Rektor nie ustawał w zabiegach i nie spoczął, póki, prędzej czy później, zbłąkanej owieczki nie odszukał gdzieś przy torfie, drewna lub karczunku i do książki z powrotem nie napędził.

O tej książce, to się tylko tak mówi. Bo w rzeczywistości Rektor był bardzo wyrozumiały. Może nawet za bardzo. Kiedy w komisji kwalifikującej kandydatów do obozu my, młodzi wykładowcy, mieliśmy raczej skłonność do stosowania surowych kryteriów, Rektor zawsze przeważał za dopuszczeniem. "Nie należy nikomu zamykać drogi do wiedzy i nauki" zwykł był mawiać wtedy. Był trochę idealistą, bo my wiedzieliśmy dobrze, iż nieraz nie o tę wiedzę chodziło, ale po prostu o rozrywki miejskie, których brak było w zwykłych obozach żołnierskich. Podobnie patrzył przez palce na odstępowanie od egzaminów czy obcinanie się przy nich i bronił wtedy przed władzami wojskowymi, które miały zwykle skłonność postępy w nauce traktować na swój ściśle formalistyczny sposób. Ale Rektor był zaciętym zwolennikiem i wyznawcą pełnej swobody studiów akademickich. "To nie froebłówka" — mawiał wtedy — "gdzie można zadać stąd-dotąd".

Bywały jednak chwile i bywały sprawy, w których Rektor z miękkiego stawał się twardy, z wyrozumiałego stanowczy, nieustępliwy, ba, niemal bezlitosny. Zdarzało się to zazwyczaj wtedy, gdy stawał w obliczu konfliktu między porządkiem wojskowym a naukowym. Był wyznawcą zasady, że "les armes passent après la toge". Władze wojskowe — szwajcarskie i polskie — uważały, że obóz jest przede wszystkim obozem wojskowym. Rektor uważał ze swej strony, że obóz jest w pierwszym rzędzie obozem uniwersyteckim. Wojsko miało tendencję do uznawania hierarchii naukowej tylko w czasie wykładów, władze naukowe znów uważały, że wojskowa obowiązuje tylko w czasie zajęć ściśle wojskowych. W specyficznych warunkach internowania wojskowego, kiedy asystent bywał zazwyczaj st. strzelcem, a już wyjątkowo kapralem-podchorążym, a student nierzadko oficerem, kiedy i student i asystent jako internowany wojskowy wiązany był całym szeregiem bardziej lub mniej uzasadnionych ograniczeń, o konflikty tego rodzaju było niezwykle łatwo. Kiedy raz komendant szwajcarski ukarał jednego z asystentów za błahe przewinienie aresztem w więzieniu fryburskim, a polski dowódca odmówił interwencji, powiadomiony Rektor natychmiast "ruszył do ataku". Wykazywał w podobnych sytuacjach niezwykle wojowniczość. Stała się rzecz nadzwyczaj rzadka, nieotowana chyba w kronikach akademickich — Rektor zarządził strajk protestacyjny młodzieży uniwersyteckiej! Na drugi dzień zjechało do Fryburga aż trzech pułkowników szwajcarskich. Rektor przyjął ich uzbrojony w aide-mémoire, opracowany przez speców obozowych, z którego jasno wynikało, iż areszt w więzieniu jest sprzeczny zarówno z szwajcarskim kodeksem wojskowym jak i z konwencją międzynarodową. Pułkownicy tłumaczyli, że wszak własni żołnierze szwajcarscy odbywają w więzieniu kary aresztu. Rektor odpowiedział: "Może szwajcarscy żołnierze siedzą w więzieniu, ale polscy studenci tam siedzieć nie będą!" I sprawę wygrał. Podobnie bywało i w coraz częstszych niestety konfliktach tego rodzaju z polskimi władzami wojskowymi. Początkowa pełna kurtuazji harmonia psuła się z biegiem lat coraz bardziej, przy czym wina nie była po stronie Rektora. Ale od swego, czyli od prymatu nauki, odstąpić nie chciał. Kiedy wreszcie student pewien pozwolił sobie na chamstwo wobec młodszego stopniem wojskowym wykładowcy, Rektor doprowadził do niebываłej awantury. Studenta skreślił z listy i uparł się mimo, iż w obronie jego stanęła cała hierarchia wojskowa aż po pułkownika szwajcarskiego, inspektora obozów uniwersyteckich i dowódcę dywizji gen. Prugara. Ze strony Rektora padły ostre słowa o "szalejącej soldatesce".

Temu rysowi charakteru Rektora — wojowniczej gotowości walki o sprawę słuszną, zawdzięczamy wiele. Nigdy nie hołdował, jak to często robią ludzie na stanowiskach kierowniczych, zasadzie zachowania swego świętego spokoju, nie narażania się, nie robienia sobie wrogów. Przeciwnie — walczył o nasze sprawy

jakże często narażając się i swoim i obcym, jakże często robiąc sobie wrogów i niechętnych. Aby przeprowadzić słuszną sprawę potrafił użyć wszelkich sposobów. Bardzo umiejętnie manewrował, z finezją przeprowadzał "dyplomatyczne" rozgrywki, potrafił zawsze zapewnić sobie poparcie uniwersytetu wobec władz internowania, roztaczał gdzie trzeba było wspaniałe race swej błyskotliwej wymowy, tłumaczył, przekonywał, prosił i groził, wreszcie rzucał na szalę swą ewentualną dymisję.

Sam niezwykle, jak na nowe czasy, taktowny, kurtuazyjny, nawet ceremonialny, był też bardzo wrażliwy. Ale — gdy o niego samego chodziło — umiał wybaczyć. Pewnego razu, gdzieś w połowie pierwszego semestru istnienia obozu, władze wojskowe wydalili dwu studentów za przekroczenia "natury obyczajowej". Aby zademonstrować przeciw tej decyzji "zagazowaliśmy" jakimiś chemikaliami sale wykładowe (obóz mieścił się wtedy w szkole rolniczej pod Fryburgiem i wykłady odbywały się w obozie). Pech chciał, że wypadł właśnie wykład Crosa. Rektor, którego cała kariera pedagogiczna przeszła na uniwersytetach zachodnio-europejskich i do tego jeszcze w spokojnej Szwajcarii, nie był przyzwyczajony do podobnych występów. Odjechał do Fryburga śmiertelnie urażony. Trzeba było na gwałt odrobić skandal. A więc naprzód pojechał do Niego nieoceaniony Jerzy Brzozowski, aby uzyskać przyjęcie delegacji. Potem wybrały się stare wygi akademickie — Stefan Łochtin i ja. Dla tym większej reprezentacji przydano nam jednego oficera z piersią przyozdobioną orderami. Rektor przyjął nas zimno i sztywno, ale w końcu wybaczył. Skończyło się na miłej pogawędce o zwyczajach akademickich. Ale żartów z "władz naukowych" nie lubił. Kiedy w r. 1943 napisano i wystawiono szopkę obozową, Rektor potraktował bez poczucia humoru zbyt śmiało obejście się w tekście szopki z niektórymi wykładowcami. Uraziło Go to i autor usłyszał dość cierpkie uwagi, co nie wpłynęło oczywiście w najmniejszym stopniu na egzamin doktorski autora u prof. Cros. Bo Rektor, nawet głęboko dotknięty, umiał pozostać sprawiedliwy, co u Polaków jest raczej rzadką cnotą.

Jego ogromne przywiązanie do polskości nie zamykało mu oczu na liczne wady polskie. Być może, iż mając krew francuską w sobie, widział je znacznie wyraziściej niż wielu Polaków. Mówił o nich nieraz ostro, ze smagającą ironią, z pasją niemal. Ale czuło się w tej pasji ból głęboki, że tak jest z tym naszym charakterem, a nie lepiej, nie doskonałej, nie bardziej na podziw obcym i tej zarozumiałej zachodniej Europie.

Wierzył, że obóz fryburski, że ten jego ukochany obóz, wyda kiedyś pracowników na niwie, którą On wybrał — na niwie nauki polskiej i że wyda wyznawców tej co On prawdy — prawdy, że o wielkości narodu stanowi przede wszystkim jego kultura. W najściślejszym gronie współpracowników, a zwłaszcza wobec najbliższego Mu Jerzego Brzozowskiego, którego darzył szczerą przyjaźnią i bezgranicznym zaufaniem, lubił

czasem marzyć o tym, czym to kiedyś ten lub ów z wychowanków obozu zostanie. Nieubлагany los zrzucił — jak dotąd — inaczej. Fryburscy doktorzy, miast powrócić do Polski na uniwersyteckie katedry, wędrują za chlebem do kanadyjskich lasów i australijskich plantacji. Rektor tego rozczarowania nie dożył. Nie dożył niebywałej klęski kultury polskiej pod nową okupacją. Odszedł w czasie, kiedy mieliśmy wszyscy jeszcze pewne nadzieje.

Nie stworzył rzeczy wielkich. Ale można o tym żołnierzu polskiej kultury wyrazić sąd u nas bardzo rzadki: spełnił bez reszty swój obowiązek.

Aleksander KORCZYŃSKI.

BIBLIOGRAFIA

- Głos życia*. Szkic dramatyczny. Kraków, Gebethner, 1909. Str. 17.
- Sen Królowej*. Trylogii dramatycznej część 1. Warszawa, Thiell, 1912. Str. 64.
- Orli szczyt*. Dramat współczesny. 3 części. Warszawa, Thiell, 1913. Str. 96.
- La liberté et la subconscience*. Contribution à l'étude de la personnalité humaine. Fribourg, thèse — lettres. Lausanne, 1917. Str. 142.
- Królowa zielona gwiazda*. Baśń dramatyczna w 4 obrazach. Warszawa, Szyling, 1924. Str. 174.
- Legenda o dzwonie*. Warszawa, Szyling, 1924. Str. 25.
- Filozofia ciągłości a zagadnienia ilości*. Kraków, Druk Uniwersytetu Jagiellońskiego, 1930. Str. 29.
- Balthory, Sobieski et l'Europe centrale*. Extrait du Bulletin Nr 4/19 33-34 du Centre d'Etudes de l'Europe centrale, Genève, Impr. du «Journal de Genève», 1934. Str. 27.
- Dejanira*. Tragedia. Warszawa, Gebethner, 1936. Str. 62.
- Epilog Wyzwolenia*. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1936. Str. 36.
- Pouchkine et la réalité russe*. (Conférence). Fribourg. Librairie de l'Université, 1937. Str. 29.
- Parys i Helena*. Tragedia. Warszawa, Gebethner i Wolff, 1938. str. 61.
- Wypiański et la nation*. (Conférence). Fribourg, 1938. Str. 15.
- Le messianisme et le néo-romantisme*. Extrait de «Nova et Vetera», Nros 1, 2, 1940. Fribourg, Fragnière, 1940. Str. 75.

Bibliografia powyższa nie jest kompletna. Obejmuje ona jedynie dane oparte na materiałach, znajdujących się w seminarium slawistycznym Uniwersytetu Fryburskiego. Prócz tego po prof. Cross pozostało szereg rękopisów większych prac m.in. o Puszkynie i o symbolizmie w literaturze rosyjskiej oraz skrypty wykładów uniwersyteckich.

Kronika kulturalna

«List z diaspory»

W dzień otwarcia organizowanego przez Amerykanów Kongresu w sprawie Wolności Kultury, który miał miejsce w czerwcu tego roku w Berlinie, Józef Czapski wystąpił z protestem przeciwko niedostatecznemu uwzględnieniu przedstawicielstw krajów, znajdujących się obecnie po tamtej stronie żelaznej kurtyny. Zaproszono co prawda kilku przebywających na emigracji artystów i intelektualistów z Polski i Czechosłowacji, kilku polityków łotewskich i stosunkowo liczną grupę emigrantów rosyjskich różnych odcieni i poglądów, począwszy od białych Rosjan, którzy kraj swój opuścili już przeszło trzydzieści lat temu aż do antystalinowsko nastawionych, najświeższej daty "Displaced persons". Lecz przedstawiciele kultur takich krajów jak Ukraina, Węgry, Rumunia, Bułgaria, Litwa i Estonia na Kongresie tym zabrakło. Zdaniem Czapskiego przeoczenie to wywołane jest pewnego rodzaju freudowskim ześlnięciem się, które odsłania jedną z najślabszych stron propagandy kierowanej przez amerykańskie agencje, prowadzące psychologiczną wojnę z terytoriami okupowanymi przez Sowiety. Za mało bowiem wiedzą one o ich zwyczajach i aspiracjach kulturalnych i zbyt łatwo godzą się z poglądem, iż w stosunku do sowieckiej filozofii życiowej kraje te dysponują tylko jedną alternatywą, alternatywą amerykańskiej filozofii życiowej, podczas gdy w rzeczywistości, ci, którzy po tamtej stronie żelaznej kurtyny przeciwstawiają się reżimowi sowieckiemu tęsknią tylko za wiadomościami i komentarzami, płynącymi ze źródeł amerykańskich.

Jedną z takich prześladowanych obecnie kultur, o której tak łatwo się zapomina, jest kultura Estonii, kraju, który przed 1939 liczył około 1.250.000 mieszkańców. 11% ludności Estonii stanowiły mniejszości narodowe, złożone z Rosjan, Niemców, Szwedów, Polaków, Finnów i Żydów. Stolica Estonii, Tallin, li-

czyła 140.000 mieszkańców. Uniwersytet narodowy w Dorpacie założony został w 1920 r. Przeciętny nakład książek estońskich osiągał cyfrę 3 tysięcy egzemplarzy i zwykle rozprzedawany był w całości. Literatura estońska, której rozwój za czasów carskich i potem aż do r. 1920 był hamowany, w pewnych okresach zaś nawet zabroniony, istnieje od końca osiemnastego wieku. Pod zaborem rosyjskim literatura ta pielęgnowała odważnie narodowe aspiracje estońskie i pochwalić się też może gronem nie tylko wybitnych poetów romantycznych lecz także całą szkołą doskonałych regionalnych i realistycznych powieściopisarzy, z których wielu posiada zacięcie satyrystyczne. Pierwsza książka estońska (katechizm), wydrukowana została w 1535, a więc znacznie wcześniej niż pierwsze druki na Łotwie i w Finlandii, lecz z drugiej strony narodowy epos estoński *Kalevipoeg* skonstruowany został z ustnych wersji dopiero w wieku dziewiętnastym, a więc później niż fińska *Kalevala*, która w swoim czasie zainspirowała Longfellow'owi *Hiawathę*.

Po roku 1920 literatura ta, która zaskarbiła już sobie łaskę młodego narodu estońskiego wchodzi nareszcie w okres rozkwitu. Jej najwybitniejszymi powieściopisarzami są Anton Hansen Tammsaare — autor *Truth and Justice* i *Master of Korbyn* oraz Edward Vilde, autor *The Milkman of Maekala* i szeregu innych książek; jej najznakomitszymi stylistami są powieściopisarz Friedebert Tuglas i fińsko-estońska poetka i pisarka Aino Kallas; jej głównymi satyrykami są Hugo Raudsepp i Oskar Luts; jej najbardziej znanymi poetkami Gustaw Suit i Maria Under. Lecz ów okres politycznej wolności i twórczości kulturalnej skazany był niestety na krótki żywot. W 1940 r. Sowiety zajmują Estonię, w dwa lata później "oswobodzony" naród estoński znalazł się pod okupacją niemiecką, by wreszcie w 1944 ponownie przejść pod władzę sowiecką.

23 tysiące Estończyków znajduje się obecnie jako emigranci w Szwecji i około 35 tysięcy schroniło się najpierw w zachodnich Niemczech, by potem rozproszyć się stamtąd po całym świecie. Kilka tysięcy Estończyków zostało aresztowanych, zamordowanych lub wywiezionych przez Rosjan jeszcze podczas pierwszej okupacji ich kraju w 1940. Między 1939 a 1940 cała mniejszość narodowa niemiecka wywieziona została z Estonii do Niemiec w wykonaniu paktu Ribbentrop - Mołotow. Niemcy wymordowali później wszystkich Cyganów i Żydów estońskich, jak również sporą liczbę tych, którzy kolaborowali z Rosjanami. Kilka tysięcy młodych Estończyków, którzy zgłosili się jako ochotnicy do wojska niemieckiego, by walczyć z Rosją znalazło śmierć na wschodnim froncie. A począwszy od 1944 r. Rosjanie przystąpili ponownie do aresztowań, egzekucyj i zsyłek, wywożąc do położonych na północy obozów pracy ogromną liczbę tych Estończyków, którzy kolaborowali z Niemcami lub podejrzani byli o nastawienia antyrosyjskie. Zsowietyzowana Estonia straciła w ten sposób około jednej czwartej jej uprzed-

niej ludności. Jeżeli zaś chodzi o jej literaturę, to kształtuje się ona teraz pod nakazami płynącymi z Moskwy: tłumaczy się autorów sowieckich lub miejscowe zachwyty nad kulturą i polityką sowiecką. Utwory wolnej literatury estońskiej drukuje się więc jedynie na emigracji.

Zreaktywowany estoński Pen-Club posiada swą siedzibę w Sztokholmie i sekretarzem jego został wybrany Artur Adson, mąż wybitnej poetki Marii Under. Utworzono również w Szwecji Bałtyckie Towarzystwo Humanistyczne, które ma na celu wspieranie nauki i literatury w językach trzech okupowanych przez Sowietów Republiki. Towarzystwo to wydaje miesięcznik pod tytułem *Baltic Review* oraz tygodniowy biuletyn w języku angielskim, *News from behind the Iron Curtain*. Towarzystwo to aktywnie przyczyniło się także do opublikowania wspaniałego wydania *Kalevipoeg* oraz do ułożenia i opublikowania naprawdę pierwszorzędnej wartości dzieła pod tytułem *Apophoreta Tartuensis*, które wydane zostało przez Estoński Związek Literacki w Szwecji z okazji trzydziestolecia narodowego uniwersytetu w Dorpacie. *Apophoreta Tartuensis* jest zbiorem naukowych prac, napisanych w różnych językach przez byłych profesorów Uniwersytetu w Dorpacie lub jego przyjaciół. Profesor Ants Oras, wybitny znawca Anglii, a obecnie profesor Uniwersytetu we Florydzie jest jednym z głównych współpracowników tego dzieła.

Głównym wydawcą książek estońskich jest Orto, firma wydawnicza, znajdująca się w Sztokholmie, lecz od czasu do czasu książki estońskie drukowane są także w zachodnich Niemczech, Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Anglii a nawet Australii. Orto rozsprzedając swych książek zorganizował w ten sposób, iż oparł się na utworzonym przez siebie klubie książek, który członkom swym udziela poważnych zniżek. Dzięki temu Orto może wydawać książki o przeciętnym nakładzie 2 tysięcy egzemplarzy i zwykle wyłożony przez niego kapitał zwraca mu się po upływie trzech tygodni od chwili wydania, i to wyłącznie dzięki udziałowi członków klubu, zamieszkujących tylko Szwecję. W ciągu ostatnich sześciu lat Orto wydał już przeszło sto książek publikując przeciętnie jedną książkę miesięcznie. Większość tych rzeczy stanowiły książki estońskich pisarzy, znajdujących się obecnie na emigracji, lecz znajdziemy wśród nich i przedruki klasyków estońskich. Książki Orto wydawane są bardzo troskliwie, na doskonałym papierze i w gustownej oprawie. Są one jednak stosunkowo drogie dla tych wszystkich, którzy nie są członkami klubu książek.

Karl Ristikivi jest jednym z najbardziej wybitnych pośród przebywających obecnie na emigracji powieściopisarzy estońskich. Ma on zaledwie 34 lat, lecz książki jego odznaczają się wyjątkową dojrzałością. Ristikivi jest synem biednego chłopca, który, tak jak duński pisarz Martin A. Hansen, wyrwał się jeszcze jako młody chłopak nie umiejący ani czytać, ani pisać ze wsi do miasta pchany ambicjami i pragnieniem zrealizowania

swych ideałów. Tego rodzaju rzecz jest zjawiskiem typowym dla krajów bałtycko-skandynawskich. W literackim dorobku Ristikivi'ego znajdziemy trylogię, która czasami wywiera wrażenie iż była inspirowana "Buddenbrookami" Tomasza Manna i która poświęcona jest opisowi życia świata robotników, burżuazji i intelektualistów w okresie gdy Estonia była niepodległa. Jeden z tomów trylogii tej maluje nam egzystencję rodziny robotniczej, drugi skreśla dzieje firmy handlowej, którą zdobywa w drodze spadku biedny praktykant dzięki swemu wysiłkowi i pracy, trzeci wreszcie opisuje życie nauczyciela łaciny na wyższej szkole. Ristikivi mieszka obecnie w szwedzkim mieście uniwersyteckim Upsali; zmuszony okolicznościami do zarobkowania na życie jako urzędnik, pisuje tylko od czasu do czasu wiersze.

Estońscy powieściopisarze August Gailit i August Malk należą obaj do pokolenia starszego i obaj znajdują się obecnie w Szwecji, gdzie piszą i publikują swe utwory. Powieść Malka pt.: *The good Harbor* opisująca życie na jednej z wysp estońskich jest typowa dla owej historyczno-regionalnej twórczości, przy pomocy której apeluje się do uczuć patriotycznych czytelników. August Kalmus (Ewald Mand) należy do grupy najmłodszych powieściopisarzy estońskich i talent jego zabłysnął dopiero na emigracji. Kalmus jest baptystą i znajduje się obecnie w Ameryce. Jego najbardziej znaną książką jest *The Night came too soon*, rodzaj dziennikarskiego ujętej kroniki "Leśnych Braci" czy "Zielonej Armii", to znaczy estońskiego ruchu oporu, który zwalczał zarówno Rosjan jak i Niemców. Valev Uibopuu, który jest również młodym pisarzem, wydał interesującą książkę pt.: *Noone hears us*, będącą opisem sowieckiej okupacji Estonii.

Nowe powieści stanowią jednak stosunkowo mniej ważny dział w ogólnym programie publikacji wolnych Estończyków. Do bezsprzecznie najistotniejszego zadania pisarzy i wydawców przebywających na emigracji należy troska o zachowanie języka i narodowej kultury estońskiej. Podręczniki szkolne, przeznaczone dla dzieci estońskich, uczących ich ojczystego języka, i wiadomości o krajach, które udzieliły im azylu są w chwili obecnej znacznie potrzebniejsze niż jakkolwiek inna forma literatury. Dlatego też w Geislingen, w Zachodnich Niemczech, przedrukowano i wydano te części Encyklopedii Estońskiej, które zawierają bardziej ogólne informacje oraz szereg publikacji o charakterze źródłowym. Tak samo powstała konieczność wydania dzieł pisarzy klasycznych estońskich, gdyż nie znajdują się one w większości bibliotek zagranicznych. I dlatego też estońskie tygodniki, wychodzące w Szwecji, Zachodnich Niemczech, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Anglii i Australii tak często drukują wiersze Lydii Koiduli, największej narodowej poetki z okresu romantyzmu oraz wiersze Juhan Liiv'y, estońskiego Beaudelaire'a.

Poezja bowiem odgrywa poważną rolę w utrzymywaniu wia-

ry i narodowych ideałów wśród przebywających na emigracji Estończyków. Łatwo ją zapamiętują i często deklamują ją ci, którzy nie mogą pozwolić sobie na zakupywanie książek we własnym języku. Z tych też względów opublikowano ostatnimi czasy kilka antologii poezji estońskiej, a między innymi *Sinikangas*, którą w 1948 wydał Karl Kes w Niemczech zachodnich nielegalnie i kosztem czarnorynkowych opłat, gdyż władze alianckie nie zezwoliły na jej publikację. Wśród emigracyjnych pisarzy estońskich poeci odgrywają znacznie poważniejszą rolę niż miało to miejsce w kraju: są oni bowiem teraz bardami na emigracji i zazdrosnymi kustoszami czystości narodowego języka, zanieczyszczonego w kraju infiltracjami rosyjskimi, a zagranicą zapożyczeniem z języków: szwedzkiego, niemieckiego czy angielskiego. Powieściopisarze: Karl Ristikivi i Aino Kallas, poeci: Henryk Visnapuu, Maria Under i Gustaw Suits, stanowią w diasporze estońskiej najwybitniejsze talenty liryczne. Visnapuu, przebywający przez dłuższy czas w obozie dla D.P. w zachodnich Niemczech, teraz znajduje się w Ameryce; wszyscy inni poeci estońscy mieszkają obecnie w Szwecji. Ich ostatnie wiersze charakteryzuje głęboko wzruszający ton religijny, gdyż przeszedłszy przez gorzkie doświadczenia wygnania, poeci ci zwrócili się świadomie do starych psalmów hebrajskich, znanych im tak dobrze jako luteranom i Baptystom. W nich szukają natchnienia, które w oczach czytelników nadałoby ich utworom więcej znaczenia niż cała propaganda prowadzona przez wielkie mocarstwa toczące między sobą obecnie zimną wojnę i właśnie do tych czytelników zwrócona.

Edouard RODITI.

P O L S K A
PLACÓWKA KSIĘGARSKA W ARGENTYNIE

SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ

w BUENOS AIRES, Av. Leandro N. Alem. 641

zapewnia emigrantowi stały dopływ dobrej polskiej lektury oraz najpoważniejszych polskich czasopism wychodzących na emigracji, m. in. *KULTURY*, *WIADOMOŚCI* i *ORLA BIAŁEGO*.

Sprawy Krajowe

Sytuacja w kraju poprzez korespondencję

Pokaźna korespondencja, jaką sekcja polska programów zagranicznych Radiostacji Madryckiej otrzymała z kraju na przestrzeni roku, stanowi niewątpliwie wymowny w swym autentycznym dokumencie obecnej rzeczywistości i nastrojów społeczeństwa. Audycja polska istnieje od stycznia ub. roku, jednakże listy, które napływały w pierwszych miesiącach, pochodziły prawie w całości ze środowisk emigracyjnych; pierwszy list z kraju przyszedł w lutym ub. r., masowo zaś zaczęto je otrzymywać począwszy od czerwca-lipca. Listów tych nadeszło do końca wiosny 1950 przeszło tysiąc (nie licząc emigracyjnych), a nie brak wśród nich korespondencji obszernych, zasługujących, jeśli nie na nazwę referatów, to w każdym razie szczegółowych sprawozdań.

Okolo osiemdziesięciu procent całej korespondencji pochodzi z dzielnic po lewej stronie Wisły; najchętniej odzywają się Lubelszczyzna, Podlasie i Białostockie. Jest kilka unikatów, np. w postaci listu ze Stanisławowa, a nawet, co brzmi wręcz fanatycznie, z pewnej miejscowości zauralskiej. Nie potrzeba dodawać, że list ten przebył długą i skomplikowaną drogę, zanim dotarł do rąk adresatów. Gdy zaczynało się prace, poważnie liczone było z tym, że bezpośredniego kontaktu z krajem w ogóle się nie zdoła nawiązać. Któż mógłby wówczas przypuścić, że pewnego poranka otrzymamy wiadomość z dalekiego sybirskiego stepu!

Rozpiętość wieku piszących jest bardzo wielka, należy jednak podkreślić, że procent młodzieży szkolnej (nie akademickiej) stale wzrasta. Inteligencja reprezentuje znikomą mniejszość; znakomita większość — to robotnicy i chłopcy, nierzadko ludzie z trudnością władający piórem. Listy podpisane są z reguły pseudonimami, przy czym wielu z korespondentów nie zaniedbuje okazji, by popisać się swoistym humorem. Tak więc

ktos podpisuje kartę pocztową — "Wiesław Osóbka", — inny kaligrafuje pod listem — "Kostek Rokossowski". Poza tym nie brak takich podpisów, jak Marysia Oczełkowska, Wierny Słuchaczewski, Niepodległy Polak itp. Korespondent z małej miejscowości podaje następujący adres: "Rokossowo, Aleja Stalina, 397". Inny podpisuje się — "Satrapa Konstanty. Wieś Odaje. Poczta Czasy Warszawskie". Listy od młodzieży podpisywane są często zbiorowo, po trzy, cztery i więcej imion, lub pseudonimów.

pozytywny stosunek do audycji madryckiej wyraża się w różnej formie, poczynając od ocen entuzjastycznych, a na przychylną krytykę kończąc.

"Przynajmniej przez te pół godziny przeniesie się człowiek w inny świat — pisze stały korespondent ze Śląska — w świat, gdzie się oddycha świeżym powietrzem, tak nam dzisiaj potrzebnym, bo my tu się tak czujemy, jak w długie i niekończące się dni słotne". "Drodzy przyjaciele — pisze inny Ślązak — nie macie pojęcia, z jaką uwagą w kraju śledzą wasze audycje. Kiedy już rozpacz szarpie człowieka, to po pół godziny waszych słów człowiek jakoś znów na duchu się podnosi".

"Audycje z Madrytu w naszym mieście (mowa o mieście wojewódzkim na Ziemiach Odzyskanych) i dalej słucha bardzo szeroki ogół społeczeństwa. Co do poziomu i aktualności omawianych zagadnień, oraz bezkompromisowości w naszych sprawach, audycje polskie z Madrytu stoją na pierwszym miejscu ze wszystkich audycji polskich zagranicą". "Nareszcie mamy audycję polską o naprawdę pokrzepiającą treść, bo to, co dotąd na falach eteru odbieraliśmy, było bardzo mdłe i nic nie mówiące". "Kochani! Godzina 20,30 jest dla nas wszystkich godziną nadziei i pocieszenia w naszej ciężkiej niewoli". "Na terenie naszego miasta (Łodzi) rozmawiałam z kilkudziesięcioma osobami na temat Madrytu i każda osoba oświadczała: "Jeśli chodzi o Madryt, to nadaje najlepsze audycje z zagranicy". Wszyscy twierdzą jednomyślnie, że rezygnują z wielu przyjemności, aby móc wysłuchać nadawanej przez was audycji". "Audycja wasza znajduje wśród nas Polaków w okupowanym kraju pełne zrozumienie. Jak żadna z zagranicznych audycji podnosi nas na duchu...". "Pamiętajcie, że słuchają was po prostu setki tysięcy Polaków — oświadcza karta "znad Brdy i Noteci" —, gdyż przy każdym aparacie o 20,30 zbiera się co najmniej 4-8 rodaków, by się waszą audycją pokrzepić, nieraz od wsi do wsi w błocie brodząc po kolana... Onegdaj rozmawiałam z repatriantem ze Lwowa, który mi potwierdził, że i we Lwowie was szeroko słuchają i ląkną waszej audycji". "Słuchanie Madrytu staje się coraz popularniejsze w całej Polsce. Myślimy o tym, aby zorganizować słuchanie Madrytu dla młodzieży szkolnej... Dziękuję wam w imieniu nauczycieli naszej szkoły za te chwile odprężenia i nadziei, które nam dają wasze audycje". "Nawet wielu reżimowców słucha z zainteresowaniem audycję madryckich". "Mówicie tak, jakbyście tutaj z nami przeżywali tę potworną rzeczywistość". "Gdyby nie cenzura reżimu komunistycznego... i obawa przed represjami ze strony UB, mielibyście panowie takich listów tysiące".

Bardzo często pozytywna ocena programów madryckich idzie w parze z krytyką innych radiostacji zagranicznych.

"Takim językiem, jak wy — pisze "Kmieć" —, ci z Londynu ani z Ameryki przeobrazić nie potrafią... Słuchamy was tak, jak jeszcze przed rokiem słuchaliśmy "Głosu Ameryki". Lecz dziś w Polsce za-

czynają nienawidzić Ameryki za jej obojętność patrzenia na naszą niewolę z rękami założonymi...". "Anglii nikt już słuchać nie chce bo tylko doznaje się rzeźnicarowania i przykrego zawodu...". "Najlepsze audycje są wasze, reszta — to szkoda czasu na słuchanie. Powiedzcie Francji, że ich audycje są banalne... Ameryka — mogłoby się sami wyeliminować, a nie zabierać czasu ludziom swymi występami".

Przyszło też w ciągu tych siedemnastu miesięcy kilka listów z wymyślaniami. Można je zresztą policzyć na palcach jednej ręki. Jakiś jegomość z Krakowa, przedstawiający się jako dobry Polak i praktykujący katolik, oświadcza, że wszystkie informacje o walce z Kościołem i religią są nieprawdziwe; kiedy indziej robotnik z francuskiego Nordu nazwał osoby, pracujące w madryckiej audycji, "faszystowskimi wółczęgami"; słuchacz-Ukrainiec oburzył się na tekst poświęcony Ziemi Lwowskiej; wreszcie swoiste curiosum stanowi list z Szwecji, w którym "stały słuchacz", "Reichsdeutsche, in Litzmannstadt geboren", chwali audycję madrycką za dobry poziom, oświadcza, że jednak, że wszystko to na nic się nie zda, bo i tak Warszawa zostanie definitywnie zburzona, zaś Polacy będą musieli przenieść się na Polesie, gdzie założą swoją stolicę w Pińsku. Podpis z zakreślasem, rysunek trupiej główki, no, i nieodzowne Heil Hitler!

Przychodzą listy od Rosjan i Ukraińców, słuchających audycji polskiej o tyle chętnie, że audycja madrycka w języku rosyjskim jest zbyt silnie głoszona. Listy te, skarżące się przezwrotnie na utrudniony odbiór audycji rosyjskiej, rzadko kiedy przynoszą ciekawszy materiał.

Co przede wszystkim uderza w tych listach, to żywiłowa nienawiść do Sowietów i komunizmu. Niektóre wypowiedzi sprawiają takie wrażenie, jakby piszący człowiek chciał wyrzucić z siebie w jednej chwili całą nagromadzoną gorycz i gniew, spiesząc się, przeskakując z tematu na temat, niemal dławiąc się własnymi słowami... Każdy ma coś do powiedzenia o okrucieństwie bolszewików, o nadużyciach i gwałtach Armii Sowieckiej, i prawie każdy prosi o odczytanie listu przed mikrofonem, "żeby dowiedział się cały świat".

"Powiedzcie robotnikom włoskim, francuskim i hiszpańskim — pisze na pół piśmienny, choć dobrą polszczyzną władający górnik z Górnego Śląska —, że choćby im było bardzo źle, choćby im było najgorzej, niech nie słuchają propagandy komunistycznej, bo dopiero w tym stroju poznaliby co to prawdziwe piekło!".

Niewątpliwie wstrząs psychiczny wywołała w kraju nominacja Rokossowskiego, oceniona, jako zdecydowany zwrot w polityce sowietywizacyjnej. Przyjście czerwonego marszałka i słynny list Stalina do Wilhelma Piecka wzbudziły w Polsce znaczny niepokój, któremu daje wyraz większość korespondentów.

Ostra kampania przeciw Kościołowi również przyczyniła się do wzrostu nastrojów pesymistycznych.

"Jeszcze rok temu — czytamy w liście, podpisanym "Robotnicy ze Śląska" — wielu z nas wierzyło obietnicom, propagandzie i nawet zapisywało się do partii, dziś zaledwie mały procent pozostał prawdziwych komunistów, albo zaprzedańców, co to dla kariery. Zmiana ta nastąpiła z dwóch powodów. Jednym to jest zbratanie się naszego rządu z Niemcami. Jeszcze rok temu wielu wierzyło, że rząd dla nas dobrze chce, a teraz każdemu aż się w każdym zżyma, jakto nie pamiętają mordów niemieckich, obozów Treblinki, Oświęcimia, Palmir, egzekucji na ulicach, spalenia Warszawy. To nam otworzyło oczy na dobre, zdrada jaka czy co, teraz to pewno cały Śląsk oddadzą Szwabom, na to się zanosi, domy po miastach mieli sprzedawać, ludzie robili starania, a wszystko strzymane i gospodarstwa też mieli przepisywać na własność. To by wyglądało na zdradę. Drugim powodem to jest walka z religią. Nasze kobiety pierwsze podnieśli gwałt. Prawie każdy jeden był u spowiedzi, księża spowiadali całą noc po rekolekcjach, a w Palmową Niedzielę komunია trwała z pół godziny, przystępowali przeważnie mężczyźni i młodzi i starsi tacy, którzy przedtem do kościoła nie chodzili, na rekolekcjach tłok jak nigdy... W święta widziałem się ze szwagrem, jest gurnikiem w jednej kopalni, powiada że to samo u nich, a na nowe zażądania klną, ale wszyscy udają jak niby nic, nawet między sobą nie mówią głośno bo jest dużo szpiegów, my tak samo boimy się i z nieznanymi nie rozmawiamy. Ci gurnicy co przyjechali z Francji to żałują że przyjechali i zaraz by tam powrucili żeby ich puszczono, choć im dogadzają jak mogą. Ze to co piszemy jest prawdą to się może panowie sami kiedyś przekonają, bo jakaś zmiana musi przyjść bo tak długo ludzie nie wytrzymują. Coraz więcej mówią o wojnie to może i będzie".

Wzrost religijności, o którym pisze śląski górnik, widoczny jest poprzez lekturę wszystkich listów, niezależnie od wieku, pochodzenia i pozycji społecznej korespondentów. Spory procent listów zaczyna się od "Pochwalony!" i kończy poleceniem adresatów Opiece Boskiej. Niektóre tchną swoistym mistycyzmem, inne są wręcz pisane w modlitewnym stylu i nastroju.

Skargi na pogarszającą się sytuację gospodarczą, stanowią inną dominantę większości listów.

"Jesteśmy eksploatowani przez Rosję. W naszych sklepach nie widac nic, a przecież wciąż się mówi o przekroczeniu planu, o wykonaniu 200 lub 300 procent normy. Więc gdzie się to wszystko podziewa?"

"Warunki życiowe są pod psem. Robotnik pracujący po osiem godzin dziennie, niedziele i święta, zarabia na miesiąc 12-13 tysięcy złotych. Kilo mięsa kosztuje 480 złotych, kieszki 400-500 złotych, chleb 48 zł. kilo. Ubranie (tandeta) 10.000 złotych, para butów 6.000-10.000 złotych, ale to takie słabe, że szybko się dra... Mięso otrzymujemy na kartki po 150 gramów na tydzień na jedną osobę. Tyle mięsa zjadać, to ni dla psa ni dla kota... Byczo jest w "Demokracji Ludowej"..."

"Na pierwszego stycznia podnieśli nam zarobki o 5 procent, a mięso, słoninę i szynkę podnieśli o 30-60 procent, weinę o 35 procent itp.". "Zarabiamy bardzo mało, jak mam według 8 grupy 11.400 złotych, odtrącają około tysiąca, a potem przeklęta partia, do której pod terrorem trzeba należeć, prasa, związki zawodowe itd. — pozostaje 10.000 złotych". "To co robotnik dostaje, to u dobrego gospodarza pies więcej zje, a przy tym normy nie potrzebuje wyrabiać...". "Dla NKWD jest oddzielny sklep, gdzie mogą we wszystko zaopatrzyć się, ale dla

robotników nie ma nic, oprócz wszy i głodu — oto taka równość. Oto dobrobyt. Ratujcie świat, póki czas!"

Wiele listów podaje przykłady marnotrawstwa gospodarczego, spowodowanego niedbalstwem i przerostami biurokracji partyjnej.

"Zsyпали zboże do szopy na wysokość dziesięciu metrów, no i zboże zgniło — nie miał wieśniak, nie miał robotnik, nie miało państwo. Chleb był ze stęchłego żyta — ale kto się tam martwi o los robotnika!". "Spęda się do wagonów całe setki świń i wiezie bez wody, bez jedzenia, zanim się dowiedzie do miejsca przeznaczenia, to połowa ginie i idzie na gnój, a robotnik dostaje 50 gramów mięsa na cały tydzień".

Z otrzymywanej korespondencji zdaje się wynikać, że prasa emigracyjna w niewielkim tylko stopniu informuje o objawach rosnącego terroru policyjnego.

"Wy tam na emigracji, — pisze robotnik śląski — wiecie tylko o większych procesach, ale co się dzieje na co dzień, to tylko my w kraju mamy pojęcie". "Zagranica mówi o rzeczach dziejących się u nas tylko w ułamku tego, co jest. Na przykład, o aresztowaniach to wiedzą tylko o osobistościach znanych, a przecież wciąż są aresztowania różnych ludzi, z różnej warstwy i tych małych najwięcej. Nikt nie wie, że wielu z nich wieszają. Nikt też nie wie, że już zabierają tę osobę, która wystarczy że powie, że nie ma masła czy mięsa i nawet nie można wiedzieć przed kim się stoi w kolejce. A w najlepszym razie przychodzą do mieszkania, robią rewizję dokładną i każą podpisać, że w dwudziestu czterech godzinach opuszczasz dobrowolnie miasto i z zamkniętą buzią..."

"Kto by do kina na sowiecki film nie poszedł, już jest politycznie podejrzany i przy pierwszej okazji się go oskarży za byle jaki wymyślony sabotaż i już siedzi". "Na kopalni "Wujek" koło Katowic miała miejsce taka oto zbrodnia. Kiedy robotnicy odmówili wykonania nieludzko wysokiej normy wydobycia węgla, zjechali siepacze spod znaku UB... użyto broni... po stronie robotników padło sześciu zabitych i 14 rannych, po stronie bolszewickiej padł jeden czerwony policjant...". "Boję się podać prawdziwe nazwisko, bo mógłbym się znaleźć w Miłecinie... A nie macie pojęcia co znaczy tam Polak prawdziwy, co nie chwali Demokracji Ludowej — w Miłecinie uśmierca się takiego na serce". Rozmawiałem z kolegą, który siedział w Miłecinie. Jak opowiadał mi o tym obozie, włosy mi dęba stawały".

"W jednym z powiatowych miasteczek poruszenie niebывałe... odbywa się wielki proces w trybie doraźnym przed sądem wojskowym. Na ławie oskarżonych troje dzieci. Dwóch chłopców i jedna dziewczynka — uczniowie pierwszych klas gimnazjalnych. Dziewczynka w harcercskim mundurku, jeden z chłopców także. Prokurator surowym głosem oskarża: "Dażyli świadomie do obalenia siłą ludowej władzy w Polsce...". Rzecz działa się następująco: Na pobliskiej stacji kolejowej po sprzeczce między żołnierzami rosyjskimi, którzy się tu włóczę jak psy beapańskie, doszło do strzelaniny, w trakcie której dwóch bolszewickich oficerów zostało zabitych i kilku rannych. Polskie pachołki usłuźnie wykonały rozkaz Moskwy i polskich żołnierzy rozstrzelano. Fakt ten wywołał ogólne oburzenie i był gorąco dyskutowany. NatURALNIE przede wszystkim u młodzieży. Bolszewicy postanowili więc za

jednym zamachem wszystkie gęby zamknąć. Upatrzyli tych troje. Chodzi o to, że ta cała trójka dyskutowała, że żołnierzy polskich zabijają Rosjanie i że na Sybirze jest źle. Sąd uznał ich winę i skazał. Chłopiec i dziewczynka, którzy na temat zajęć rozmawiali, dostali po dwa lata więzienia, a drugi chłopiec, który przysłuchiwał się rozmowie i potakująco kiwał głową, rok więzienia... Fakt ten jest autentyczny i mogę podać dalsze szczegóły".

Niemal z miesiąca na miesiąc można z lektury tych listów dostrzec rosnące wciskanie się terroru politycznego do najbardziej prywatnych zjawisk życia, przez co coraz bardziej zwąca się i tak bardzo szczupły margines, na którym społeczeństwo szuka chwili odpoczynku i zapomnienia. Zwłaszcza od ubiegłej jesieni zaznacza się wyraźna zmiana w tonie i nastroju większości listów. Przebija przez nie rosnące znużenie, a niekiedy i beznadziejność, choć również nie brak listów pełnych otuchy i wiary w przyszłość. Te jednak od pewnego czasu stanowią mniejszość.

Ludzie są już znużeni natrętną, krzykliwą propagandą, od której uciec nie podobna.

"Żeby tę orgię propagandową — pisze korespondent ze Śląska — pojąć i odczuć, to trzeba to oglądać na własne oczy. Takiej powodzi transparentów i obrazów bóstw marksistowskich świat nie oglądał dotychczas. Nam tu zły los tego nie skąpi i sypie się to na nas, jak z rogu obfitości". "Kochani, jeżeli w tym roku wojna nie wybuchnie, to będzie z nami koniec". "My tu w ojczyźnie dłużej już nie możemy wytrzymać. Bo nikt wierzyć nie chce, co głosi propaganda reżimu komunistycznego, ale cóż zrobić, że pod naciskiem partyjnym i pistoletów ubowskich ludność polską do wszystkiego zmuszają". "Tam gdzie pracuje, jest 75 procent partyjnych, ale wiedźcie, że takich, jak ja — muszą, bo zależy na pracy i życiu...".

"Jestem członkiem komunistycznego Związku ZMP, oraz członkiem P.Z.P.R. Na ich zebraniach te głędzenia komunistyczne wywołują chęć pojechania do Rygi, a serce z bólu pęka... Reżim komunistyczny dużo młodzieży zalał, ale jest to wygląd tylko zewnętrzny, w sercu jesteśmy jednak prawdziwymi Polakami". "Spędza się ludzi na zebrania, wyciąga się gotową rezolucję i odczytuje, pada pytanie, kto jest przeciw tej rezolucji, a że takich śmiazków nie ma, więc rezolucja jest jednomyślnie przyjęta i posłana do prasy. Czego my tu spontanicznie nie uchwalamy! Przeciw podżegaczom wojny, przeciw uciskowi ludu pracującego na zgniłym Zachodzie, przeciw nadużyciom w Caritasie, przeciw mieszanii się kleru do polityki. Nie podobna tu wyliczyć wszystkiego, czego my tu spontanicznie nie uchwalamy...". "Porównać nas można do człowieka ciężko chorego, który wie, że tylko operacja może go uzdrowić, bo innego wyjścia nie ma. Dla nas tutaj życie nie przedstawia już takiej ceny, jak kiedyś, więc nie bardzo dbamy o nie". "Już nie można znieść tej obrzydliwej propagandy, tej atmosfery przyniatającej, tego bólu i łez. Od czerwieni aż oczy boją, a ciągle sowieckie akademie, sztuki w teatrach, filmy — na każdym kroku serca się ranią...". "Ten, kto tu nie jest, nie może mieć wyobrażenia, co to propaganda. Jest to słowo tak straszne, że można nim człowieka uśmiercić, a co najmniej do obłędu doprowadzić... Do największej ohydy trzeba to zaliczyć, że ludzie muszą brać udział w różnych obchodach i głośno manifestować, że im teraz dobrze...". "Doprowadzają nas do granicy obłędu... w czasie okupacji hitlerowskiej mieliśmy przynajmniej nadzieję, że się to raz skończy, teraz nadzieja ta jest bardzo mała, a może nawet żadna...". "Męczą nas te wieczne zebra-

nia, ta nieustanna propaganda, te wszystkie uchwały, zawsze "jednomyślnie" i "dobrowolnie"... W Polsce czerwony terror panoszy się coraz bardziej, a my musimy tylko zaciskać zęby i czekać na lepszą przyszłość... Ale ten stan wycekiwania staje się dla nas wszystkich coraz bardziej wyczerpujący...". "Jestem uczniem, no i należę, oczywiście, do tzw. Z. M. P. Należymy prawie wszyscy, bo inaczej trudno byłoby otrzymać maturę. Chodzę regularnie na zebrania, chociaż wiele mnie to kosztuje, bo czasami to człowiek po prostu zwiymiotowałby od tego ich gadania...". "Chwilami żyć się nie chce, zdaje się, że wszystko stracone, że niewola na wieki, stokroć gorsza nawet od niemieckiej, gdyż podczas okupacji hitlerowskiej miało się do czynienia z otwartym wrogiem i nikt nie zmuszał do wstrętnego zakłamania, a obecnie zmuszają człowieka do zaparcia się siebie...". Za Hitlera było lepiej, bo przynajmniej można było walczyć i zginąć, a takie życie, jak teraz, to chyba gorsze od śmierci!".

Procent listów, wyrażających skrajne rozgoryczenie i zdecydowanie negatywny stosunek do Zachodu, jest stosunkowo niski; wolno jednak przypuszczać, że w normalnych warunkach korespondencyjnych byłyby znacznie wyższe.

"Pięknie mówić, to potraficie, ale nic konkretnego nie umiecie powiedzieć". "Chcemy nareszcie wiedzieć, kiedy to się skończy, a nie słuchać słów pocieszenia...". "Każdy nas tylko pociesza! Nie pocieszajcie nas słowami. Dajcie nam pociechę czynem. Uwolnijcie nas spod jarzma plagi naszej. Tego od was oczekujemy i żądamy, jako od tych, za których sprawę walczyliśmy. Nie gadajcie nam pustych frazesów, które nas jeszcze więcej zanurzają w czarną rozpacz bez wyjścia...". "Wyrazu "zgnili Zachód" często używają komuniści i nie całkiem bez racji, bo jak ktoś umie wygłaszać jakieś hasła, a nie umie o nie walczyć, to sam podaje lekceważenie to, co wyznaje, więc w propagandzie komunistycznej przeciw Zachodowi jest pewna doza prawdy...". "Owszem, my wiemy, że nas łupią, ale co wy chcecie nam dać? O co idzie ta walka? — wyłącznie o własny żłób, o stanowisko, po trupach się idzie do władzy, obiecując wolność i dobrobyt naiwnym, a gdy się siedzi dobrze już na koniu, to się wtedy innych przykróca. Teraz tam (na Zachodzie) ... niby nas żalują i ubolewają, — niech oni sami zapłaczą nad sobą...!"

Zapewne właśnie dlatego, że znużenie przeciągającym się stanem rzeczy i rozwyrzoną propagandą komunistyczną zaczyna dochodzić do kresu ludzkich sił, tak wielka ilość korespondentów zwraca uwagę na audycje, w których urządzi się kpiny z marksistowskiej frazeologii i sowieckich sloganów, karykaturyzując typowe chwytły propagandowe.

"Prosimy jeszcze więcej — pisze "Robotnik z Ziemi Odzyskanych" — krytyki, satyry i humoru pod adresem obecnych marionetek stalinowskich w Warszawie... żeby więcej razy w audycjach występował ten "starszy pan" ze swoją humorystką. Bardzo chętnie jest słuchany i nas trochę w tej niewoli rozwesela...". "Bez humoru i satyry "starszego pana" nie wyobrażam sobie audycji madryckiej".

Najwidoczniej bezceremonialne, a niekiedy i brutalne kpiny z bonzów bolszewickich, okadzanych na co dzień natrętną propagandą, już samym prawem reakcji daje ludziom w kraju pewne psychiczne odprężenie.

Rzadko kiedy piszący precyzuje swój stosunek do emigracji, jako zjawiska politycznego. Powtarza się niezmiennie westchnienie zazdrości: "Jesteście szczęśliwi, że żyjecie w wolnych krajach!" — choć w liście pisanym przez uczennicę gimnazjalną czytamy opinię nieco inną:

"Tu w kraju mówią o was, że jesteście szczęśliwi, i zazdroszczą wam, ale ja myślę, że lepsze warunki zewnętrzne to jeszcze nie wszystko; musi być i wam bardzo ciężko w tęsknocie za krajem i w nieświadomości dnia powrotu do ojczyzny.

"Głoście prawdę o Sowietach, uświadamiajcie opinię krajów na Zachodzie" — oto życzenie wypowiediane w tonie imperatywu niemal w każdym liście.

Ciekawsze uwagi na ten temat znajdujemy w bardzo obszernym liście, referacie niemal, pisanym przez człowieka niewątpliwie bystrego, a przy tym ujmującego sprawę na zimno, bez emocjonalnego zabarwienia, jakim odznacza się lwia część listów.

"O ile w czasach okupacji niemieckiej żyliśmy tym tylko, co dochodziło przez B.B.C., o pracach naszego ówczesnego rządu, ich sukcesach i niepowodzeniach, radościach i smutkach — o tyle dziś, po czterech latach "wolności", kiedy naród ludzono biało-czerwonymi sztandarami, kiedy Mazurkiem Dąbrowskiego wyciskano łyżki radości, kiedy — paradoksalnie w obecnym układzie stosunków politycznych — wytyczano zachodnią granicę Chrobrego, a jednocześnie stopniowo zastępowano biało-czerwone sztandary czerwonymi, hymn Narodowy — Międzynarodówkę, przy całej ohydzie służalczości w stosunku do Sowietów i ordynarnego ich małpowania — naród nasz otępiał, kwestia bytu, najzwyczajszej egzystencji, walki o byt, dla siebie i dla najbliższych stała się jedyną domeną zainteresowań i dążeń. Naszą emigrację z terenu Wielkiej Brytanii postawiono poza nawias zagadnienia — jako środowisko bankrutów politycznych... To... zdyskredytowanie w oczach narodu jego emigracji... było częściowo zasługą wielu spośród tych, którzy wrócili z Zachodu do kraju w myśl znanego powiedzenia, że "Polskę można odbudować tylko będąc w kraju".

"Gdzie jest prawda? Sądzę, że otrząsnęliście się z marazmu i zdobyli na konkretne osiągnięcia — o tym przynajmniej świadczyłyby audycja z Madrytu. Nie wpadajcie jednak w pychę, jeszcze daleko do tego, abyście mogli powiedzieć, że jesteście pełnowartościowym odpowiednikiem woli narodu i wyłącznym jej wyrazicielem. Kapitał moralny, utracony z tych czy innych powodów... należy odzyskiwać systematycznie w coraz silniejszym oparciu o kraj..."

"Chcemy w was widzieć ludzi, którzy się nie dadzą zaskoczyć wydarzeniom, lecz w przewidywaniach swoich wybiegają w przyszłość i ochraniają naród przed zdradliwymi nowościami jutra. Nie wiemy co nam tu w kraju przyniesie przyszłość, pesymizm stał się naszym udziałem, spodziewamy się stale coraz to nowych ciosów i stałego pogarszania się naszej rzeczywistości. Gdyby było inaczej — użyłbyście nam nieco swego optymizmu. Nie chodzi nam o słowa pocieszenia, lecz o konkretne fakty, dające możliwość stawiania horoskopów".

Zacytowany list jest zresztą, jeśli chodzi o szerokość postawienia problemu, raczej wyjątkiem. Z reguły korespondentów obchodzą wydarzenia w wielkiej polityce światowej, a nie dalekie podwórko emigracyjne. Nie wymieniają nazwisk: najwidoczniej sprawa Mikołajczyka jest już zbyt oddaloną w czasie i

przebrzmiała, o innych nie wiedzą, lub nie chcą wiedzieć. Prawda, trzeba i tu zrobić jeden wyjątek: nazwisko generała Władysława Andersa powtarza się stosunkowo często, zwłaszcza w listach młodzieży; Monte Cassino, odebranie obywatelstwa przez reżim i ciągłe ataki prasowe musiały zrobić swoje.

Pragnę podkreślić, że szereg audycji, częściowo lub w całości poświęconych młodzieży, spotkał się z natychmiastową i bardzo gorącą reakcją. Jak już zaznaczyłem na wstępie, chodzi tu przede wszystkim o młodzież szkolną, gdyż od studentów audycja otrzymała bardzo niewiele listów, zapewne nie przekraczających kilku promille w stosunku do ogólnej ilości.

Właśnie te listy, pisane przez sztubaków, odznaczają się stosunkowo większym optymizmem, a w poszczególnych wypadkach — o czym zaraz będzie mowa — zniecierpliwieniem i wolą walki czynnej.

"Duch w nas jest dobry — zapewnia jakiś siedemnastoletni młodzieniec, — a gdy tylko padnie hasło, pójdziemy do walki i, jeśli trzeba będzie, zginiemy za ojczyznę". "Bądźcie spokojni — zapewnia w zbiorowej epistole przyjaciel, — wiemy, że trzeba działać bardzo ostrożnie. Łączymy się w małe kółka po trzech, czterech, by wspólnie pracować nad sobą i bronić się przed zarazą bolszewicką, i aby być gotowymi na właściwą chwilę".

"Większość młodzieży na naszym terenie należy do Z.M.P. dla interesu. Jakież 10 procent to aktywiści, rozslani po zarządach powiatowych, dzielnicowych czy szkolnych. Około 90 procent jest w Z.M.P. dla materialnych zysków. Większość, czyli 60 procent jest nastawiona negatywnie do dzisiejszej rzeczywistości, z czego wielu ma jasno skryształizowane poglądy na bolszewizm, a do Z.M.P. należy bądź to dla zamaskowania się, bądź też dla rozbijania wroga od zewnątrz. Reszta to młodzież obojętna, niezdecydowana, lub nie mająca pojęcia o bolszewizmie".

Sporo piszą o młodzieży i starsi.

"Największą naszą troską — czytamy w liście "Znad nadmorskiej granicy" — są dzieci, gdyż pozbawione obecnie możliwości porównania z resztą świata, karmione jedynie propagandą, mogą uwierzyć, że to prawda". "Doradźcie, co mam uczynić — błaga rozpaczliwie "Matka, jakich wiele". — Nie chcę oddawać dzieci do komunistycznej organizacji, ale wiem, że bez tego nie będą mogli studiować. Co zrobić? Przecież muszę im dać wykształcenie!" "W waszych audycjach — pisze cytowany już uprzednio "Kmicic" — wy czuwa się duża troska o młodzież. Chociaż sprawa przedstawia się groźnie, to jednak nie całkiem beznadziejnie, bo na truciznę, którą zatrują nasze dzieci, stosujemy odtрукę i mamy nadzieję, że utrzymamy je przy jakim takim zdrowiu... Mamy odporność moralną i będziemy się bronić do ostatka!"

Czasem zadźwięczy nuta wyraźnie sformułowanej krzywdy społecznej, z góry apelującej do trybunału przyszłości.

"Nie chciałem pójść do Z.M.P. i usunięto mnie ze szkoły. Nie ucze się już od roku i wybaczone za błędy ortograficzne, ale brak mi wykształcenia. Inni moi koledzy nie cierpią komunistów, ale należą do

organizacji, żeby skończyć szkołę. To zapytuje, czy jak Polska odzyska niepodległość, ci wszyscy co poszli do komuny dla interesu, będą mieli takie same prawa, jak ci, co nie poszli?"

Od paru miesięcy coraz częściej zjawiają się w listach akcenty, dawniej nieistniejące, pomysły o walce czynnej, zapowiedzi zbrojnych wystąpień, co zdawałoby się dawać rację tym, którzy twierdzą, że wzrastający nacisk sowiezycyjniny doprowadzi do odrodzenia "lasu" na większą skalę. O takiej możliwości świadczą nie tylko listy pisane przez młodych i zapalczywych korespondentów.

"Żyję tylko wspomnieniami z mojej kochanej partyzantki" — zapewnia "Słuchacz z Gór Świętokrzyskich". "Kochani Rodacy, doradźcie, czy już jest czas na organizowanie ruchu podziemnego, bo my na wszystko jesteśmy już gotowi. Jakbyście mogli podać nam gotowe instrukcje, jak mamy postępować... Mamy lat 18 i 19... Prosimy przesiąść ukłony dla generała Andersa". "Pragnęlibyśmy skomunikować się z naszym rządem na emigracji i dostać od was pewne wskazówki dotyczące naszej działalności... Będziemy działać i walczyć w szeregach naszej organizacji".

Podpis. Podana nazwa organizacji i dołączona pieczęć.

"Chcę nawiązać kontakt z podziemiem... Nie należy czekać, tylko brać się do czynu, bo tylko walka da nam wolność. Myślę, że znajdę takich, których szukam. Bo lepsza śmierć, niż katowanie Bezpieki i niewola". "Dosyć mamy już tego, żeby głód cierpieć i nędzę i być podwładnymi komunistów, więc postanawiamy walczyć — a w jaki sposób, to pokaże przyszłość..." "My, robotnicy, myślimy tym zbirom urządzić krwawą sobotę, choć wiadomo, że nas później przeredzą... żebyśmy tylko mogli jakąś pomoc techniczną z zewnątrz otrzymać... Wiosna się zbliża, trzeba coś zrobić..."

Jest rzeczą charakterystyczną, że aż do ostatnich miesięcy tego rodzaju akcentów w listach nie było. Wzmożenie tempa sowiezycyjnego, zapoczątkowane ubiegłej jesieni, odbiło się na korespondencji w dwojaki sposób: znużenie i zwątpienie, dochodzące do rozpacz, u jednych, nurtująca myśl o wznowieniu walki zbrojnej u innych. Jak zawsze, gdy się zwraca uwagę przede wszystkim na objawy skrajne, jest w takim ujęciu wiele z uproszczenia i uogólnienia, nie zapominajmy jednak, że od jesienno-Plenum C. K., mianowania Rokossowskiego i zapoczątkowania generalnej ofensywy na terenie kultury i oświaty upłynęło zaledwie kilka miesięcy. Czas pokaże, czy pewne tendencje, jakim dają wyraz cytowane powyżej listy, okrzepną, czy też są to wysoki indywidualne, nie mające pokrycia w nastrojach mas.

Powstaje pytanie, w jakim stopniu zanalizowana korespondencja jest pełnym i nieskażonym odbiciem rzeczywistości w kraju. W szczerą jej nikt zapewne wątpić nie zamierza. Z drugiej strony jednak trudno byłoby przypisywać jej wartość wszechstronnej ankiety. Należy założyć, że ludzie, których roz-

goryczenie, znużenie i apatia doprowadziły do całkowitego załamania i pogodzenia się z obecną rzeczywistością, nie słuchają audycji zagranicznych, a w każdym razie listów nie pisują. Gorąca reakcja młodych słuchaczy również nie powinna skłaniać do wniosków zbyt optymistycznych; odzywa się bowiem element najwrażliwszy i najwartościowszy. Tak więc, choć z całą słusznością można listy te traktować jako drgania igły na sejmografie nastrojów krajowych, nie wolno zapominać o konieczności przeprowadzenia pewnych poprawek czy uzupełnień.

Jedno nie ulega wątpliwości: kraj jest coraz bardziej znużony, co w części tłumaczy się psychicznym nieprzygotowaniem do tak szybkiego tempa sowiezycacji, skoro rachuby na przeciąganie się w czasie swoistego polskiego NEP-u całkowicie zawiodły. W tych warunkach odrodzenie podziemia ze wszystkimi jego konsekwencjami staje się nie tylko możliwe, ale i wysoce prawdopodobne.

Niech skłócona i tracąca czas w politykierskich gierkach na śmietniku zawiedzionych złudzeń emigracja zastanowi się nad tą ewentualnością i wyciągnie z niej właściwe wnioski, które oby znów nie przysłyły zbyt późno!

Józef ŁOBODOWSKI.

„POLSKA WIERNA”

jest najstarszym i najpoczytniejszym
tygodnikiem społeczno-religijnym
Polaków na Obczyźnie

Cena pojedynczego egzemplarza 15 Frs.

Prenumerata kwartalna 180 Frs.

Zamawiać: 263-bis, rue St-Honoré — PARIS 1^{re}

C.C.P. 4955-03

Archiwum polityczne

Organizacja czy zbiórka?

Problematyka Skarbu Narodowego skupia się koło dwu kluczowych zagadnień, jakie stoją przed naszą emigracją polityczną. Pierwsze z nich to zagadnienie środków na działalność polityczną państwa na wygnaniu, drugie to zagadnienie stworzenia form organizacyjnych, dających możliwość arbitrażu między różnymi kierunkami politycznymi.

Istotną trudnością zewnętrznej polityki rządów emigracyjnych było, że nie mogły one prowadzić polityki niezależnej, tak długo, jak długo były materialnie zależne. Istotną trudnością wewnętrzną polityki emigracyjnej była niemożność arbitrażu, rozstrzygającego o tym, która grupa w jakim stopniu wywierać ma wpływ na rządy. Od kilku lat utarł się na emigracji szlachetny obyczaj, że tylko te ugrupowania uznają podstawy prawne rządu, które są w tym rządzie reprezentowane. Nie ma zatem normalnej opozycji i ten stan rzeczy najlepiej oddaje karykaturalność naszych stosunków. Kto nie jest w rządzie, automatycznie kwestionuje jego podstawy prawne.

Taki system doprowadzić musi do trwałego rozbicia i paraliżu działalność rządu. Paraliżuje ją po pierwsze dlatego, że znaczny odłam społeczeństwa nie uznaje rządu i jego podstawy działania jest zwięziona, po drugie dlatego że rząd, działający bez opozycji, jest zawsze rządem złym: wszystko załatwia się bez kontroli, jakby "w rodzinie".

Usztywnienie form politycznych w jakiejś szerokiej koalicji, ustalającej raz na zawsze klucz partyjny, nie może nigdy rozwiązać tego dylematu i kto wie, czy nie byłoby bardziej szkodliwe od obecnego stanu rzeczy. Potrzebujemy obozu rządowego, który by mógł drogą normalną utracić władzę i opozycji, która by drogą normalną mogła dojść do władzy. To właśnie zagadnienie może rozwiązać skarb narodowy, jeżeli będzie organizacją. Potrzebujemy też systemu, który by wszyscy uznawali, bo wówczas przy zmienności rządów istnieje ciągłość państwa.

Najpoważniejsze wątpliwości, wynikające z zespolenia koncepcji Skarbu Narodowego z koncepcją wyborów spotkałem w korespondencji p. Mieroszewskiego ("Kultura" Nr. 7/33 — 8/34). Obawia się on, że państwo na emigracji, oparte o system wyborczy, mogłoby się zamienić na państwo emigrantów. Korzyści systemem wyborczym przeważają jednak zdaniem p. Mieroszewskiego nad tym niebezpieczeństwem. Właściwie można by więc z autorem nie polemizować, choćby się było zwolennikiem koncepcji wyborczej. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na jedno: celem państwa na emigracji będzie zawsze kraj. Ludzie, którzy będą płacić podatek na Skarb Narodowy będą go płacić z myślą o kraju. Nie będą wymagać od rządu działania w ich interesach emigracyjnych, ale będą wymagać akcji, zmierzającej do wyzwolenia kraju. Dlatego niebezpieczeństwo wyrodzenia się państwa na emigracji w państwo emigrantów jest mniejsze niż się wydaje p. Mieroszewskiemu.

Zwolennicy koncepcji Skarbu Narodowego dzielą się z grubszą na dwie grupy. Jedni widzą w tej koncepcji drogę do stworzenia nowych form organizacyjnych, drudzy chcą jak najszybciej dostarczyć rządowi R. P. środków na jego działalność, a koncepcji wyborczej nie biorą zbyt serio, względnie uważają ją za malum necessarium. Są i tacy, którzy hasło wyborów uważają tylko za obietnicę, której na serio nie biorą.

Oddają się oni słodkiemu złudzeniu, że można latami zbierać składki na Skarb Narodowy, bez urządzania żadnych wyborów, jako że są trudności techniczne, że akcja organizacyjna nie jest zakończona itd. Wydaje mi się, że nad realizacją Skarbu Narodowego zaciążyły fatalnie poglądy tych właśnie, którzy cały problem organizacji w ramach Skarbu Narodowego lekceważyli, a o wyborach na serio nie myśleli. Stąd też akcja Skarbu Narodowego przypomina bardziej doraźną zbiórkę, niż przygotowanie poboru podatków, a sposób zbiórki nie stwarza podstawy do przeprowadzenia wyborów.

Wyraża się to już w formach zewnętrznych akcji i w jej zasadach organizacyjnych. W niczym nie przypominają one poboru podatku. Legitymacja Skarbu Narodowego powinna być dowodem, uprawniającym do głosowania. Tymczasem jej ogólnikowość i uproszczona forma pozbawiają ją wszelkich cech dowodu osobistego: ani daty urodzenia, ani fotografii, ani odcisku palca. Teoretycznie stawka podatku wynosi 1/4% dochodu, ale w rzeczywistości jest ona zupełnie dowolna.

Sama skala opodatkowania jest tak niska, że dowodzi z jednej strony jak niepewni swojej sprawy są realizatorzy koncepcji, obiecujący wybory, z drugiej strony nie może wystarczyć na pokrycie kosztów organizacji poboru w ramach 10% wpływu, a wyższy udział kosztów administracyjnych byłby źle przyjęty przez opinię. Brak powiązania akcji zbiórkowej z jakąś organizacją odbije się z tego powodu niebawem na wpływach Skarbu Narodowego, który będzie pozbawiony koniecznej stabilizacji.

Nie można akcji stałej opierać na wzorach bardzo dobrych dla przeprowadzania jednorazowej zbiórki.

Wszystko wygląda tak, jakby organizatorzy czuli się niepewni wobec płatników, jakby się ich przede wszystkim bali. Ta niepewność wynika oczywiście stąd, że brak wybranej reprezentacji, a mandat obecnych władz jest kwestionowany przez sporą część opinii. Jeżeli się stoi na stanowisku, że chodzi o ściąganie podatku, to do jego ściągania należy utworzyć urzędy skarbowe, a nie komitety. Komitety czy komisje złożone z szanowanych i wybitnych osobistości mają wzbudzić zaufanie do akcji. W rzeczywistości jednak rola tych komisji według brzmienia dekretu jest bardzo szczupła. Mają one zbierać pieniądze i na tym koniec. Nie można w ten sposób rozwiązać problemu zaufania, gdyż płatnicy z natury rzeczy domagają się i domagać się będą kontroli nad zużyciem sum, zbieranych na Skarb Narodowy, a kontroli tej komisje Skarbu Narodowego nie mają.

Kontrola spoczywa w rękach Rady Narodowej, która jak wiadomo nie pochodzi z wyborów. Fundusze są centralnie zbierane i centralnie oddawane do dyspozycji Rady Narodowej. Rada Narodowa obejmuje praktycznie ludzi, mieszkających w Londynie. Istnieje zasada, że 35% wpływów winno iść na cele lokalne w kraju, w którym zostały zebrane. Ale wybór tych celów lokalnych dokonywany zostaje w Londynie bez żadnego udziału nawet komisji lokalnych Skarbu Narodowego.

Dopóki nie będzie istnieć reprezentacja z wyborów system ten będzie jaskrawym zaprzeczeniem zasady "nie ma opodatkowania bez reprezentacji". Zasada ta może być praktycznie pominięta w państwie, dysponującym aparatem wykonawczym. Natomiast w żadnym razie nie może być pominięta w naszym państwie na emigracji, bo tu ludzie nie będą płacić podatku inaczej, niż dobrowolnie. Sama logika wskazuje, że ludziom płacącym podatek dobrowolnie bez żadnego przymusu należy się prawo udziału w dysponowaniu wpłaconymi przez nich pieniędzmi.

Na terenach lokalnych, jeżeli już przyjęto zasadę przeznaczania 35% wpływów na cele lokalne, prawo to powinno być przyznane reprezentacjom krajowym. Ale tych reprezentacji nie ma, nawet w formie namiastki, jaką w Londynie jest Rada Narodowa. Zastanówmy się nad tym, co ta Rada może powiedzieć na temat najbardziej celowego wydatkowania paruset funtów, powiedzmy w Australii? Chyba raczej niewiele.

Wysokość opodatkowania jest w wielkim stopniu zależna od tego, czy się opodatkowanym przyzna prawo głosu czy nie. Jest jednak zależność odwrotna, z której na pewno mało kto zdaje sobie sprawę. Im wyższa będzie skala opodatkowania, tym spokojniej można w ręce wyborców oddać przynajmniej decyzję o sposobie zużytkowania wpływów. Przy niskiej stopie opodatkowania decydować mogą o wykupieniu znaczków różne względy uboczne — przy wyższej zawsze niemal decydować będzie tylko troska o sprawę polską. Parę pensów w Anglii, czy kilka-

dziesiąt fenigów w Niemczech, czy wreszcie franków we Francji daje się na odczepnego. Kilkakrotnie większą stawkę będzie się dawać w pełnym poczuciu, że jest to ofiara świadoma, całkowicie dobrowolna, ponoszona dlatego, że ofiarodawca pragnie płacić za to, że jest Polakiem.

Nie należy do ludzi, którzy mają dogmatyczną wiarę w dobroczynne skutki systemu wyborczego zawsze i w każdych okolicznościach. Wartość tego systemu zależy w znacznej mierze od wartości — wyborców. Otóż między masą uprawnionych do głosowania w jakimś kraju, a masą posiadaczy legitymacji Skarbu Narodowego, wylepionych znaczkami, istnieje taka sama różnica, jak między armią z poboru, a armią ochotniczą, pod warunkiem jednak, że podatek narodowy będzie istotnie podatkiem, a nie paru groszami, rzuconymi na odczepne. Organizacja Skarbu Narodowego jest wzgl. może być najlepszą formą wybrania spośród rzeszy Polaków, którzy znaleźli się poza krajem, prawdziwych emigrantów politycznych.

Dwa momenty utrudniają przeprowadzenie akcji Skarbu Narodowego w sposób, zabezpieczający jej trwałe powodzenie.

Pierwszy z nich ma znaczenie raczej techniczne, ale w praktyce niemałe. Przy niskiej stawce opodatkowania, jak już wspomniałem, nie można stosować metod poboru, zabezpieczających trwałość wpływów. Metoda ta powinna polegać na ściąganiu podatku przez inkasentów, utrzymywaniu kartotek płatników itd., wysyłaniu upomnień do płatników, do których nie może dotrzeć poborca. Wszystko to może robić biuro, ale nie może tego robić komitet. Któż znajdzie dziesiątki i setki ludzi, mogących systematycznie pracować bezpłatnie? Ciekaw jestem, jak wyglądałoby państwo, które by pobór podatków powierzyło ochotniczo zwerbowanemu personelowi, pracującemu honorowo?

W obecnym stanie akcji pobór podatku załamać się po prostu z braku aparatu wykonawczego. Nasze władze są pod tym względem wstydliwe i liczą się z opinią, mocno zrażoną "kosztami administracyjnymi" różnych imprez, które nie zrobiły prawie nic konkretnego dlatego, że wpływy wystarczyły właśnie tylko na te koszty i na nic więcej. Polega to, jak mi się zdaje, na fałszywej ocenie reakcji opinii. Na pewno każdy zrozumie, że nie można na dłuższą metę wymagać pracy bezpłatnej. Ludziom nie chodzi też o to, by nikt nie brał pensji, ale o to, by ci którzy pobierają pensje coś robili. Państwo musi mieć urzędników i w innych resortach też nie wymaga pracy bezpłatnej. Ludzie są nieufni, i jedynym sposobem na usunięcie tej nieufności jest wprowadzenie jawności i kontroli, przez wybrańców obdarzonych mandatem płatników. Natomiast zasada prowadzenia akcji Skarbu Narodowego przy pomocy komitetów honorowych może tylko wzbudzić podejrzenie, że członkowie tych komitetów są wynagradzani z innych pozycji.

Druga trudność wynika z naszego rozbicia politycznego. Istnie-

je organizacja uchodźców wojennych (ZPUW), której władze znajdują się w rękach "opozycji". Najprostszym rozwiązaniem organizacyjnym byłaby przebudowa tej organizacji w ten sposób, by jej władze w poszczególnych krajach powoływane były w drodze powszechnych wyborów z udziałem wszystkich płatników daniny narodowej. Reprezentacja krajowa stanowiłaby równocześnie zarząd Zjednoczenia Polskiego w danym kraju, mający określony wpływ na zużycie części wpływów, przewidzianej do wydatkowania w danym kraju. Otóż takie najprostsze rozwiązanie nie może być zastosowane właśnie z powodu negatywnego stosunku ZPUW do akcji Skarbu Narodowego.

W rzeczywistości Zjednoczenia Polskie mają bez porównania mniej członków, niż jest posiadaczy legitymacji Skarbu Narodowego. Poza tym członkostwo Zjednoczeń Polskich jest zawsze pośrednie, oparte na przynależności do organizacji zrzeszonych, natomiast posiadanie legitymacji Skarbu Narodowego jest zawsze wynikiem bezpośredniej decyzji indywidualnej. Gdyby w poszczególnych krajach powołać władze organizacji Skarbu Narodowego w drodze wyborów, to miałyby one o wiele lepszy tytuł do reprezentowania Polaków w danym kraju niż władze "Zjednoczeń".

Powodzenie akcji Skarbu Narodowego było na pewno niespodzianką dla jej przeciwników. Nie można go jednak uważać za zwycięstwo polityczne grup, popierających obecny rząd. Jest to zwycięstwo i sukces pewnej koncepcji wprowadzenia ładu w nasze stosunki emigracyjne, stworzenia systemu, zapewniającego funkcjonowanie państwa na emigracji niezależnie od zmian w układzie sił między stronnictwami i od aktualnych gier taktycznych stronnictw.

Była to koncepcja dumna i do realizacji niełatwa, co chętnie przyznaję. Była ona wyrazem ambicji utworzenia na emigracji państwa niezależnego i zdolnego do działania, opartego na rzeczywistej organizacji własnych sił. Mało kto jeszcze, zwłaszcza w Londynie, rozumie że organizacja ta ma znaczenie nie tylko na dziś, że raz urzeczywistniona nie przestanie być potrzebna i cenna w zupełnie innym niż dziś układzie. Już nadmiarem wyobraźni politycznej nie grzeszymy. Dlatego nie zdajemy sobie sprawy z tego, że Polactwo światowe jest już, a co najmniej może się stać taką samą rzeczywistością, jak światowe Żydostwo.

Wiemy, że fakt ten nie wszystkim w świecie będzie się podobał. Wielu będzie uważało istnienie światowego Polactwa za wrzód, jak wielu za wrzód uważało istnienie światowego Żydostwa. Nie myśmy jednak ten wrzód stworzyli, a istnienie światowej organizacji walki o wolność Polski jest tylko konsekwencją pozbawienia wolności kraju.

W całej koncepcji było dużo elementów, przemawiających do wyobraźni Polaków. Okazało się, że jednak mimo wszystkich zawodów, mimo tego co się mówi o zniechęceniu, nieufności do

"polityków", zubożeniu itd. nie tak wiele uroniliśmy z naszych uczuć narodowych. Tęsknota za formami organizacyjnymi, w których uczucia te można by przekuć na akcję jest żywa. Jest to imponderabilium, którego niektórzy politycy nie potrafili odważyć. Nie dostrzegli oni, co w tej koncepcji jest ważne: nie to wcale, że głosi ją na zewnątrz, czy też przyjmuje, to czy inne ugrupowanie, ale to, że odpowiada ona pragnieniom mas emigracyjnych — tych bezpartyjnych.

Obawiam się, że obecnie znaleźliśmy się w podwójnym impasse. Przeciwnicy koncepcji organizacyjnej, leżącej u podłoża akcji Skarbu Narodowego stanęli wbrew opinii mas. Realizatorzy koncepcji nie kwapią się dotychczas z wyciągnięciem z niej wniosków koniecznych. Postępują tak, jakby nie byli pewni swojej sprawy.

Wydaje się, że w gruncie rzeczy i jedni i drudzy obawiają się pojawienia się nowych sił. Dylemat polega właśnie na tym, że tylko system ułatwiający powstawanie takich sił i wykorzystanie ich dla budowy potęgi państwa, także państwa na emigracji, jest systemem dobrym.

Nie chodzi wcale o to, by usuwać tradycyjne stronnictwa polityczne. Te będą miały zawsze olbrzymią przewagę nad każdym ruchem nowym. Chodzi jednak po pierwsze o to, by wyzyskać naturalne dążenie każdego ugrupowania do zdobycia wpływu na państwo dla wzmocnienia państwa (przez wciąganie członków i sympatyków do akcji Skarbu Narodowego) oraz o to, by żadne stronnictwo nie mogło drzemać wygodnie na zdobytych fotelach, w poczuciu, że nikt go z tych foteli nie ruszy.

Dlatego właśnie wszelkie inne programy, czy to będzie program legalizmu, nie opartego o żywe siły społeczne, czy to będzie program utwalonej władzy stronnictw (też swego rodzaju legalizm, jak to słusznie zauważył p. Mieroszewski) są programami statycznymi, w przeciwieństwie do koncepcji organizacyjnej Skarbu Narodowego, która jest koncepcją dynamiczną.

W. ZALESKI

List z Wyspy

(Od londyńskiego korespondenta „Kultury”)

I.

Rozłam

Dnia 30 sierpnia br. prof. Henryk Paszkiewicz — nie należący do żadnego stronnictwa politycznego — otrzymał misję utworzenia rządu „jedności narodowej”. Trzytygodniowe rokowania z przedstawicielami stronnictw nie przyniosły pożądanego rezultatu. Prof. Paszkiewicz złożył swą misję, a Prezydent R.P. zamianował premierem gen. R. Odzierżyńskiego.

Obecnie trudno jest już mówić o kryzysie. To co nastąpiło nosi wszelkie znamiona rozłamu.

Po śmierci premiera Tomaszewskiego stronnictwa ogłosiły teksty memoriałów jakie przedłożyły Prezydentowi R.P. Ugrupowania wchodzące w skład Rady Politycznej wysunęły na pierwszym miejscu żądanie ustąpienia obecnego prezydenta R.P. Wprawdzie stronnictwa Rady Politycznej nie sformułowały tego żądania w sposób jednobrzmiący — z praktycznego punktu widzenia różnice w redakcji tego żądania nie posiadają większego znaczenia. Prez. Zaleski oświadczył, że wprawdzie nie jest władny zmienić postanowień konstytucji w tym względzie — gotów jest jednak określić termin swego urzędowania z uwagi na wiek. Prezydent A. Zaleski liczy obecnie niemal 68 lat i zdecydowany jest złożyć swój urząd, gdy osiągnie lat 70.

W ten sposób jedno z najbardziej ciernistych zagadnień konstytucyjnych (określenie terminu kadencji) w odniesieniu do obecnego prezydenta R.P. na uchodźstwie — zostało przez niego samego dobrowolnie sformułowane.

Interpretacja postanowień konstytucji stanowiła we wszystkich dotychczasowych rozmowach, pomiędzy rządem a stronnictwami opozycji — zagadnienie centralne. Rozważając tę sprawę trzeba wziąć pod uwagę następujące punkty: Interpretacja jest nieodzownym czynnikiem postępu prawa. W Anglii stosuje się ustawy, które datują się sprzed stukilkudziesięciu czy nawet paruset lat. I tylko wykładnia modernizująca dawne pojęcia pozwala normom ustaw nadać za życia i postępu. Dzięki temu ustawy te wypełniają pozytywnie swe zadania a nie stają się źródłem konfliktów i nieporozumień.

Konstytucja z 1935 r. była wyrazem pewnej epoki. Sądzę, że nie obrażę niczyich uczuć (a jeżeli to nielicznej grupy) gdy powiem, że konstytucja ta jest już dziś „de facto” choć nie „de jure” rekwizytem historii. Nie wyobrażam sobie bowiem, aby w przyszłej niepodległej Polsce odrodził się klimat społeczny, którego owocem była konstytucja z 1935 r.

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że konstytucja z 1935 r.

nie znalazłaby dziś poparcia w woli większości obywateli R. P. I w tym sensie należy ona już do przeszłości. Jeżeli stoimy wciąż na jej gruncie, to nie dlatego byśmy uważali ją za dobrą ale dlatego, że po pierwsze konstytucja ta umożliwiła przeniesienie na obcyznę legalnych władz okupowanego kraju, a po drugie, że na emigracji nie jesteśmy władni jej zmienić.

W rozważaniach tych trzeba jasno rozgraniczyć dwie sprawy: co innego oznacza odrzucenie konstytucji z 1935 r. a czym innym są usiłowania pogodzenia pewnych postanowień konstytucji z wymogami ustroju demokratycznego. Ci, którzy stoją na stanowisku, że owe usiłowania pogodzenia konstytucji z wymogami ustroju demokratycznego są czymś karygodnym i zgubnym deklarują się tym samym jako zwolennicy na poły totalitarnego ustroju politycznego, który był kolebką konstytucji z 1935 r.

Z drugiej jednak strony z całą stanowczością należy stwierdzić, że zupełnie czymś innym jest domaganie się udemokratyzowania postanowień konstytucji a zupełnie czymś innym jest żądanie bezwarunkowego ustąpienia urzędującego Prezydenta R. P.

Memoriały stronnictw opozycyjnych zaczynają się od patetycznego apelu o zgodę i jedność a kończą się, nie na realnych propozycjach, lecz na żądaniu bezwarunkowej kapitulacji. W gruncie rzeczy nikt nie chce kompromisu, każdy natomiast przez zgodę i jedność rozumie kapitulację oponentów.

Cóżby się stało gdyby prezydent skapitulował? Jakby wówczas wyglądała jedność i zgoda narodowa? Za nowym rządem byłyby trzy stronnictwa Rady Politycznej a w opozycji znalazłoby się 6 czy 7 ugrupowań politycznych z których większość nie uznałaby tak powołanego rządu za legalny i zgodny z konstytucją. Jedność i zgoda kupione być mogą tylko za cenę kompromisu a nie kapitulacji.

Długie i żmudne pertraktacje prowadzone przez prof. Paszkiewicza zostały storpedowane wysunięciem przez p. Ciołkosza imieniem PPS (po trzech tygodniach obiecujących konferencji) żądania bezwarunkowej kapitulacji tj. by prezydent Zaleski natychmiast ustąpił. Żądanie p. Ciołkosza zażyrowały dwa pozostałe stronnictwa Rady Politycznej.

Innymi słowy, rokowania załamały się nie dlatego, że wyczerpano możliwości znalezienia formuły kompromisu, ale dlatego, że p. Ciołkosz zszedł nagle z platformy rokowań o kompromis i wysunął żądanie kapitulacji. Nie brak głosów, że uprzednio w czasie rokowań wysunięty przez p. Ciołkosza plan interpretacji pewnych postanowień konstytucji był rozsądny i nadający się do dyskusji. Tym bardziej jednak trudno oprzeć się wrażeniu, że jego decyzja naglej zmiany frontu spowodowana została elementami spoza sfery toczących się rokowań.

Być może, że przywódcy PPS sądzą, iż związek z obecnym prezydentem stanowiłby dla nich polityczne obciążenie, utrudniał kontakty i współpracę z innymi partiami socjalistycznymi

i ograniczać możliwości taktyczne na terenie międzynarodowym. Jeżeli chodzi o PPS można wysuwać tego rodzaju przypuszczenia. Od kogo jednak na arenie międzynarodowej spodziewać się może poparcia czy finansowej pomocy Stronnictwo Narodowe lub NiD — pozostaje zagadką. Chyba, że... w Radzie Politycznej obowiązuje wspólna pula.

Żądanie bezwarunkowej kapitulacji dowodzi, że stronnictwa opozycyjne nie dążą do kompromisu. Nie wystarczające jest w tym wypadku tłumaczenie z jakim wystąpiło jedno z pism londyńskich, że w odniesieniu do sprawy ustąpienia prezydenta "istnieją wyraźne rozbieżności wśród ugrupowań wchodzących w skład Rady Politycznej". Te rozbieżności są widać nie bardzo "wyraźne" skoro żądanie p. Ciołkosza solidarnie poparł zarówno NiD jak i Stronnictwo Narodowe.

Więc jakie jest wyjście z obecnej sytuacji?

Publicyści spod znaku Rady Politycznej wysuwają stale tezę, że koniecznym postulatem demokracji są stronnictwa polityczne. Kto atakuje stronnictwa ten atakuje demokrację i dąży do dyktatury.

Istotnie, nie ma ustrojów demokratycznych bez stronnictw politycznych. Jeżeli jednak w danym ustroju jest kilkanaście partii politycznych, nie wszystkie muszą popierać rząd. Sprawa niepomniernie się komplikuje gdy w danym ustroju 98% potencjalnych wyborców nie należy w ogóle do żadnej partii.

Skłonny jestem przypuszczać, że nie znajdzie się następcą prof. Paskiewicza, który by podjął się jeszcze raz misji tworzenia rządu "jedności narodowej". Rozłam ma niestety wszelkie znamiona trwałości.

Obecny rząd góruje nad poprzednimi rządami emigracyjnymi tym, że posiada w terenie dobrze funkcjonującą sieć organizacyjną Skarbu Narodowego. Teren W. Brytanii pokrywa w tej chwili siatka 250 ogniw organizacyjnych. Ta wielka organizacja liczy już dziś wydatnie ponad 100 tysięcy członków. Nie ulega wątpliwości, że Skarb Narodowy staje się nie tylko duszą, ale i materialnym ciałem "Państwa na Emigracji". Wyposaża przede wszystkim to państwo w szkielet organizacyjny. W oparciu o zrąb tej organizacji rząd będzie mógł przeprowadzić wybory do Rady Narodowej (o ile pokona jeszcze wiele innych trudności). Emigracja w przytłaczającym procencie jest bezpartyjna. Radni narodowi, pochodzący z wyborów nie będą zatem reprezentować wyłącznie partii politycznych, lecz również bezpośrednio i po prostu wyborców swojego okręgu.

Z chwilą, gdy rząd przeprowadzi wybory i powoła do życia nową Radę Narodową, która przynajmniej w połowie swego składu będzie reprezentować uchodźstwo — wówczas zarzut, że "państwo na Emigracji" jest nie demokratyczne będzie całkowicie bezpodstawny.

"Państwo na emigracji" w obecnej formie jest w większej mierze agencją urzędniczą niż polityczną. Utrzymuje placówki dyplomatyczne, zbiera na ten cel fundusze i spełnia dziesiątki

zadań mało efektywnych a potrzebnych. I trzeba powiedzieć, że jakiegokolwiek to państwo miałoby winy i wady — podtrzymałoby flagę państwową. To jest ważne. O mianowaniu nowego premiera nie dowiedziałem się z londyńskiej polskiej prasy codziennej lecz z "The Manchester Guardian", który następnego dnia po utworzeniu rządu zamieścił w dziale politycznym depeszę z Londynu zatytułowaną: "Mianowanie nowego premiera rządu Wolnych Polaków". Nie ulega wątpliwości, że tradycja i ciągłość niepodległego Państwa Polskiego zdeponowana jest w całości w instytucji "Państwa na emigracji".

Partie polityczne na uchodźstwie są odcięte od życia i skazane na mniej lub więcej akademickie teoretyzowanie. I tu leży przyczyna, dla której nie przyciągają mas uchodźczych. Nie jest prawdą jak niektórzy sądzą i piszą, że uchodźcy nie wstępują do partii z obojętności politycznej i braku przekonania.

Weźmy przykład pierwszy z brzegu. Jeżeli ktoś przed wojną w Polsce interesował się wsią, czuł się związany z warstwą chłopską — wstępował do Stronnictwa Ludowego i pracował realnie nad urzeczywistnieniem programu politycznego, który odpowiadał jego przekonaniom.

Cóż może ofiarować Stronnictwo Ludowe młodemu Polakowi na emigracji? Chłopa polskiego na fotografii, a wieś polską na ilustracjach w książce?

Do pracy teoretycznej, polityczno-organizacyjnej, czy też daleko-planowych studiów nadają się tylko jednostki, ludzie, którzy służyli partii wiele lat w Kraju. Ale jak trudno byłoby liczyć na napiwł uczniów do szkoły lotniczej, która dysponowałaby samolotami jedynie na fotografii tak również trudno liczyć na masowy przyływ członków do partii politycznej oderwanej od terenu działania i skazanej na czyste teoretyzowanie od lat... jedenastu.

Istotą każdej partii politycznej z prawdziwego zdarzenia jest walka. Walka o zwycięstwo programu. Gdy partie polskie odzyskają możliwość walczenia o realizację programu z całą pewnością nie zbraknie im członków. Obecnie jedynie może PPS jest w pewnym sensie w korzystniejszej sytuacji.

Ten stan rzeczy i nic innego jest przyczyną nienaturalnej bezpartyjności mas uchodźczych. Ci sami ludzie przeniesieni na grunt niepodległego państwa zasiliby natychmiast kilkanaście partii politycznych.

Wydaje się zatem, że "Państwo na emigracji" będzie nadal korzystało z bezporównania większego poparcia mas uchodźczych niż Rada Polityczna. W układzie emigracyjnym Rada Polityczna jest siłą rzeczy instytucją "elitarną" dostępną dla niewielu i budzącą zainteresowania nielicznych. Stanowi ona swoisty związek sztabów bez armii. Jeżeli będzie możliwy powrót do Kraju jeszcze za naszego życia, emigracyjnym komitetem polskich partii politycznych przypadnie zasługa przechowania ideowej ciągłości programów partyjnych oraz zrębów organizacyjnych. Ułatwi to niewątpliwie odbudowę życia politycznego.

Powrót do wolnego Kraju przyniósłby jednak niejednemu przywódcy partyjnemu gorzkie rozczarowanie. Owe tysiące młodych Polaków w wieku lat 28 - 30, które stanowią dynamiczny trzon narodu — w r. 1939 nie należały do żadnej partii politycznej, bo liczyły lat 17 czy 18. Za kim oddaliby oni swój głos, gdyby w Polsce jutro były wolne wybory? Za kilka lat owa "kurtyna 1939 r." przesunie się jeszcze dalej, spychając na margines tych "starych", co wychowali się i duchowo skryształizowali w Polsce niepodległej.

Misja i tytuł emigracyjnych partii politycznych do reprezentowania milczących wyborów w Kraju błędnie z każdym miśnięciem. I dlatego wydaje mi się, że dopóki polski partyjny "balance of power" nie zostanie sprawdzony i ustalony w wolnych, demokratycznych wyborach w Kraju — partie polityczne wchodzące w skład Rady Politycznej nie mają po prostu podstawy domagać się całości władzy dla siebie. Nikt nie neguje ich prawa reprezentacji, ale ponieważ pełnomocnictwo jest dość dawnej daty a ilość podpisów pod nim nieznaną — sądzić by należało, że nie są to tytuły usprawiedliwiające politykę skrajnych żądań jak np. żądanie ustąpienia Prezydenta R.P.

II.

Depozytariuszów... "Klub Trzeciego Miejsca"

Nie jest rolą publicysty prowadzenia śledztwa w sprawach nadużyć finansowych czy jakichkolwiek innych. To jest zadanie dla prokuratora. W Anglii do chwili ogłoszenia wyroku przez właściwy sąd nikt nie jest winny. A czy ktoś jest winien czy nie winien o tym ma prawo orzekać jedynie sąd i nikt poza nim.

Komentując Sprawozdanie Komisji Specjalnej Rady Nar., honoruję w pełni mądry i demokratyczny zwyczaj brytyjski nie wypowiadając poglądu na temat winy poszczególnych osób. Niech orzeknie o tym sąd.

Po zapoznaniu się z treścią sprawozdania, które przez PAT podane zostało do publicznej wiadomości — pierwszą refleksją, która nasuwa się samorzutnie jest pytanie, dlaczego rząd zabrał się do tej sprawy tak późno?

Na to pytanie z kół rządowych nie otrzymałem zadawalającej odpowiedzi.

Ppłk. Kamiński — jak wynika z tekstu cytowanego sprawozdania — odmówił pod koniec 1948 r. wykonywania zleceń rządu. Natomiast do dnia 18 sierpnia 1950 r., całą sprawę trzymano pod korcem nie wiadomo dlaczego i w czym interesie?

Sprawozdanie podaje właściwie tylko dwie konkretne cyfry ustalając, że ppłk. Kamiński ponosi odpowiedzialność za kwotę około 1.000.000 dolarów nominalnych — zaś p. J. Kwapiński odpowiada za depozyt w wysokości £6,456.

Geneza tych depozytów nie została wyjaśniona. Sprawozdanie Komisji poświęca tej kapitalnej sprawie jedno zdanie: "Niepewny jest również los części tzw. Funduszu Krajowego,

którą ppłk. Jan Kamiński przejął pod swoją pieczę w okresie czasu od września do 1 listopada 1946".

Dlaczego przejął — na jakiej podstawie przejął — kto go upoważnił? O tym wszystkim sprawozdanie dyskretnie milczy. To są pieniądze publiczne i opinia polska ma prawo domagać się całkowitego i pełnego wyjaśnienia tej dziwnej sprawy.

Ppłk. Kamiński w czerwcu 1948 r. wystosował list do Prezydenta R.P. w którym prosił o "stworzenie takiej formy wydania mu dyspozycji, aby się mógł pozbyć niepokojów o merytoryczną stronę wydatkowania i ograniczyć się tylko do technicznego wykonywania zleceń". eZ swej strony ppłk. Kamiński wysunął projekt powołania komisji złożonej z przedstawiciela prezydenta R.P., przedstawiciela Naczelnego Wodza oraz osoby upatrzonej przez niego i zapewnił, że wykona zawsze zlecenie wypłat udzielone mu przez taką komisję.

Proponowana przez ppłk. Kamińskiego komisja nie została utworzona.

Wnioskować by należało, że ppłk. Kamiński odczuwał — jak sam pisał — "niepokój o merytoryczną stronę wydatkowania" i proponując powołanie komisji chciał poszerzyć legalną podstawę organu zlecającego wypłatę. Innymi słowy zlecenie wypłaty wydane przez rząd normalną drogą służbową ppłk. Kamiński uważał za niedostateczne.

W pół roku później w końcu 1948 r., ppłk. Kamiński odmówił wykonywania zleceń rządu. 12 maja 1949 r. szef kancelarii cywilnej Prezydenta R. P. otrzymał pismo, które stanowi unikat i curiosum nawet w barwnych dziejach naszej emigracji.

Oto jego tekst: "Komisja Przedstawicieli Stronnictw Politycznych PPS, P.R.W.NiD i S.N. prosi o powiadomienie, na życzenie ppłk. dypl. J. Kamińskiego, Prezydenta R.P. o przyjęciu z dn. 3 maja 1949 w imieniu powyższych stronnictw obrony tej części Funduszu Krajowego, która znajduje się w depozycie u ppłk. dypl. J. Kamińskiego. Wyciąg z odnośnego protokołu w załączeniu". Pismo powyższe podpisali panowie: Fr. Białas, R. Piłsudski, E. Sójka.

Oto jesteśmy na szczycie emigracyjnej wieży Babel całkowitego pomieszania pojęć legalizmu, odpowiedzialności, prawa i sensu.

Płk. Kamiński uważał, że rząd nie jest dość reprezentatywny, oddał się więc w opiekę Radzie Politycznej. Wymienione trzy stronnictwa skwapliwie wyraziły gotowość rozciągnięcia opieki nad funduszem, którego jedynym dysponentem jest i był legalny rząd polski. Przyjmując tę propozycję Rada Polityczna uznała za słuszny punkt widzenia płk. Kamińskiego i jego odmowę wykonywania zleceń legalnego rządu pokryła swoim autorytetem.

Decyzja trzech stronnictw była tym dziwniejsza, że przecież jakiegokolwiek zarzuty postawiliby się ówczesnemu rządowi był on jednak legalny. Rządy uprzednie podobnie jak obecny nie były reprezentatywne. Lecz w niczym nie pomniejsza to ich legaliz-

mu. W Londynie łatwo byłoby skonstruować bardzo reprezentatywny "rząd", który jednak posiadałby tę wadę, że byłby samozwańczy, nie-konstytucyjny i nielegalny.

Te same stronnictwa, które stoją zasadniczo na stanowisku legalizmu, składają memoriały Prezydentowi, biorą udział w rokovaniach z celem stworzenia rządu "jedności narodowej" — przyjmując ofertę płk. Kamińskiego postąpiły, tak jakby ówczesny rząd polski uznawały nie tylko za niereprezentatywny, ale i za nielegalny.

Płk. Kamiński poszedł jeszcze o krok dalej. Po namyśle doszedł bowiem do wniosku, że zarówno rząd jak i Rada Polityczna nie jest (dla niego) w gruncie rzeczy dość reprezentatywna... Można i tak. "Klub Trzeciego Miejsca" jest niewątpliwie w takim wypadku instytucją najmniej kłopotliwą.

Finałem całej sprawy było ogłoszenie w prasie komunikatu w którym trzy stronnictwa Rady Politycznej podały do powszechnej wiadomości, że "ponieważ w przeciągu przeszło roku depozytariusz (płk. Kamiński) nie umożliwił dokonania faktycznej kontroli depozytu, przeto komisja wyłoniona w tym celu przez stronnictwa uznawa wykonanie zadań, jakich się one podjęły za niemożliwe i w dn. 18 sierpnia br. postanowiła się rozwiązać".

Nie wątpię, że rozumowanie przywódców Rady Politycznej szło po linii, że lepiej by ów depozyt kontrolowany był przez komisję trzech stronnictw niż żeby nikt nie miał nad nim kontroli. Ale nawet, jeżeli takie były intencje nie usprawiedliwiają one decyzji jaką powzięto. Gdy raz wkroczy się na drogę semi-legalizmu porządek prawny "Państwa na emigracji" zostaje podważony. Cofa się wówczas rządowi uznanie w całości lub połowicznie — względnie na pewien okres czasu — ile razy jest to taktycznie wygodne.

Według oficjalnego tekstu PAT p. J. Kwapiński odmówił wydania funduszków znajdujących się u niego w depozycie, motywując swą odmowę również względami natury politycznej.

Jedno z londyńskich pism polskich podało do wiadomości, że p. J. Kwapiński udostępnił redakcji tego pisma "rewelacyjny materiał".

Do czego to wszystko prowadzi?

Czy jeżeli p. J. Kwapiński swym "rewelacyjnym materiałem" udowodni, że i inni nasi dostojnicy mijali się z prawem czy tym samym zwolni siebie samego z odpowiedzialności? Czy udowodniwszy winę innych tym samym pomniejszy winę swoją własną (jeżeli w ogóle jest winny)?

Jak długo stoimy na stanowisku, że zarzuty wysunięte w sprawozdaniu Komisji Specjalnej są autentyczne — trudno sobie wyobrazić by najbardziej "rewelacyjny materiał" mógł zmienić w czymkolwiek fakt odmowy wydania depozytu pieniężnego z funduszków publicznych legalnemu rządowi.

Jeżeli się jest powierniczym dzierżycielem polskich pieniędzy publicznych, a nie uznaje się za rząd polski administracji Bierruta — to wówczas ma się przed sobą tylko jedno wyjście:

przekazać pieniądze legalnemu rządowi polskiemu w Londynie. Jeżeli jednak ktoś, nie uznając reżimu Bierruta, równocześnie odmawia w praktyce pełni uznania rządowi polskiemu na wygnaniu — niech się nie dziwi, że tego rodzaju "depozytowy Klub Trzeciego Miejsca" budzić musi w każdym uczciwym człowieku poważne wątpliwości.

Juliusz MIEROSZEWSKI.

Którędy droga?

Odległość pomiędzy Europą, a Ameryką nabiera wyrazu i barwy wtedy dopiero, gdy w rękę wpada współczesna literatura polityczna dotycząca Kraju. Gdy w jakiejś czytelni przed oczami przewinie się kalejdoskop wydarzeń, opisanych w prowincjonalnej niemieckiej gazecie, gdy rzeczywistością europejskiego życia uderzy w twarz oglądany film. Wtedy, zblakany, jeszcze niezadomowiony Europejczyk, z prerażeniem rozgląda się dookoła, pyta sam gdzie jest i po co tu jest. Po tym pytaniu wraca wzrokiem ku przeczytanej właśnie gazecie, książce czy tygodnikom, czyta raz jeszcze, uczy się na pamięć wydrukowanych słów, chłonie ich sens, wyszukuje zarysu koncepcji, nie może jej znaleźć, zagrzebuje się w negatywizmie jakiego tam pełno, w niekończących się protestach, w walce o życie, o przetrwanie i znowu podnosi głowę szukając na terenie owej błogosławionej Ameryki, tej brakującej koncepcji, tego pozytywizmu myślenia, rodzącego idee porywające uciśnionych. Nie znajduje ich i pozostaje tak rzucony pomiędzy swoją, a tamtą rzeczywistością, zawieszony w próżni.

Etapami naszymi, etapami dzisiejszych emigrantów, były historyczne decyzje powzięte przez wielkich tego świata. Rok 1939, Karta Atlantycka, potem Jalta i San Francisco, dzisiaj Korea. Krzywa biegła najpierw w górę z zawrotną szybkością jasnej perspektywy powrotu, spadła potem gwałtownie, bez ostrzeżenia, podobnie jak dzisiaj pada nagle i bez ostrzeżenia żołnierz amerykański w Korei. Dzisiaj dźwiga się w górę ponownie. Nie ma już jednak dawnego zrywu, brak jej perspektyw, łopoczących sztandarów, i wielkich słów nie specjalnie wielkich wodzów. Pnie się w górę znowu, podobnie jak chłopak z Texasu pnie się na skały koreańskie nadludzkim wysiłkiem idąc do ataku. I tak samo jak on w chwilach, gdy pociski przestają latać, gdy front zastyga i sprawa nasza zastyga także, myśli o tym po co i dlaczego. Po co, zamiast dalej w Texasie u-

jeźdźca konie, lub sprzedawać lody w drug-storze, pojechał do owej Korei, po co porwał się na zbawianie świata wśród ludów, których nie rozumie, i pewno nie zrozumie nigdy, na ziemiach mu obcych, nieprzyjaznych? W imię czego? Demokracji? Wolności? Dla kogo? Dla tych biednych Koreańczyków? Któż wie jednak czy oni tej wolności pragną, czy chcą jej na równi z nim samym, i czy — jeżeli chcą istotnie — nie zdołają sami jej sobie wywalczyć, bez pomocy niczyjej, bez zabierania młodych amerykańskich istnień, żyjących do końcowych dni sierpnia 1950 roku życiem pokojowym, pomimo i wbrew wojnie?

Nasze cele są jasne — zawoła na to polityk emigracyjny. Jasne, szlachetne — dorzuci drugi. Idziemy w kierunku odzyskania wolności o którą wszyscy się modlą, ku której dążą, w imię której przecież giną i w lasach i w więzieniach najlepsi obywatele Rzeczypospolitej. Gdy odzyskamy wolność wówczas zaprowadzimy demokrację. Karty nasze, deklaracje nasze, oświadczenia nasze wskazują to jasno i dobitnie. Damy wolne wybory, przegnamy tylko zdrajców. Damy wolność przekonani, rozstrzelamy tylko komunistów.

Jeżeli żołnierz amerykański nie wie o co walczy, my wiemy dokładnie. Jeżeli ich społeczeństwo nie wie ku czemu idzie, nasze wie. Jest bowiem dojrzałe politycznie cierpieniem i doświadczeniem.

Po czym polityk ten z dumnie wypiętą pierśią pobiegnie szybko na następne zebranie, na którym pełne już i ostateczne zbawienie świata rozbija się tylko o fakt braku maszyny do pisania celem sformułowania tezy.

A jednak patrząc stąd, z dalekiego New Yorku, jakby z marginesu spraw polskich, trudno się oprzeć powrotowi do tego porównania oburzającego polityka. Stoimy wszakże przed labiryntem, do którego dostęp mają tylko naprawdę wielkie umysły poczęte u wielkich duchem. Tym labiryntem jest owa koncepcja, której brak. Z jednej strony jest Kraj, jest miejsce z którego istnieniem, nadziejami i walką związane jest bezpośrednio nie tylko istnienie emigracji, ale także i świata zachodniego. W kraju następują wielkie przemiany, bo tam przyszła koncepcja. Jak przyszła, kto ją przyniósł, w jaki sposób jej czarne skrzydła coraz szczelniej zakrywają widzące dotąd oczy młodych i coraz starszych, wiemy wszyscy. Nie trzeba tego powtarzać, jakkolwiek przeczytanie jeszcze jednej "Z rodakiem nocnej rozmowy" nikomu nie zaszkodzi, choć wielu wtrąci w otchłań melancholii. Koncepcja ta jest, trwa, wciska się w życie jednostki silnie, brutalnie i bezwzględnie. Nie ma tak wartościowego człowieka, nie ma tak silnej idei, tak mocnej prawdy historycznej, tak oczywistej logiki która by nie szła na całość, nie, o ile koncepcja nie zdołałaby jej wchłonąć w całości i przemienić w swoje, niczyje inne, posłuszne narzędzie. Nie pozostaje po nich śladu. Gdy tylko padną, na świeże jeszcze pobojuwisko wchodzi plóg zaprzężony w dialektykę interpretacji Marksa i

Lenina i przeorywa glebę obficie nażyźnioną tkankami mózgowymi pomordowanych ofiar. Z tego wschodzi nowy, młody plon o którym się mówi, że ma wnieść do Europy automatyzm myślenia dający podłoże dla dyktatury centralnej nie tylko nad ludzkim uczynkiem, lecz także nad ludzką myślą.

Ten plon już wschodzi, czemu świadczą ci, których losy, odwaga i determinacja wyrzuciły na brzegi zachodnie. Młodzież, otoczona barykadami cenzury, kontroli, podreżników szkolnych, nowym narybkiem nauczycielskim, staje się i stawać się będzie coraz bardziej elementem posłusznym, elementem z punktu widzenia koncepcji pożytecznym. Do tej młodzieży, dzisiaj dwudziestoletniej, dostępu nie będzie miał ojciec, ani brat, ani stary nauczyciel, gdyż w jej młodych rękach spoczywać będzie władza, w jej młodych umysłach dojrzewać będzie sen o podboju świata. Ta młodzież wyrośnie według innych pojęć, w oparciu o inną moralność. Owa koncepcja, narzucona przemocą ich ojcom, dla nich będzie miała smak powszedniego chleba, przy którym człowiek się rodzi i bez którego nie może żyć. Pojęcia — wolność, indywidualizm, religia, prawda — będą miały dla niej inny dźwięk aniżeli mają dla nas, aniżeli miały dla ich starszych braci. Indywidualizm, inicjatywa samodzielnego myślenia będą uważane za grzech śmiertelny, za który nigdy nie dostaje się rozgrzeszenia. Religia będzie, lecz nie boska, a ludzka. Prawdą stanie się zasada dnia narzucona z góry, a historią tekst orwellowskiej wizji z roku 1984-go. W tych ramach koncepcja, dzisiaj królująca w Polsce i innych okupowanych krajach, chce stworzyć społeczeństwo robotów, gromady reagujące na skinienie, ukaz, nakaz i rozkaz, ale nie reagujące same, wyprane ze zdolności decyzji, inicjatywy, wolnego bytowania.

Hitlerzyzm przyszedł do Polski jako siła jawnie wroga, wojskowa przemoc państwa wygrywającego wojnę. Był on zresztą pełnym nihilizmem, nieco tylko podłanym sosem niemieckiego nacjonalizmu. Stalinizm zjawił się jako siła wyzwoleńcza, wlokąc w ogonie za sobą armię polskich apostołów komunistycznej koncepcji. Zamiast wypędzać młodzież do lasów i wtykać jej w ręce karabiny, dał jej poczucie władzy i wyższości nad pokoleniem starszym. Zamiast z miejsca likwidować opozycję, czy jej cień, robił to stopniowo, powoli obficie korzystając z pomocy politycznych naiwniaków, karierowiczów, czy intrygantów. Idąc powoli, ale twardo po swojej linii, Stalinizm potrafił nie tylko nałożyć kaganiec krajowi, nie tylko zniszczyć ośrodki potencjalnego oporu, lecz także rozbił wolne ośrodki emigracyjne wygrywając przeciwko nim najpierw Anglię, potem Mikołajczyka, w międzyczasie używając do tego celu sloganu o alianckiej jedności, po to, by wreszcie znowu tymże samym Mikołajczykiem, wyrzuconym poza nawias pracy politycznej sterroryzowanego kraju, zamącić wody emigracyjnej polityki.

Po drugiej stronie barykady stoi zachód. W rowie, oddzielającym te dwie barykady, siedzimy my, emigranci polityczni.

Nasz rów jest no man's landem, tak samo jak my jesteśmy no country's property. Co któryś z nas stawia pierwsze przesła pod most, który by prowadził z zachodu na wschód, z Anglii do Polski, czy z Francji do Polski, czy nawet z tej Ameryki do Polski, to drugi chytrze, pospiesznie, patyki mu z ręki wytrąca, przesła niszczy i powiada, że trzeba je w innym miejscu stawić. Przy tej okazji jeden i drugi wzywa do pomocy wolę i opinię Kraju, Kraju przez duże "K", gwoli zaspokojenia własnej megalomanii. A mostu jak nie ma tak nie ma.

Panoszy się więc, buszuje i zbiera plony obfite owa koncepcja wychowująca, reformująca i przerabiająca umysły i strukturę ludzkiego myślenia na wschodzie, podczas gdy na zachodzie dzieją się rzeczy dziwne, dla współczesnego zgoła nie do pojęcia, może kiedyś dla historyka będące wytłumaczeniem upadku naszej cywilizacji i nawrotu do barbarzyństwa. Te rzeczy dziwne są też prawie nie do określenia, nie do opisanie, chyba, żeby wziąć ze słownictwa wojennego Wielkiej Brytanii zdanie "Business as usual" wywieszane następnego ranka po bombardowaniach na sklepach, z których pozostały tylko szkielety. Tylko, że tym razem wywieszka ta wisi na drzwiach sklepu świata zachodniego znacznie wcześniej, jeszcze zanim pierwsze bomby spadły. Zanim nawet pierwsze pociski zaświstały koło uszu. "Business as usual" jest dzisiaj odpowiedzią na ofensywę ideologiczną religii komunistycznej. Jest po prostu stwierdzeniem braku na nią skutecznej odpowiedzi.

Trzeba w tym momencie na chwilę zapomnieć o istnieniu krajów zachodnich poza Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej. Ani Anglia bowiem, ani tym bardziej Francja nie dierżą już w tej chwili pierwszych skrzypiec, są raczej basetłami, czy w najlepszym razie altami podgrywającymi akompaniament. Ameryka, w sto sześćdziesiątym roku swego istnienia jako niepodległe państwo, w osiemdziesiątym piątym roku od chwili zakończenia wojny domowej, w dobie rozkwitu techniki, łatwizny życia została nagle wezwana nie tylko do produkowania czołgów, nie tylko do wysyłania skrzynek Coca-Coli, nie tylko do pomocy materialnej, ale także i przede wszystkim do zrodzenia nowej koncepcji. Ten młodziutki kraj, zamieszkały przez młodziutki naród, przypomina jakże często świeżo upieczonego maturzystę, który dopiero przed chwilą dostał na papierku świadectwo dojrzałości i został posadzony za stołem konferencyjnym na równi z innymi, poważnymi członkami światowego aeropagu. Ba, żeby to na równi! Miejsce jego okazało się miejscem przewodniczącego, na którego wszystkie zwrócone są oczy.

Amerykanin jest zaskoczony, zgubiony i nie wie w jakim iść kierunku. Rozgląda się przeto wokoło, przede wszystkim wśród swoich własnych rodaków. Szuka pomocy, wskazania kierunku i rady. W tłumie wyborców pragnie znaleźć inteligentnych doradców. Znajduje ich. Jest ich wielu w przemyśle, jeszcze więcej w handlu, trochę na uniwersytetach. Tylko, że rada ich jest radą

amerykańską, na amerykańską modłę skrojoną, ani rusz nie pasującą na eksport. A tu przecież trzeba rady o skali światowej, rady która by faktycznie, a nie formalnie włożyła w ręce przewodniczącego jego wszechwładny młotek. Potrzeba rady na miarę staroego Clemenceau, dającej swoim i innym narodom wizję, ku której warto dążyć. Dotychczas tylko Bernard Baruch jest autorytetem, dotychczas jeszcze tylko ludzie interesu prowadzą politykę, dotychczas jeszcze Stany Zjednoczone nie zrodziły porywającego płomienia koncepcji, do której tęskni i o którą modli się świat.

Któż bowiem może tutaj, w tym kraju, dać radę której posłuchać potrafi z szacunkiem stary europejski polityk, który sam będąc czwartym, czy dziesiątym pokoleniem w swoim zawodzie, żeby na nim zjadł i wszystkie kruczki dyplomacji, gier i gierki posiadał we wczesnej młodości? Skąd ma wyjść ta nowa koncepcja, skąd ma zrodzić się ów płomień nowej idei, w imię której amerykańscy chłopcy gotowi będą pójść w pole i ginąć, nawet nie będąc bezpośrednio zaatakowani? Czy z szeregow miliońowych kupców wszelkiego autoramentu, którzy stali się symbolem amerykańskiego pejzażu? Czy spośród robotników, których warunki życia, poziom tego życia jest o trzy, cztery, piętnaście stopni wyższy, od tegoż samego poziomu ich braci europejskich i którzy zużywają wieczory i wolne soboty na planowanie jak jeszcze bardziej obciążyć godziny pracy, podnieść zarobek i mniej wkładać wysiłku w pracę, przy której i tak nie są już wykonawcami, lecz tylko nadzorcami maszyn? Czy wreszcie z kół wielkiego interesu, gdzie operuje się cyframi o nieskończonej ilości zer, kół porwanych razem z owymi kupcami i robotnikami, w tryby maszyny produkującej dolary, kupującej produkty, nabywane przez tychże robotników i tychże kupców, podciągających ciągle, bez przerwy do góry dźwignię ogólnego dobrobytu? Nie mają czasu na to! Gubią się w wierze, że Ameryka jest krajem najwspanialszym dlatego właśnie, że ma owe produkty, że murarz i szewc i śmieciarz w niedzielę jadą własnymi samochodami na plażę, że mają w domu lodówki, że jedzą wspaniale i że spędzają dzień, wieczór, rozrywkę w sposób jaki sami sobie wybiorą, że krytykują swój rząd, że mówią do prezydenta po imieniu i że każdy z nich teoretycznie biorąc ma równe szanse zostania nim kiedyś. Gubiąc się w tym, przysyłając sobie o czy tym przywiązaniem do dóbr materialnych zapominają o impoderabiliach. One zaś, z kolei zrodzić by mogły koncepcję. Nie widzi tego jednak przeciętny amerykański właściciel skleku w stanie Iowa. Nie widzi właściciel wielkiej farmy w Oklahomie. Nie dostrzega krawiec żydowski mający na Broadwayu sklep taki jak "Braci Jabłkowskich" w Warszawie. Jak może zauważyć? Jak może przejść świadomie koło innego, obcego sobie świata, skoro nigdy w nim nie był? Historia się powtarza: ci polscy chłopcy wychodowani na Marksie w interpretacji Berii także nic innego nie znają. I znowu, raz jeszcze, na podwójnej

ignorancji komunizm buduje swoje pomosty. Tam trwałe, betonowe, planowane, solidne, tutaj prowizoryczne, drewniane, potrzebne na to tylko by przerzucić po nich siły inwazyjne.

Byłoby błędem niewybaczalnym, gdyby na tym spokojnie zamknąć rozdział amerykański i powiedzieć sobie, że na skutek struktury społecznej, tradycji politycznej, braku historycznej ciągłości i napływu szerokich fal dołów europejskich, emigrujących za chlebem, Stany nie są i nie będą zdolne dać wizji jutra zagubionemu światu. Działają tu siły młode, sprężyste i wybuchowe, które nabrzmiewają pod powierzchnią zdawałoby się jednostajnego trybu istnienia. Literatura, sztuka, nauka wchodzą coraz bardziej w koleiny wyżłobione przez wieki europejskiej pracy. Rodzi się filozofia własnego chowu, dostosowana do warunków, mentalności i tempa życia. Coraz większy procent ludzi czyta, coraz bardziej rosną listy książek, pochłanianych przez wiele dziesiątków milionów ludzi. Na tych listach, u samej góry tkwi dzisiaj: książka Herseya o ghetcie warszawskim, tuż obok Welikowskiego "World in Collision", Gunthera "Roosevelt in Retrospect". Coraz bardziej rośnie liczba bibliotek, w których nieskończone rzesze młodzieży przygotowują się do swojej roli politycznej, gospodarczej, kulturalnej. Napływ europejskiej inteligencji przed, podczas i po drugiej wojnie światowej w minimalnym, ale jednak pewnym stopniu stapia mentalność kupiecką. Powoli w tyglu narodowościowym, stapia się powłoka barbarzyństwa wykwitłego na tle najbardziej nowoczesnej techniki, przyniesionej tutaj z Hiszpanii, Costa Rici, Polski, Francji i innych krajów europejskiej i poza-europejskiej biedoty.

Z tego tygla, z którego dzisiaj dobiega już swąd przetwarzanych w ogniu dyskusji i dysput myśli, zrodzić się może podstawa, na której stanie owa koncepcja. Będzie pozbawiona frazeologii europejskiej i cynizmu amerykańskiego kupca. Przystanie strzelać na ślepo ładunkami demokracji, wolności, sprawiedliwości, przestanie mówić o honorze, dobru ogólnym, równouprawnieniu ludzi. Koncepcja ta będzie tworem zrodzonym z twardej walki o byt, z chłopskiej filozofii zaaplikowanej w mieszczańskiej Ameryce, z nagłego zrozumienia, że danię światu materialnego dobrobytu nie wystarczy, że człowiekowi po to by żył, pracował i ginął potrzeba wewnętrznego płomienia, choćby ten płomień miał mu spalać tkanki. I powstanie owa koncepcja tak samo niespodziewanie, tak samo nagle jak powstawały wszystkie wielkie myśli, jak rodzili się geniusze. Amerykańska reformacja wskaże ludziom cel, dla którego nie tylko warto umierać, ale także warto i żyć. I tym najfocniej, najpewniej, najskuteczniej zabarykaduje drogę nawale komunistycznej.

O ile będzie czas. Bo nas już wtedy nie będzie na pewno. Zanim tygiel zapłonie płomieniem jasnym, pokolenie dzisiejszych emigrantów dawno już zaśnie snem wiecznym. Może tu, może w Kraju po zwycięskiej wojnie. Jeżeli jednak nawet owa wojna

przyjdzie i przejdzie, jeżeli rozpadnie się w proch cesarstwo stalinowskie, to dopóki zachód nie stworzy własnej, wielkiej, potężnej, magnetycznej idei dopóty nie zazna pokoju prawdziwego ani poczucia wykonanego zadania, spełnionej misji.

I tutaj, w tym właśnie momencie, wychyla się z owego rowu niczyjego, szansa politycznego emigranta. Siedząc w owych rowach emigrant widzi dobrze słabostki i zalety potężnych przeciwników, gdyż patrzy na nich od dołu, od podszewki, na swojej własnej skórze odczuwając niesprawiedliwości społeczne, różnice rasowe, religijne, narodowościowe. Zna ich też z lat dawnych, gdy Rosja przygotowywała się do skoku, a zachód do pełnej pracy pokojowej, produkcji domków, samochodów i maszynowych zmywaczek talerzy. Zna Sowiety od strony obozów pracy, Anglię od strony szkockiego wojska, Amerykę od strony ciemnych hal fabrycznych operowanych przez miejscowych obywateli co to z Europy jeszcze nie całe pokolenie temu wywieźli chciwość i prymitywny spryt małorolnego chłopka. Ma doświadczenie walk, politycznych waśni, więzień i rodzimych małych dyktaturek. Ma też za sobą ciężką, bolesną lekcję obu wojen światowych. Ściśnięty pomiędzy dwoma obozami, fizycznie bezsilny, może, jeżeli tylko zechce, odegrać rolę bezcennego doradcy: doradcy dla szukającego koncepcji Amerykanina, który chwilami zmęczony bywa starością i skostniałością pojęć z jakimi stale występuje Europa Zachodnia. Wschód europejski jest mu bliższy psychicznie. Jest dynamiczny i mimo wszystko młody, jakkolwiek jest to młodość sztucznie przywrócona okresami letargów wywołanych lokalnymi wojnami i okupacją. Dla szukającego odpowiedzi na doktrynę marksistowską Amerykanina, ten dynamizm w połączeniu z nabytym doświadczeniem, korzeniami historii i ciągłości kultury przedstawiać może wartość większą, aniżeli pełne, dojrzałe, lecz już wczorajsze koncepcje francuskie, angielskie czy holenderskie. Jedynym konkurentem mogłyby być Niemcy, ale Niemcy odrodzone. Ponieważ tego odrodzenia nie widać przeto jesteśmy chwilowo sami na placu. My emigranci, ludzie niczyli, skłócenii między sobą, uganijający się za ochłapami iluzorycznej władzy, nieistniejących tytułów i papierowych dekoracji zewnętrznej formy, a niedostrzegający wielkiej szansy po którą trzeba tylko sięgnąć.

Zdolność do tego ruchu jest dzisiaj znakiem zapytania. Bo wiem schwycenie szansy tego typu mogłoby mieć następstwa zbyt wielkie jak na małe, emigracyjne horyzonty. Przeszczepiona koncepcja, rzucona w świat, koncepcja przygotowania mózgami europejskiego wschodu, wykonana amerykańskimi rękami, mogłaby przecież dać światu oblicze, o jakim nikt z nas nie myślał. Oblicze nowej rzeczywistości, tej istotnej trzeciej siły, na którą czeka ludzkość. Ta trzecia siła to jest odpowiedź na dynamizm komunistyczny i luksusową nicość intelektualną zachodu w tworzeniu idei.

W tych warunkach, przy takim sformułowaniu, emigracja

wyrasta na przysłowiowy jęczyzek u wagi. Czy tak jest istotnie?

Nie ma na to pytanie odpowiedzi pełnej i zadawalniającej, podobnie jak nie ma dzisiaj odpowiedzi na pytanie czy, kiedy i kto wytworzy element trzeciej siły ideologicznej, dającej wizję jaśniejszego jutra człowiekowi niewoli. "Nam nie potrzeba polityków, nie potrzeba psychologów" powiedział mi niedawno młody Amerykanin pracujący w tym co się tutaj nazywa "psychological warfare" nam potrzeba proroków — tych ze Starego Testamentu, proroków biblijnych którzy potrafią stare koncepcje sformułować w sposób ludzki, zrozumiały dla jednostki, dla człowieka wszelkiego pokroju, kalibru i umysłowych zdolności". Zapewne ci prorocy mieliby przynieść wizję, której my nie mamy i której nie umiemy nawet namalować na płótnie, zwanej propagandą zachodniego świata.

Emigracja wtedy tylko stanie się tym do czego nagle ją doprowadziły wypadki, może wbrew niej samej, może pomimo jej stałych wysiłków w resztę szarego swego bytu w tej szarości spędzić, o ile potrafi najpierw w szeregach swoich zjednoczyć ludzi wokół idei. Z biegiem lat ludzie stali się wybredni, grymaśni, zepsuci. Nie wystarcza już sama niepodległość, do niej musi być dorobiona reforma socjalna, rolna, gospodarcza. Nie wystarcza już sama reforma, trzeba jeszcze pamiętać o legalizmie. Legalizm przestaje mieć sens, gdy rwą się nici, na których był on najpierw nanizany, potem zaplątany, w końcu zasupłany. Trzeba więc te nici z kolei rozplątywać. Rozplątanie daje pole do personalnych rozgrywek. Do tworzenia kół, kółek i podkółeczek, do wypłynięcia na szerokie wody politycznych mętów, intrygantów, zabiaków, warchołów, spadkobierców liberum veto, pustych głów i wielkich słów. Gdzieś z daleka, niczym zapomniana Karta Atlantycka przez churchillowską politykę Jałty, jeszcze tkwi owa niepodległość, owa podstawa, ów cel główny który wyciąga się z zakurzonego lamusa przy okazjach świąt narodowych, tudzież szacownych pogrzebów.

Czy ta idea się znajdzie? Szukajmy proroków. Na drodze tych, którzy ją chcą wykryć, wynaleźć, ubrać w te nowe formy dostępne dla przeciętnego śmiertelnika emigracyjnego, stoją liczne przeszkody. Coraz to częściej szeregi demokratycznych wodzów opuszcza ten i ów, by w aureoli megalomanii przejść do klubu dyktatorków własnego chowu. Zdarza się to byłym premierom, zdarza kandydatom na premierów przyszłych, zdarza się starym ludziom, którzy przeżyli swoje, zdarza się politycznym młokosom, dla których nagle krytyka staje się burszowska obrazą wołającą o krwawą pomstę. Każdy taki kandydat na führera zawała drogę tym poszukiwaczom emigracyjnego złota. I dzisiaj, w chwili kiedy jesteśmy potrzebni, kiedy zapomniał w krajach własnych, stajemy się nagle cennymi w obcych, kiedy nie tylko nasze ręce do pracy, ale i nasze mózgi i ich twórczość zaczęły być interesujące, w takiej właśnie chwili jesteśmy dalej zawieszani w próżni, nieświadomi nowej rzeczywistości

tości, łomocząc się bezskutecznie po tych oślizgłych ścianach którym na imię wielka polityka. Nie dlatego, że nie jesteśmy zdolni by stać się owymi prorokami, o których woła nasz amerykański przyjaciel. Jesteśmy po prostu bezsilni nie umiejętnością wydosztania się z domu z kart, który wybudowaliśmy sobie sami. Co nam grozi? Śmierć z pragnienia. Z pragnienia idei, bez której nie możemy istnieć. Pragnienia idei, której żąda od nas zachód.

Mój amerykański przyjaciel widzi odpowiedź na filozofię Stalina w czystym humanitaryzmie. Na wydzwignięciu z powrotem człowieka na podium świata. Ze wzruszeniem opowiada o tym jak lat temu piętnaście pisma podały w Stanach, że chłopiec, mający lat 5 i imię drogie każdemu, Bob, chorował na raka. Jak ze wszystkich stron świata płynęły do niego dary, słowa i błogosławieństwa, gdy prasa podała, że żyć będzie jeszcze tylko kilka miesięcy. Jak w październiku, w obawie by nie było za późno, rodzice chłopca urządzili mu choinkę, jak sfałszowali datę Bożego Narodzenia i jak w tym fałszerstwie partycypowało wiele setek tysięcy ludzi. Kliwłość? Nie, czysty humanitaryzm. W losie tego chłopca bowiem owe gromady ludzkie widziały nie-szczęście jednostki, człowieka. Gdyby prasa podała wówczas, że trzy miliony Chinczyków zginęło na skutek powodzi, odruch byłby intelektualny suchy, realny, banalny. Wracamy więc do naszej koncepcji...

Jaka ona jest — pytam już wyraźnie, niecierpliwie, natrętnie?

Odwraca ku mnie swą chudą twarz, w której tkwi para palących się oczu, bada mnie nimi przez chwilę, może szuka odpowiedzi, może raczej zastanawia się czy warto ją dawać, po czym jakby od niechcenia mówi w dal, jakby nie do mnie, jakby tym powiedzeniem chciał ominąć, ponad głowami przelecieć tych mieszkańców bezpańskiego rowu wykopanego pomiędzy dwoma światami.

Mówilem ci przecież: człowiek.

W New Yorku, sierpień 1950.

Zygmunt NAGÓRSKI, Jr.

Sprawy sowieckie

Korea

«Kampania koreańska» jako akcja wyjściowa... (sowieckiego) długodystansowego planu wojennego... jest doskonale pomysła- na zarówno pod względem wojskowym jak też i politycznym». Pisałem to w «Kulturze» dwa miesiące temu i dziś (w chwili gdy to piszę), gdy walki odbywają się już daleko na północ od równoleżnika 38 — czuję jeszcze słuszość tego twierdzenia.

Inne są bowiem miejsce i rola kampanii koreańskiej w generalnym układzie strategicznym sowieckim, inne zaś w układzie strategii amerykańskiej i strategii Narodów Zjednoczonych (jeżeli założymy, że taka istnieje). Zachód — chce uważać wojnę w Korei jako wojnę lokalną, wojnę samą w sobie. Nieszczęśliwe określenie Prezydenta Trumana — «wojna policyjna» — zatraciło w prawdzie w toku wydarzeń swój sens, ale psychiczne podejście Zachodu do tej wojny pozostało w gruncie rzeczy takie same jak było w końcu czerwca rb.: uważa się, że wojnę w Korei należy prowadzić tak, by była «nauczką» dla bolszewików, by odebrała im chęć do dalszych prowokacji. Sukcesy amerykańskie w Korei mają być piorunochronem, broniącym przeciwko dalszej agresji sowieckiej.

Inne, natomiast, jest podejście sowieckie do tej wojny. Dla Moskwy jest ona w rzeczy samej operacją lokalną w długodystansowym planie wojennym, jedną z licznych operacji przewidywanych czy nawet konkretnie już zamierzonych i przygotowanych na terenie Azji, Europy, Afryki a nawet obu Ameryk. A więc różnica kolosalna w podejściu i ocenie! Różnica ta wynika z zasadniczo odmiennego — na Zachodzie, i w Moskwie — podejścia do spraw wojny i pokoju. Zachód — a Stany Zjednoczone w szczególności — jest istotnie nastawiony na pokój. *Związek Sowiecki jest nastawiony na wojnę.* Zachód (nawet w ostatniej chwili, gdy będzie już czuł się całkowicie przygotowany i zdolny do prowadzenia wojny w skali uniwersalnej), gdy tylko przeciwnik ofiaruje mu byle jakie kompromisowe wa-

runki pokojowe — skorzysta z każdej sposobności, by przekreślić swe przygotowania i wrócić z powrotem do tego stanu «zimnej wojny», który skazuje całą ludzkość na trwanie w impasie gospodarczym i społecznym, w prostracji moralnej i ideowej, a który i tak, niczym innym jak wojną w skali uniwersalnej nie będzie mógł się zakończyć. Dla Związku Sowieckiego wojna jest nie tylko narzędziem pomagającym w rozgrywce ze światem kapitalistycznym, lecz *jest przede wszystkim koniecznością, wynikającą z całego wewnętrznego układu spraw w samym Związku Sowieckim, koniecznością — podyktowaną nadzrędną i bardzo często przechodzącą nad faktami doktryną stalinowską, koniecznością — wynikającą konsekwentnie z całej dotychczasowej zagranicznej i wewnętrznej polityki partii bolszewickiej.* Związek Sowiecki jest nastawiony na wojnę nie od 1948 r.; nie od Poczdamu, nie od 1941 r. czy nawet nie od pierwszej piątełki, lecz jest nastawiony na wojnę z «otoczeniem kapitalistycznym» od chwili «zwycięstwa rewolucji październikowej», tzn. od 1917 r. Wojna dla Związku Sowieckiego nie jest koniecznością koniunkturalną, lecz jest *koniecznością stałą, permanentną, wynikającą z istoty i charakteru bolszewizmu oraz stworzonego i kierowanego przez ten bolszewizm zmilitaryzowanego państwa.*

Dlatego też *wojna w Korei z punktu widzenia Moskwy jest wyłącznie operacją wstępną.* Rezultaty jej są oczywiście dla bolszewików niezmiernie ważne, ale w gruncie rzeczy, nie są one w stanie przesądzić dalszej generalnej linii polityki sowieckiej. Bez względu na to czy wojna ta zakończyłaby się amerykańską Dunkierką, czy też zakończy się — jak należy oczekiwać — całkowitym oczyszczeniem Korei od okupacji sowieckiej, dalszy agresywny plan Moskwy w stosunku do «otoczenia kapitalistycznego» pozostanie w zasadzie niezmienny. Zmianie ulec mogą tylko pewne przesunięcia w czasie, rozkład czy natężenie sił wywrotowych i dywersyjnych w poszczególnych punktach świata; mogą być wprowadzone pewne odchylenia w taktyce i metodach, — lecz sama istota planu generalnego zostanie utrzymana w całości. Wojna w Korei była dla Moskwy, poza wszystkim innym, doskonałą akcją rozpoznawczą i to akcją *rozpoznania głębokiego,* pozwalającego na skontrolowanie całego posiadanego o «kapitalizm» dorobku informacyjnego.

Jak to już pisałem, kampania koreańska była przez bolszewików doskonale pomyślana właśnie jako pierwszy akt zaczepny w stosunku do świata kapitalistycznego. Zachód, a w szczególności Stany Zjednoczone, w swej polityce azjatyckiej dopuściły się całego szeregu błędów, znaczenie i wagę których trudno jest już dzisiaj przecenić. Daj Boże, by niektóre z nich nie okazały się w dalszym rozwoju historii na kontynencie azjatyckim wręcz dla tego Zachodu katastrofalne. I z tego tytułu wybranie dla zapoczątkowania konfliktu właśnie Azji, właśnie Korei jako punktu węzłowego trzech «czołowych zagadnień azjatyckich»: chińskie-

go, mongolskiego i japońskiego, było (z punktu widzenia zarówno doktryny stalinowskiej, jak też i w warunkach sowieckiej wyjściowej sytuacji strategicznej), posunięciem bezbłędnym, bez względu na to, czy rozgrywka wojenna w tym miejscu ma się skończyć dla Sowietów porażką czy zwycięstwem. Podkreślam jeszcze raz z naciskiem tezę, że *«z reguły każda wojna w Azji będzie mobilizowała nastroje mas sowieckich i azjatyckich po stronie Moskwy, a każda w Europie będzie, w ostatecznym rezultacie, mobilizowała nastroje mas sowieckich po stronie Zachodu»* (z zastrzeżeniem, oczywiście, że nie zostaną w wojnie z Sowietami powtórzone błędy polityki hitlerowskiej).

W chwili obecnej Związek Sowiecki na skutek ogromnych dobrowolnych i wymuszonych ewolucyj i kompromisów wewnętrznych nie może liczyć na to, by był atrakcyjną bazą rewolucyjną nawet dla bardzo skomunizowanych mas zachodnich, natomiast tenże Związek Sowiecki jest — niestety, (w dużym stopniu z winy Zachodu) — w dalszym ciągu bazą rewolucyjną dla narodów azjatyckich. I błędne byłoby przekonanie, że sukcesy amerykańskie w Korei w poważnym stopniu pomniejszyły prestiż Związku Sowieckiego jako oparcia rewolucyjnego w oczach narodów azjatyckich. Możemy ryzykować twierdzenie, że jest właśnie odwrotnie. Kampania koreańska zarówno w swej pierwszej jak i drugiej fazie podnieciła rewolucyjność całego szeregu narodów azjatyckich, nie tylko zdynamizowała wojnę w Indochinach, nie tylko pogłębiła ruchy wywrotowe w Indiach, w Iranie i w państwach arabskich, lecz i stworzyła cały szereg nowych ośrodków zapalnych, których znaczenie może być dla przyszłego rozwoju wypadków w Azji doniosłe (jak np. Afganistan).

I dlatego byłoby rzeczą wysoce niebezpieczną dla całej ludzkości, gdyby pomyślny dla Zachodu obrót kampanii w Korei podziałał na «otoczenie kapitalistyczne» uspakajająco, gdyby pokojowe manewry sowieckie, nieodzownie towarzyszące każdemu sowieckiemu niepowodzeniu wojennemu, były potraktowane inaczej jak przejściowe manewry taktyczne, gdyby sukcesy te doprowadzić miały do «zawrotu głowy». Ogrom dotychczasowych przegranych Zachodu wobec Sowietów jest tak wielki, że nawet świetny, sam w sobie, pod względem wojskowym, sukces przeciwuderzenia amerykańskiego w Korei, nie jest w stanie zrównoważyć tych przegranych i strat.

Nie byłoby jednak obiektywne i słuszne, gdybyśmy — mówiąc o dotychczasowych rezultatach wojny w Korei — pominęli listę zysków Zachodu. Lista ta jest bardzo poważna. Najważniejszą pozycją jest wielki wstrząs opinii publicznej w samych Stanach Zjednoczonych i na terenie całego Zachodu. Należy przypuszczać, że pociągnięcia oficjalnej i nieoficjalnej polityki sowieckiej w najbliższym czasie będą skierowane właśnie na uspokojenie i rozładowanie tej opinii, ale trzeba wierzyć, że tym razem nie będzie to takie łatwe. Wojna w Korei usprawniła współ-

działanie Narodów Zjednoczonych, zwróciła uwagę Stanów Zjednoczonych w kierunku Europy, która nadal pozostaje bardzo mocną pozycją strategiczną sytuacji wyjściowej Zachodu w stosunku do bolszewizmu, wojna ta doprowadziła do rewizji dotychczasowej polityki wielkich mocarstw w stosunku do Niemiec i Japonii.

Najważniejsze jest jednak, moim zdaniem, stwierdzenie w Waszyngtonie, w Londynie i w Paryżu, że dotychczasowe oceny potencjału sowieckiego, przyjmowane przez wielkie mocarstwa, nie odpowiadają rzeczywistości. Pisałem już niejednokrotnie, że jednym z najbardziej niebezpiecznych elementów w przyszłej wojnie z Sowietami będzie fakt, że Związek Sowiecki staje się coraz większą niewiadomą i, że wojna ta będzie prowadzona przez Zachód przynajmniej w pierwszym stadium, całkowicie na ślepo. Zachodziło przeto niebezpieczeństwo, że z braku materiałów i danych do stworzenia realnego obrazu rzeczywistości sowieckiej Zachód zastąpi ten obraz ad hoc stworzoną wizją, w której pobożne życzenia zastąpią fakty, a niecierpliwść czy naiwność uzupełnią je fantazjami i wymysłami. Trzeba stwierdzić, że wiele czynników świadomych i nieświadomych (wina prawie wszystkich emigracji antysowieckich jest w tej dziedzinie olbrzymia), pracowały w tym właśnie kierunku. W historii świata nie było prawdopodobnie okresu podobnie rozwydrzonej i rozpasanej dezinformacji, inspiracji i fałszerstw, jak to widzimy obecnie. Podobnego niebezpieczeństwa oparcia się na fikcji nie uniknął Hitler, który całą kampanię sowiecką prowadził nie na podstawie analizy rzeczywistości sowieckiej (do której nb., zdaje się, miał dostateczną ilość elementów), lecz na sfabrykowanej odpowiednio wizji Wschodu. Takiego niebezpieczeństwa nie uniknęły również W. Brytania i Stany Zjednoczone w stosunku do tegoż samego Związku Sowieckiego jako alianta, gdy w latach wojny i w pierwszych latach powojennych, prowadziły z nim niebezpieczną i trudną politykę, nie mając należytego wyobrażenia ani o jego potencjale materialnym, ani o jego celach, metodach i możliwościach politycznych. Rezultaty są wiadome.

Tym razem, wydaje się, że powtórzenie się tego samego po raz trzeci, mimo usiłowań sowieckich, nie jest możliwe. Przynajmniej nie w tym stopniu. Tocząca się od dłuższego czasu na łamach prasy amerykańskiej, brytyjskiej i europejskiej dyskusja na temat potencjału sowieckiego, jest może pod wielu względami prymitywna i naiwna, lecz świadczy o intencjach zachodnich ośrodków politycznych przeanalizowania całego zagadnienia do gruntu i zdania sobie sprawy, przede wszystkim z braków i niewiadomych. Jest to zjawisko ogromnie pozytywne i jeżeli z jednej strony dyskusja ta utrzyma się nadal w tym samym duchu, a z drugiej — jeżeli zostaną od niej odsunięte wpływy i sugestie sowieckie, to może ona stać się poważnym narzędziem w rękach Zachodu.

Trzeba bowiem, by wojna w Korei była elementem rozpoznania nie tylko dla Związku Sowieckiego, trzeba by w równej, jeżeli nie w większej, mierze stała się ona elementem takiego rozpoznania również i dla Zachodu.

Niestety — rzecz najważniejsza — jak dotychczas wojna w Korei nie spowodowała zapoczątkowania zasadniczej rewizji celów politycznych i strategicznych Zachodu w stosunku do świata bolszewickiego. Dotychczas jeszcze cała polityka Zachodu wychodzi z założenia, że kompromis pomiędzy Zachodem a bolszewizmem jest możliwy, że możliwy jest podział świata pomiędzy demokracją a bolszewizmem, że można prowadzić na Zachodzie politykę «własną», pokojową przy jednoczesnym inderferentnym stosunku do spraw narodów ujarzmionych przez bolszewizm.

Takie założenie może jedynie zgotować dla Zachodu ostateczną klęskę a nie zwycięstwo, bez względu na to jakie sukcesy będą odnosiły Stany Zjednoczone czy Narody Zjednoczone w Korei, w Indochinach czy w innych punktach świata.

R. WRAGA.

OSTATNIE WIADOMOŚCI

jedynе pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec.
Ukazuje się trzy razy tygodniowo.
W każdą niedzielę dodatek.

Korespondenci: we Francji, W. Brytanii, Włoszech,
Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Wenezueli,
Argentynie, Australii i Nowej Zelandii.

OGłoszenia: 1 cm. 1 łam. — 4,20 DM (1 dol.). Za słowo
w ogł. drobnych 0,20 DM (5 ct. am.)

Redakcja, administracja, drukarnia:
17a, MANNHEIM-SANDHOFEN, 4094 LSCO Schönau
US Zone, Germany.

Sprawy i troski

Polonia francuska

Jak wygląda Polonia francuska, te zwarte osiedla górnicze w okolicach Lens, w departamencie Pas-de-Calais (o których przed blisko dwoma laty pisał w "Kulturze" tak interesująco Jerzy Lerski), w oczach człowieka, który niedawno jeszcze oglądał obozy polskie w Anglii, a przedtem — dawno już, bo 20 lat temu — ośrodki "polonijne" w Stanach Zjednoczonych? Jak wygląda francuski odcinek tej polskiej diaspory?

Przedtem dygresja. Sam jestem dzieckiem polskiej diaspory, ale dużo starszej. Nie było ani przed wojną, ani po wojnie społeczności polskiej równie bogatej, równie zasobnej w poważne kapitały co Polacy naddnieprzańskiej Ukrainy. Tam Polacy znajdowali się na szczycie drabiny socjalnej, oni nadawali ton życiu całego kraju, a ich mentalność, mentalność warstwy wyższej i panującej, miała pozostawić głębokie ślady zarówno w psychice polskiej, jak i w stosunku Rosjan do narodu polskiego. Owymi uprzywilejowanymi bogaczami w Rosji przedrewolucyjnej było nie tylko polskie ziemiaństwo kresowe — choć niewątpliwie ono stanowiło armaturę i szkielet całego polskiego społeczeństwa — ale również polscy "derobkiewicze" — adwokaci, lekarze, przemysłowcy i przede wszystkim inżynierowie i technicy, którzy opuszczali rodzinne Królestwo, by się na Ukrainie, na Kaukazie, nad Donem, na Uralu, w Petersburgu szybko dochrapać dużych pieniędzy, pozycji, znaczenia. Więcej fortun polskich powstało w Rosji (bez Królestwa i Litwy) w latach 1900 — 1914 niż w całej niepodległej Polsce. Te wielkie kapitały — w ziemi, w cukrowniach, w nieruchomościach, w zasobach pieniężnych i bankowych, w przemyśle, rzadziej w handlu, wreszcie w ustalonych, rentownych praktykach lekarskich, adwokackich i technicznych — reprezentowały sumę obliczaną przez Eugeniusza Romera i innych ekspertów na 15 miliardów rubli złotych, 75 miliardów polskich złotych z 1939 roku. Te pieniądze zapewniały nie tylko Polakom

na Ukrainie i w Rosji wyższy standard życia, niż jakikolwiek i kiedykolwiek znany wśród innych grup polskich, nie tylko pozwalały Polakom piastować prezesury Jockey-Clubu na Rivierze i brylować w Paryżu i w Rzymie — ale nadto sprawiły, że księgarnia Idzikowskiego w Kijowie była drugą co do wielkości i znaczenia księgarnią polską na świecie, ustępującą tylko Gebethnerowi i Wolffowi w Warszawie, że właśnie na tych dalekich rubieżach mogły się ukazywać pisma tak doskonale redagowane jak petersburski „Kraj” czy „Słowo” lub „Dziennik Kijowski”. Co więcej, to te kapitały z Rosji alimentowały i przemysł i bankowość Królestwa, nadto podtrzymywały teatr, literaturę, sztukę nie tylko w Warszawie, ale i w Krakowie i we Lwowie. Można by — i trzeba — cały na ten temat napisać artykuł. Ale na razie — to księga zamknięta. Czas wrócić do jedynej formy emigracji, którą dzisiaj znamy: do emigracji zarobkowej i w tej grubej księdze zajrzyjmy do jednego rozdziału: francuskiego.

Więc przede wszystkim: Polacy w Londynie i Polacy w obcościach czy na prowincji angielskiej nie różnią się wcale: i jedni i drudzy mają standard życia, poglądy, upodobania i zajęcia zasadniczo podobne. We Francji musimy rozróżniać Paryż — z jego politykującą inteligencją Polonią, liczebnie bardzo słabą, odciętą od masy — a prowincją, zwłaszcza zagłębiami węglowym w Północnej Francji.

Ta właśnie Polonia górnicza różni się zasadniczo od rodaków rozsiansych dzisiaj po drugiej stronie kanału. Choć liczebniejsza — jak zwykle nie mamy żadnych dokładnych statystyk (a zestawienia ludnościowe powinny być jedną z najpierwszych trosk naszych przywódców na emigracji) — rzuca się znacznie mniej w oczy, jest mniej dotykalnie widzialna niż w Anglii. Częściowo to przypisać należy, że mniej jest Polaków w Paryżu niż w Londynie, częściowo temu, że tutejsi Polacy są bardziej zasymilowani i wchłonięci w miejscowe społeczeństwo niż rodacy w Brytanii; już dwa razy zdarzyło mi się rozmawiać w Paryżu z ludźmi, których brałem za Francuzów, by później się dowiedzieć, że są oni pochodzenia czysto polskiego lecz od dziecka tutaj osiadłymi — zresztą po polsku obaj nie mówili ani słowa. Ale zdaje się nie ulegać wątpliwości, że Polaków we Francji jest dwa razy więcej niż w Anglii: 350 tysięcy tutaj, około 165 tys. tam.

Znacznie istotniejszą różnicą jest fakt, że Polonia tutejsza jest osiadła. W Anglii Polak jest dotąd przelotnym ptakiem, koczownikiem nawet gdy nie mieszka w obozie. Obozowicze są przrzucani ciągle z południa na północ, ze wschodu na zachód: ale i ci, którzy są sami panami swych losów, wiecznie się przenoszą z miejsca na miejsce w poszukiwaniu lepszej pracy, czy choćby tylko w zależności od łatwości znalezienia mieszkania. Ponadto w Anglii bodaj większość, w każdym razie połowę, stanowią samotni; a wiadomo, że kawaler czy panna, czy nawet

bezdzienna para rzadko kiedy zagrzeją miejsca, rozbiją na stałe namioty. W Anglii stałym tematem rozmyślań, narad rodzinnych, pogwarek przyjacielskich czy wreszcie starań na wszystkie strony i we wszystkich konsulatach, jest sprawa dalszej emigracji — do Stanów, do Kanady, do Afryki, do Argentyny, do Australii. Nie znam ani jednego Polaka w Anglii, który by z lubością oglądał choćby własny domek, kryty czerwoną dachówką, czy kwiatki za żywopłotem we własnym ogródku, mówiąc: oto mój kąt, mój kraj, moje miasteczko; tutaj ja zamknę moje oczy a potem moje dzieci tu osiadą, i tu moje wnuki wyrosną — tutaj zapijemy korzenie. Dla Polaków Anglia jest wciąż tylko „miejscem postoju”. Jak Bliski Wschód, Afryka, Italia. Oiseaux de passage! Przelotne czajki, które wypoczywają na chwilę na obcej i obojętnej kępie.

Jakże inaczej we Francji! Tutaj nie tylko każdy podkreśla że zamierza pozostać we Francji na zawsze, ale ma nadto patriotyzm lokalny, tak charakterystyczny dla wszystkich autochtonów. W autobusie paryskim Polak z St. Quentin wygaduje na Paryżan: oh la la, co za okropni ludzie, już wracam do mej prowincjonalnej dziury. W zagłębieniu górniczym ludzie dziwią się, że nie zdają sobie sprawę z różnicy między kolonią w Bruay a kolonią w Barlin, dwóch miasteczkach odległych od siebie o kilka km. Tam, panie, w Barlin — to inni ludzie, są tu dawniej — i więcej westfalczyków. A cóż dopiero za różnica z Vieux Condé, tuż na granicy belgijskiej: Tu, panie, pod Lens, naród spokojny, katolicki, tam wszystko socjaliści, nawet komunistów więcej. Dlaczego? Kiwają głowami. Tak jest i kwita. A może dlatego, że księdza tam nie ma... Tak zawsze ta sama historia. Jakież podobni jesteśmy do Irlandczyków, wśród których jest zawsze albo 5 księży i 7 zakonnic w rodzinie, albo też sami awanturnicy, obieżyświaty, przemytnicy, łapówkarze i właściciele podejrzanych szynków i spelunek.

Ta Polonia jest więc osiadła, bardziej nawet niż amerykańska, bo tam istnieje lojalność i afekt do Stanu — Pensylwanii, New Jersey, Massachusetts — a tutaj do miasteczka, do wioski. W odróżnieniu od angielskiej jest ona nadto głęboko, straszliwie prowincjonalna. Mało tu ludzi zna choćby Paryż, zagranicą z młodszych nie był prawie nikt. W Anglii, proste baby, łapciowe chłopcy z Polesia godzinami prawią jak to było w Bagdadzie i Teheranie, wspominają tygrysy w Indiach i krokodyle w Ugandzie, chwalą klimat w Egipcie, rugają od ostatnich słów Kozaków, Uzbeków i innych sowieciarzy wszelkiej maści, chwalą wino włoskie, mówią o Papieżu jako o dobrym znajomym, lekceważąco wymieniają niezliczone miasta w Niemczech, czy opisują zaburzenia w Salzburgu. Tu, w zagłębieniu Lens, nawet Lille jest daleko. Życie jest zamknięte w promieniu 50 km. Nawet Polacy z innych prowincji — St. Etienne, Alzacji, Lotaryngii są czymś dalekim i obcym. Podobno istnieją. Ale nikt ich nie widział. Nikt ich nie jest ciekaw. Z nimi — to jak z tymi za kanałem. Niech im Bóg błogosławi — i tyle.

Dalej, ta Polonia w zagłębiu jest skupiona, zwarta. Na milion ludności w zagłębiu jest 200 tysięcy Polaków, w wielu miasteczkach stanowią 30 czy 40% ludności. Nie to co w Anglii, gdzie nigdzie nie przekraczają jednego czy dwóch procent najwyższej, gdzie są kropłą w morzu. Podobne zjawiska spotkać można tylko w Stanach gdzie w zagłębiu górniczym w Pensylwanii — w Scranton, w Willkes — Barre, w Shenandoah — Polacy nieraz stanowią około połowy mieszkańców. Tylko tam było to dziwne zjawisko że nie było Amerykanów. Obok Polaków byli Ajrysze (Irlandczycy), Niemcy, Czesi, Słowacy, Żydzi: Amerykanów prawdziwych reprezentowali chyba murzyni. Język angielski był tam nie narzęciem miejscowym, ale międzynarodowym — rodzajem esperanta, wymawianego fatalnie, wybranego jako środek porozumiewania się tej wieży Babel. Tutaj obok Polaków są Francuzi. Sfrancuzienie z konieczności sięga dużo głębiej niż zamerykanizowanie.

Polonia w Anglii — to emigracja wojenna. To ex-żołnierze, ex-łagiernicy, ex-D.P-si, ex-lotnicy, ex-marynarze, ex-więźniowie, ex-A.K-owcy, ex-urzednicy, ex-oficerowie. To ciało bądź co bądź przesycone inteligentami, to ludzie, którzy nadal politykę mają we krwi i w kościach. To spece od problemów międzynarodowych: w każdym obozie znajdzie się dwudziestu "fachowców", którzy wiedzą jak rozbić Rosję, jak urządzić Niemcy, jak stworzyć Pan-Europę, gdzie wytyczyć granice — bah, którzy by mogli dać Mac Arthurowi zbawienne rady, jak poprowadzić kampanię na Korei. Wspomnienia wojenne wracają tam co dzień i we wszystkich możliwych formach. Tu — nie. Tutaj "starzy" dzielą się zasadniczo na dwie tylko grupy: ex-westfalczyków i zacnych poznaniaków, ślązaków, rzadziej pomorzan lub tubylców spod Sosnowca i Dąbrowy Górniczej. Pierwsi wspomną chętnie lata spędzone w Ruhrze — i rzecz ciekawa nie widać w ich stosunku do Niemiec i Niemców goryczy. Wolą Francuzów, ale z uznaniem będą mówić, że technika niemiecka była lepsza, narzędzia lepsze, lepsza organizacja pracy. Młodzi byli w czasie wojny dziećmi. Bo zasadniczo przeważają dwie grupy: 50-latków, co tu przybyli jako młode chłopaki i dziewczuchy za chlebem wkrótce po tamtej wojnie, i ich potomstwo, co teraz dorasta, i żeni się, i z kolei fabrykuje trzecie pokolenie. Ludzi od 30 do 40 jest względnie mało. O wojnie mówią rzadko, niechętnie. Niemcy dbali o wydobycie węgla, więc ich nie prześladowali. A bombardowań też nie było — bo kopalń i tak zdemolować nie można z powietrza. Chwilami odnosiłem wrażenie jak gdyby w tym zagłębiu nikt wojny nie pamiętał, jakby jej nie było.

Struktura ludnościowa jest zasadniczo różna w Polonii francuskiej i angielskiej — i być może jest to najbardziej ważki poszczególny czynnik, który te dwie wielkie nasze emigracje na Zachodzie Europy tak silnie indywidualizuje. W Anglii jest brak Polek. To emigracja męska, żołnierska. Stąd ta przewaga samotnych, wdowców, wreszcie siłą rzeczy separowanych. Stąd

Polka idzie na wagę złota — dlatego może jest tak często rozkapryszona, narzekająca, wiecznie niezadowolona; dlatego też tyle małżeństw z Angielkami, często mało fortunnych jeśli chodzi o prosty ludek (bo inaczej w inteligencji); stąd wreszcie ten nastrój ponurego przygnębienia, tak częsty w społeczeństwach, gdzie życie erotyczne układa się nienormalnie: a Polak, zwłaszcza prosty polak ze wsi jest stworzeniem rodzinnym, tęskni do swej baby, do żoniska, do dzieci; bez tego źle mu i ciężko na świecie. Wśród Polonii francuskiej nie ma nadmiaru kobiet, może nawet jest lekka przewaga mężczyzn, jak zwykle wśród emigracji, ale w każdym razie obie płci się mniej więcej równoważą, zwłaszcza wśród młodzieży: i stąd zabawy, życie towarzyskie inny przybierają obrót: chacun avec sa chacune, i dziewczyny są skromne, cichsze, bez pretensji, bez minasów królowych i bóstw, ale z francuska zalotne i miłe, wciągające że o chłopaka, narzeczonego czy męża dbać warto. Zresztą poziom moralny jest wysoki: jak już pisałem istnieje przepaść między kodeksem seksualnym naszej inteligencji, oplakany, rozwiązłym, rekordowo rozwodniczym, poligamicznym i coraz bardziej poliandrycznym a prostymi cnotami staropolskimi, które są nadal en honneur wśród dzieci naszego ludu.

Polacy są narodem "plastycznym": niezwykle szybko upodobniają się pod względem manier, zachowania się etc. do otoczenia, choć ich typ fizyczny pozostaje dziwnie trwały: zawsze te cofające się czoła, brachicefaliczne czaszki, krótkie szyje i nogi, krępe figury, zamyślane, często marzycielskie i ładne oczy, nieregularne rysy, za duże usta, słabe cery, płowe włosy, nieudane zęby, skłonność do garbienia się. Nawet w Anglii uderzające jest jak Polacy, pod wpływem otoczenia, zaczęli ciszej mówić, mniej wymachiwać rękami, jak się jak gdyby "stonowali" i szszarzel. W Ameryce ten sam proces: i Polak amerykański jest normalnie równie hałaśliwy i wulgarny, co jego współobywatele. Tutaj, we Francji, nasi rodacy zdumiewająco dużo nabyli francuskiej finezji, a nadto cech zewnętrznych francuskich. I tak w kościele w zagłębiu wszystkie starsze kobiety ubrane są na czarno, w czarnych kapeluszkach, płaszczach, sukniach, pończochach, bucikach, nawet rękawiczkach jak jest nadal przyjęte w staromodnej francuskiej prowincji — a jak nikt nigdy nie ubierał się w Polsce; gdy tymczasem w Anglii nasze rodaczki, pod wpływem angielskiej mody, coraz to robią z siebie różnokolorowe papugi — wszystko na czerwono, zielono, pomarańczowo, niebiesko etc. Jeszcze jaskrawiej występuje to prawo mimicy u młodych: uśmiech panienek — des petites mōmes — to 100-procentowa Francja. Nie mogłem się nie śmiać — i rozczulać — słuchając rozmów tej młodzieży: "mais qu'est-ce que tu racontes, przecież w zeszłą niedzielę nous n'étions pas au cinéma!" To tak przypominało, ten melanż polsko-francuski, te rozmowy w salonach starych hrabin w Warszawie czy Krakowie, z tą chyba różnicą, że tutaj akcent francuski jest lepszy a polski gorszy. Ale tutaj, to nie magnateria, ale rodzi-

ny górników. A jednak maniere są doskonałe. Podróżowałem po zagłębiu z Francuzem, który nie mógł się nadziwić. "Ce qu'ils sont bien élevés... dans un milieu ouvrier français vous ne verriez rien de pareil". Tak, to jest fakt zdumiewający, ale prawdziwy: polski chłop, polski robotnik ma doskonałe maniere, często nawet pewną grandezę, coś bez mała wielkopańskiego; źle wychowana jest pół-inteligencja, można znacznie częściej się skrecać, słuchając czy patrząc na ex-starostę czy ex-oficera, niż gawędząc z górnikiem lub jego rodziną.

Ci górnicy są znacznie zamożniejsi niż przypuszczałem. Tyle słyszałem o wyzysku robotnika we Francji że oczekiwałem Bóg wie jakiej nędzy: tymczasem zobaczyłem ludzi, którym się niewątpliwie lepiej powodzi niż proletariatu w Paryżu. Być może, górnicy są tylko uprzywilejowaną arystokracją robotniczą, ale im, w każdym razie, powodzi się również dobrze a może i lepiej niż ich polskim kolegom w Anglii. Oczywiście, dawniej są osiadli, mają więc większe oszczędności i zasoby. Jedzą i piją w każdym razie nierównie lepiej niż ich angielscy opposite numbers. Mieszkają lepiej, bo w domach, nawet często dość dużych — po 4 - 5 pokoi, za to oczywiście bez łazienek: bo z tymi łazienkami to w całej Francji prawdziwa katastrofa. Toteż dzieci są brudniejsze, mniej wypucowane i bledsze niż w Anglii, ale to znowuż odnosi się do całej Francji. Sportu używają mniej i znowuż to się odbija na całym aspekcie fizycznym. Ubrani są szykowniej — ale znowuż gatunek materiałów, butów itd. jest we Francji jaskrawo gorszy niż w Anglii. Podróżują znacznie mniej. Radia są również częste, za to do kina chyba chodzą znacznie rzadziej. Oczywiście są znacznie ubożsi od Polonii amerykańskiej. Ale od angielskiej — mówię o górnikach — chyba nie, chociaż mam wrażenie, że łatwiej w Anglii coś uciuć i odłożyć niż tutaj. I dorobić się chyba również łatwiej. Mimo wszystko, poziom ogólnej zamożności w Anglii jest nierównie wyższy niż we Francji.

Dla scharakteryzowania tej Polonii francuskiej warto również zauważyć, że przeważa wśród niej element z Westfalii, a następnie z b. zaboru pruskiego, gdy tymczasem w Anglii jest odwrotnie: tam większość stanowią kresowiaczy z Wileńszczyzny i Małopolski Wschodniej. I tu, i tam Warszawiaczy stanowią znikomą mniejszość. Stąd obraz tego wychodźstwa musi być zasadniczo różny od obrazu przedwojennej Polski, bo Polska 20-lecia — to była Warszawa i prawie wyłącznie Warszawa. Wszystko co nadawało ton, co tworzyło klimat socjalny, polityczny, obyczajowy — było stołeczne, warszawskie. Ciekawą można przeprowadzić analogię z Francuską Kanadą. Ci kanadyjczycy jakże się różnią od tego co uważamy za Francuzów: są pobożni, konserwatywni, powolni, cisi i skromni, o wielkich cnotach rodzinnych, mają b. dużo dzieci. Bo właśnie to nie paryżanie emigrowali do "Nowej Francji" — ale prowincjały — z Bretanii, z Langwedocji, z Wandei. Oni wynieśli tradycję nie Paryża, z jego szumem i pianą, ale cichej wioski, ale sennego miasteczka,

ale archaicznego, przedrewolucyjnego środowiska nadmorskiej, nadatlantyckiej, rybackiej i rolniczej Francji. Podobnie i naszej emigracji — brak poloru ale i blagi warszawskiej, brak jej warszawskiej pasji do polityki, wesołości, beztroski, lekkomyślności, słomianych entuzjasmów i szlachetnych zapałów. Skala jej wartości jest inna. Odbija się to również i na jej opiniach politycznych. Życie polityczne Polski przedwojennej — to były przeważnie nastroje inteligencji warszawskiej, warszawskiej kawiarni i stołecznych urzędników i oficerów. Lojalności, legendy, wspomnienia i linie podziału, głęboko wryte w pamięci warszawiaków, tutaj słabe lub zgoła odmienne wywołują echa.

Skoro już jesteśmy przy polityce, to trzeba przede wszystkim poświęcić uwagę problemowi, który wśród Polonii angielskiej nie istnieje, wśród Polonii amerykańskiej nie istnieje, wśród polskich D.P'ów w Niemczech nie istnieje, a istnieje we Francji: chodzi o polskich komunistów. Sądzę że nie ma ich w Polsce, nie ma ich na emigracji — poza płatnymi agentami — ale jedyny kraj gdzie istnieją naprawdę — to we Francji. Jaki stanowią procent całości? Słyszałem przeważnie wymienianą cyfrę 10% i sądzę, że odpowiada ona rzeczywistości. Słyszałem że w ciągu 2 ostatnich lat cyfra ta gwałtownie maleje, że nakład komunistycznej "Gazety Polskiej" poważnie spada. Ale jednak zastanawiający jest fakt, że właśnie tutaj, w tej słonecznej i pięknej Francji, są polscy komuniści, że stanowią jednak pewną siłę, którą trzeba brać pod uwagę przy odmalowaniu portretu tutejszego terenu.

Dlaczego tak jest? Przede wszystkim bo we Francji samej jest dużo komunistów, i oni nadal są najbardziej reprezentacyjną partią francuskiej klasy robotniczej, do której Polacy należą. Jest to więc naturalny skutek upodabniania się do otoczenia, prawo mimikry. Po drugie, Francja dotychczas nie rozwiązała problemu XX wieku, tj. problemu klasy robotniczej: kraj ma dalej strukturę XIX-wieczną — to jest jego urok, ale tu tkwi również źródło jego słabości. Zapewne, dobrobyt robotnika znakomicie się podniósł w ciągu ostatniego dwudziestolecia — jak i na całym świecie, ale jednak dziś jeszcze robotnik we Francji jest obywatel 2-giej klasy, upośledzonym w porównaniu z farmerem, inteligentem i urzędnikiem. A nasza emigracja jest emigracją robotniczą i poczucie klasowe musi na nią silnie oddziaływać.

Po trzecie, emigracja we Francji była i jest znacznie bliższa Polsce niż zamorska czy choćby angielska. Polska jest tu rzeczą bliską, kontakty nawet dzisiaj w epoce Żelaznej Kurtyny znacznie bliższe, i polscy bolszewicy wcale sprytnie te możliwości wykorzystali. Cóż, zdawałoby się, normalniejszego od wysyłania dzieci na kolonie letnie do Polski, młodzieży na zawody sportowe w Polsce, niż odwiedzanie krewnych, niż urządzania wycieczek do "starego kraju"? Reżim z tego wszystkiego zrobił narzędzia propagandy. Cóż w tym dziwnego czy niezwykłego, że Polska utrzymuje szkoły polskie dla diatwy polskiej we Francji? Dzi-

siaj reżim całą tę polską sieć szkolną zamienił w instrument propagandowy. I tak dalej. W rezultacie z grup obcонаrodowych po Hiszpanach i "białych" Rosjanach Polska liczy najwięcej komunistów.

Nie potrafiliśmy sami temu przeciwdziałać, bo jesteśmy skłóceni, zajęci rozgrywkami, które dla szarej masy tutejszej są zupełnie obce — i dopiero rząd francuski wydaleniemi i presją administracyjną te wpływy Warszawy ukrócił. Ale ta reakcja nie obyła się bez szkody dla polskośći. Nigdzie w tym stopniu co we Francji polskość nie jest równie utożsamiana z "Warszawą". Oddalanie się od Warszawy połączyło się z gwałtownym procesem naturalizacji, bojkot szkół komunistycznych z wyborem szkół francuskich, odżegnywanie się od czerwonych z francuzieniem i nawet wyrzekaniem się polskośći.

My w Anglii nie zdajemy sobie zupełnie sprawę z ogromu tego problemu, bo w Anglii on nie istnieje. Trzy czynniki mogą mu skutecznie przeciwdziałać, tzn. uratować i polskość i stworzyć mocny, trwały mur przekonania anty-warszawskich: musi nastąpić zgoda narodowa, i to w sensie znacznie szerszym niż ten termin jest pojmowany w Londynie, przy czym trzeba będzie przejść do porządku dziennego nad wielu rachunkami z przeszłości, jakkolwiek by były usprawiedliwione; trzeba wzmocnić i liczebność i poziom naszego duchowieństwa, które jednak jest wciąż czynnikiem "w terenie" mającym największe wpływy i możliwości, i trzeba wreszcie stworzyć porządne szkolnictwo polskie, finansowo od Warszawy niezależne, mniej więcej na wzór tego, które w Anglii utrzymuje Education Committee for Poles. Jeżeli te trzy warunki nie będą spełnione, walka o utrzymanie polskośći we Francji będzie przegrana. Jest przegrana.

Teraz sprawa drażliwa. Chodzi o tzw. wpływy Mikołajczyka we Francji. Oczywiście, że są one znacznie większe we Francji niż w Anglii. Ale jednak to nie Mikołajczyk jest tu potęgą, ale redaktor "Narodowca", p. Michał Kwiatkowski. Gdyby "Narodowiec" nie popierał Mikołajczyka, straciłby nie Kwiatkowski ale Mikołajczyk. Organ jest dużo potężniejszy od "wodza".

Sekret wydaje mi się prosty. Pan Kwiatkowski prowadzi swoje pismo doskonale. Pan Kwiatkowski siedzi w Lens — jest człowiekiem lokalnym, a na Polonię francuską z Paryża wpływać nie można. I wreszcie pan Kwiatkowski jest właśnie człowiekiem tego środowiska — zna je, rozumie je, jest z nim zżyty. Pozycję p. Kwiatkowskiego w okręgu Lens przyrównałbym do pozycji Witosa w Tarnowskim czy Korfanteo na Śląsku. Nie wierzę by kampanię z nim można było wygrać w ogóle, a już w szczególności uważam za utopię by można było ją wygrać z Paryża.

Na dalszą metę górnicy polscy we Francji potrzebują polskiego odpowiednika angielskiej Labour Party, to znaczy konserwatywnej partii robotniczej. To nie są wyznawcy teorii walki

klas, nie odniosłem wrażenia, by byli uczuciowo związani z inteligentnym "Czerwonym Sztandarem". Oni nie chcą nikogo sądzić, niczymi być sędziami, oni chcą dobrze płatnej pracy, pewności zatrudnienia, dobrej emerytury, taniej żywności, porządných mieszkań i szacunku dla swej pozycji w społeczeństwie. W niedzielę ci "robociarze" wkładają spodnie w paski i czarne marynarki, ich żony chcą wyglądać jak najbardziej burżuazyjnie na nabożeństwie w kościele. Nawet gdy chodzi o nacjonalizację, nie są bynajmniej jej zwolennikami. Przeciwnie, głośno mówią, że tęsknią za czasami "patronów". Proszę pana, mówiło mi kilku z nich, oczywiście i patron mógł sprowadzić policję i wojsko, ale musiał się porządnie napocić, nabiegać; teraz przy nacjonalizacji wystarczy jeden telefon od jednego ministra do drugiego i wojsko już jest w ciągu pół godziny. Trudniej robotnikowi walczyć z rządem jak z patronem. Dalej, kopalnie prywatne wolały jednak Polaków od niespokojnych Francuzów — dlatego też utrzymywały polskie szkoły i polskie duchowieństwo. Dzisiaj rząd to wszystko skasował. Górnicy to odczuli jako ciężki cios dla ich stanu posiadania.

I wreszcie, i najważniejsze. Nacjonalizacja przyniosła zwiększenie etatów urzędniczych, administracyjnych i technicznych. Górnicy mówią: gdzie było dawniej 3 "comptabli" (buchalterów) jest obecnie 12, gdzie był jeden inżynier, teraz jest 3. Kto musi na nich zarobić, kto ich utrzymuje? Tylko górnik, bez niego nie by nie mieli do roboty, byłby niepotrzebni. Gdy personel administracyjny wzrasta, dla górnika mniej zostaje. Łatwiej było utrzymać jednego patrona, niż dzisiaj tę chmarę urzędniczą.

To jest wielki ogólno-światowy problem. Stara formułka walki klas — kapitał versus klasa robotnicza — jest przebrzmiała, bo kapitał już tę walkę przegrał z kretelem. Powstały dwie nowe: walka miasta ze wsią, którą wieś wszędzie przegrywa, najbardziej zresztą w krajach komunistycznych, i walka pracownika z biurokracją, inteligencją, urzędnikiem. Tę walkę świat pracy przegrywa im bardziej rządy są lewicowe, im bliższe komunizmu. Ta walka leży u podłoża wszystkich przewrotów i systemów naszego burzliwego wieku. Na razie wygrywa inteligencja — czy to w formie faszyzmu, czy komunizmu, czy dirigizmu, czy etatyizmu — wszędzie powstają warstwy uprzywilejowane z takiego czy innego tytułu, dyrygujące olbrzymią machiną administracyjną w interesie klasy urzędniczej, rekrutowanej z inteligencji, tzn. ludzi mających dyplom, względnie pół lub ćwierć dyplomu. Klasa robotnicza się przeciw temu burzy, przeważnie bezskutecznie. Jedyny kraj gdzie ta machina pracuje rzeczywiście w interesie robotnika, a nie biurokracji — to dzisiejsza Anglia. I dlatego wydaje mi się, że to czego potrzebuje polska emigracja, Polska a zresztą i cała kontynentalna Europa — to powstania katolickich, narodowych, konserwatywnych partii robotniczych.

Kronika emigracyjna

Niemcy

Dwie organizacje

Niestety, rozdzielenie wśród uchodźstwa polskiego w Niemczech trwa i zostało ujawnione przez powołanie do życia "Zrzeszenia Polaków w Bawarii", opartego o ten sam statut, co "Fundusz Polski" w strefie brytyjskiej. Podstawowa różnica między tymi organizacjami a dawnym "Zjednoczeniem" polega na tym, że są one oparte na zasadzie członkostwa indywidualnego, a Zjednoczenie było związkiem zrzeszeń i organizacji społecznych.

Fundusz Polski

Fundusz Polski powstał na terenie strefy brytyjskiej, w chwili kiedy wiadomo było, że będzie prowadzona akcja Skarbu Narodowego, ale akcja ta jeszcze nie była rozpoczęta. Został on powołany do życia przez obecną opozycję i miał w przeciwieństwie do Skarbu Narodowego cele tylko lokalno-niemieckie. Daje mu to możliwość elastyczniejszej gospodarki i przystosowania się do potrzeb lokalnych. Sumy, zbierane przez Fundusz Polski, były niewielkie i wynosiły do początku września, czyli w ciągu pierwszych 6 miesięcy działalności 8.000 DM, to jest tyle, ile wynoszą miesięczne wpływy Skarbu Narodowego. Zresztą przeznaczenie tego funduszu jest inne. Pierwszy zjazd delegatów uchwalili przeznaczyć 40% wpływów na zapomogi indywidualne, drugie 20% na pożyczki indywidualne, 10% na pomoc akademicką, 15% na "wydatki kancelaryjne i interwencje", 5% na "zasilenie akcji kulturalno-oświatowej w terenie" i 10% na fundusz zapasowy, rozdzielany znów na "pożyczki dla kończących studia i na zakładanie warsztatów pracy".

Krótko mówiąc, 70% wpływów idzie na zapomogi i pożyczki indywidualne. Praktycznie trudno zrozumieć, jakie znaczenie może mieć akcja filantropijna "Funduszu" w rozmiarach 8.000 DM półrocznie, skoro wiadomo, że takie instytucje filantropijne, jak Rada Polonii Amerykańskiej, NCWC, Caritas i Towarzystwo Pomocy Polakom dysponują na te cele sumami wielokrotnie większymi, podczas gdy inne zagadnienia leżą odłogiem. Dziwne wrażenie robi np. przyznawanie na pół roku 160.— DM na pożyczki dla kończących studia i 640.— DM na pożyczki dla zakładających nowe warsztaty pracy.

Wobec nikłych materialnie wyników akcji trudno przypuszczać, by celem jej było gromadzenie funduszy na cele polskie, zwłaszcza że organizatorzy "Funduszu" dysponują znacznie większymi środ-

kami z innych źródeł, które między innymi służą do pokrywania kosztów organizacji samego "Funduszu". Celem "Funduszu" jest więc w gruncie rzeczy tworzenie nowej organizacji. Są i tacy, którzy twierdzą, że cele "Funduszu" są raczej negatywne.

Skarb Narodowy

Skarb Narodowy ma wpływ miesięczny równy wpływom półrocznym Funduszu Polskiego. Nie zajmuje się on udzielaniem pożyczek i zapomóg indywidualnych. Celem jego jest rozwiązywanie tych zagadnień, których nie mogą rozwiązać organizacje filantropijne. Ustalenie planu takiej działalności na terenie Niemiec jest bardzo trudne z powodu zmienności warunków i systemu uchwalania budżetów. Brak reprezentacji wyborczej daje się wyraźnie odczuć, ale to już jest zagadnienie odrębne! Poza tym stosunki w Niemczech są tak płynne, że to, co było celowe i potrzebne dziś, będzie niepotrzebne jutro, a jutro to może przynieść konieczności natychmiastowej akcji w tej czy innej dziedzinie. Wiadomo tymczasem, że aparat uchwalania budżetu pracuje wolno i bez znajomości terenu niemieckiego.

Powstaje zatem sytuacja, w której będzie potrzebne istnienie organizacji przynajmniej opinującej potrzeby terenu niemieckiego wobec władz rządowych, skoro wiadomo, że organizacja "Funduszu Polskiego" wzgl. zaprzyjaźniona z nim "Związku Polaków w Bawarii" z władzami państwowymi nie będzie chciała współpracować. Można już z góry przewidzieć, że Polacy w Niemczech będą mieli dwie konkurencyjne organizacje, choć jest rzeczą jasną, że mieliby tylko jedną, gdyby w Londynie doszło do utworzenia "wielkiej koalicji". Tak więc, choć i środków i ludzi nie starczyłoby na jedną organizację polską — powstaną dwie konkurencyjne.

Stara emigracja

Organizatorzy Funduszu Polskiego (czyli krótko mówiąc SN) mają jedną trafną koncepcję: połączenia się organizacyjnego z tymi starymi emigrantami, którzy nie ulegają wpływom warszawskim. Jednak wysiłki ich zwolenników wśród starej emigracji doznały niepowodzenia. Prezes Związku Polaków w Niemczech, Wesołowski, został obalony przez zwolenników Warszawy, a bojówka napadła na drukarnię piśmiennika "Naród" w Herne, które miało być pomostem między starą a nową emigracją (słyszałem, że wyrządzone szkody są nie-wielkie).

Trzeba przyznać, że władze warszawskie miały bardzo ułatwione zadanie, jeśli idzie o Westfalaków. Byli od czasu wyzwolenia gruntownie zrazeni do Amerykanów, którzy nie chcieli w nich widzieć Polaków (german nationality!) i traktowali ich jak Niemców, a później sprzeciwiali się powrotowi do kraju. Ze względu na to, że repatriację Westfalaków uważano w kołach polskich za pożądaną (jak mi się wydaje słusznie) trudno było przeciwdziałać ich kontaktom z Warszawą.

... i ta sama historia z nową ...

Obecnie mocarstwa nie tyle "okupacyjne", co "chroniące Niemcy" uważają, że z chwilą zakończenia akcji emigracyjnej IRO nie będzie żadnych problemów DP, bo przecież będą oni włączeni do gospodarki niemieckiej, dostaną prywatne mieszkania, a nawet będą mogli się ubiegać o obywatelstwo niemieckie. Jeden z wysokich urzędników IRO oświadczył to przedstawicielom organizacji dipisowskich i był zupełnie szczerze zdumiony, gdy nie byli oni takimi perspektywami zachwyceni. W rzeczywistości jest zupełnie inaczej niż to sobie IRO wyobraża. Przeniesienie dipisów na gospodarkę niemiecką stwarza dopiero naprawdę trudne problemy.

Okupanci zdają sobie sprawę z tego, że problem dipisowski sta-

nowi obciążanie ich stosunków z Niemcami i właśnie dlatego dążą do jego zlikwidowania przez pełną asymilację. W jednej z miejscowości Wirtembergii przy zarządzonym zamknięciu szkoły polskiej Schulrat (radca szkolny, odpowiednik naszych inspektorów) spotkał się, jak wszędzie zresztą, z oporem. Udał się więc do miejscowego "resident officera" amerykańskiego, pytając co ma począć. Ten ostatni bardzo był oburzony zachowaniem się ludności polskiej i polecił natychmiast szkołę polską zamknąć. Jak z tego wynika, życie stwarza sytuacje, jakich sobie człowiek nigdy nie mógł wyobrazić, ani za czasów konspiracji w kraju, ani w chwili wyzwolenia... Na dobitkę wszystkiego ów resident officer nazywa się... Siemaszko (Semashko)!

Fakt, że los kilkudziesięciu tysięcy dipisów, jacy zostaną w Niemczech, będzie miał nieproporcjonalnie wielkie reperkusje polityczne nie tylko w Niemczech, ale także za żelazną kurtyną nie doszedł jeszcze do świadomości ludzi, którzy się zajmują tym zagadnieniem.

Co myślą Niemcy?

Nie wszyscy Niemcy są znowuż na tyle bezmyślni, by stosować się do instrukcji amerykańskich. Czegoś się jednak w polityce nauczyli i w niektórych krajach niemieckich zalecenia zamykania szkół polskich zostały zignorowane. Może to mieć nawet szlachetne motywy, ale przede wszystkim jest wynikiem przemyślenia sytuacji i patrzenia się nieco dalej w przyszłość. Nikt przecież nie może przypuszczać, by Niemcy zrezygnowali z planów przewodnictwa w Europie Środkowej — tylko oczywiście będą je realizować całkiem innymi metodami, czysto pokojowej ekspansji kulturalnej i gospodarczej. Z tego punktu widzenia nie ma absolutnie żadnego sensu zamykanie kilkudziesięciu szkółek dipisowskich i obciążania w ten sposób na nowo hipoteki niemieckiej. O wiele mądrzej jest stworzyć atmosferę poprawnego tolerowania, a nawet popierania wysiłków kulturalnych emigracji politycznych i w ten sposób stosunkowo tanim kosztem ukuć sobie kapitał zaufania na przyszłość. Czasem można już teraz politycznie coś zarobić na dipisach, jak o tym świadczy umowa z Prchala, przygotowana przez tutejszych Czechów.

Faktem jest, że w Bawarii i Nadrenii stosunek władz niemieckich do dipisów jest poprawny, a najgorszy w Wirtembergii.

Rozpraszenie obozów

Nową zmianę w położeniu dipisów przyniosły plany wzmocnienia garnizonów alianckich w Niemczech. Koszary są potrzebne i mają być masowo opróżniane jeszcze przed końcem roku. (Nawiasem mówiąc, nie ma prawie dipisa, który by w tym roku nie zmieniał przynajmniej miejsca zamieszkania trzy do czterech razy!) Władze okupacyjne chciały, by dipisi zostali rozproszeni, ale napotkało to na opór niemiecki ("Nie można od nas wymagać byśmy dawali mieszkania dipisom, kiedy nasi wysiedleńcy mieszkają w barakach"). Zdecydowano się na baraki, które są pospiesznie budowane. Wyraźne podkreślenie, że dipisi mają mieszkać gorzej niż tubylcy przypomina trochę niedawną przeszłość.

Kto winien?

Błędem byłoby przypisywanie całej winy za ten stan rzeczy Niemcom. Winne są różne czynniki. Niemcy zauważyli już od dawna, że stosunek przeciętnego "irowca" do dipisów jest raczej pogardliwy. Wynika to stąd, że — parafrazując spostrzeżenie Czapskiego — w niektórych krajach zbyt lekko stawia się znak równania między niepowodzeniem a nlecnotą.

Winni jesteśmy oczywiście i my sami. I ci ludzie prości, którzy w obozach wywołują awantury pijackie, zmuszające niemiecką policję do ciągłych interwencji, i ci działacze, którzy nie potrafią doprowadzić do jakiejś sensownej koordynacji wysiłków organizacyjnych.

J. B.

Książki

Z ziemi nieludzkiej — relacje obcych i swoich

1

Gdy, w lutym 1949 r., w Radzie Ekonomicznej i Społecznej O. N. Z. p. Suchy-Katz protestował przeciwko zamierzonemu wydanii «wyroku skazującego» na wielkie mocarstwo na podstawie «ogólnych i męnych» zeznań «trzech przestępców» (Ob. Kultura Nr. 4/30, str. 45), jednym z trzech był Dr Juliusz Margolin.

Syn lekarza, urodzony gdzieś na przełomie XIX i XX w. w granicach *czerty osiedłości* b. cesarstwa rosyjskiego, należał do pokolenia inteligencji żydowskiej, która za młodu przyswoiła sobie kulturę rosyjską. Wypadki historyczne — objęcie przez Państwo Polskie części ziem dawnej Rzplitej — uczyniły go obcym w państwie, którego stał się obywatelem. Po wyższe wykształcenie udał się na zachód — do Berlina, nie wybrał jednak zawodu o użyteczności praktycznej. Jako doktor filozofii, został pisarzem, dziennikarzem, działaczem politycznym i społecznym.

Czuł się «europejczykiem», przedstawicielem postępowej i radykalnej inteligencji europejskiej. Czytywał rosyjską prasę emigracyjną, «błogosławiąc los», iż go uczynił wolnym od «partykularyzmu i drobnych pretensji», że «może ustosunkowywać się do sowieckiej rzeczywistości z należyтым obiektywizmem». Ostre antysowieckie wystąpienia, jako «reakcyjne», wywoływały w nim odruch wstrętu. Sądził, że «wszyscy możemy nauczyć się od Związku Sowieckiego wielu ważnych i potrzebnych nam rzeczy. Na przykład, rozwiązania sprawy narodowościowej. Na przykład, planowania gospodarczego. Na przykład, nowego oblicza kobiety». (Z listu otwartego w sprawie Bergera).

Z Łodzi, gdzie mieszkał na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych i gdzie wówczas «10-15% młodzieży żydowskiej było skomunizowane... «na ulicach sprzedawano «broшуry» Radka i

Materializm Historyczny Bucharina», zaś w styczniu, w rocznicę śmierci «3 L» (Lenin, Liebknecht, Luxemburg), pojawiały się na ulicach czerwone transparenty i «młodzi żydzi tłukli szyby w izraelskich sklepach na Piotrkowskiej», wybierał się z wycieczką *Inturista* do ZSSR. Nie zrealizował tych planów, natomiast społem z innymi «lewicowymi intelektualistami» zachwycał się poezjami Broniewskiego o Magnitogorsku i burzliwie oklaskiwał *Grenadę* Swietłowa w «małych teatrzykach warszawskich». Pomimo to, czując się źle, już nie tylko w «faszystowskiej» po-majowej Polsce, ale i w całej Europie lat trzydziestych, zdecydował ją opuścić i, jako działacz i pisarz syjonistyczny, w 1936 r. wyemigrował z całą rodziną do Palestyny.

Odtań «łączył go z Polską tylko paszport» oraz — jak dodaje w książce wydanej w 1949 r.*)... «sentymentalizm polskiego Izraelity». Do genezy tego niespodziewanego i nie bardzo pasującego do ogólnej sylwetki intelektualnej autora «sentymentu» jeszcze wrócimy.

Konieczność odnowienia paszportu, czy też jakieś inne sprawy natury prywatnej czy publicznej spowodowały, że wrzesień 1939 r. zastał p. Margolina w Łodzi. Odmiennie od większości Żydów polskich nie wpadł on w obliczu ofensywy hitleryzmu w panikę: miał swój «dom», gdzie mógł się schronić przed nawałnicą, i gdzie oczekiwała nań rodzina. Wyprzedzając ogólną falę uchodźców, podążył «Buick'iem» ku Zaleszczykom, poprzez Warszawę, Siedlce, Kowel, Łuck, Równe, Tarnopol. Początkowo nie bardzo się spieszył, dopiero 17-go rano w popłochu opuścił Czortków, mając benzyny ledwo do granicy rumuńskiej. Tam, w niesłychanym tłoku i zamieszaniu, nie obeszło się bez «oficera polskiego», który «pomagał oficerowi rumuńskiemu tropić i usuwać Żydów». W rezultacie Rumuni nie tylko nie puścili Margolina przez granicę, lecz w dodatku zatrzymali samochód, «aby się nie dostał bolszewikom». Pozwolili natomiast zabrać walizki. Dźwigając je, autor zawrócił piechotą do śniatynia, gdzie zastał idyllę:

«Na wypełnionym ludźmi rynku oficerowie, pochłonięci sprawunkami (relacja złoty-rubel), byli niesłychanie grzeczni. Ludność zorganizowała manifestację na spotkanie Armii Czerwonej. W udekorowanym mieście 700 osób defilowało przed Komendanturą z czerwonymi sztandarami i okrzykami: «Wiwat, Ura!». Większość stanowili Izraelici. Kilku Ukraińców poszło ich śladem. Polaków nie było zupełnie».

Podkreślając, że ilość Żydów w Śniatyniu dochodziła do 5.000, autor ubolewa, że Polacy, nie chcieli widzieć tysięcy, które w manifestacji nie brały udziału, i nazywali ją «żydowską». W Komendanturze *fanfaron et moustachu* przedstawiciel nowej władzy ustosunkował się wyraźnie negatywnie do zaopatrzonego w liczne wizy polskiego paszportu zagranicznego i, pomimo *bon russe* Margolina, kategorycznie odmówił wypuszczenia go przez granicę. Natomiast wy-

*) MARGOLIN Juliusz, *La condition inhumaine*, Paryż, Calmann Lévy. Str. 452.

dał mu bezpłatny bilet do Lwowa. Tam również słowa «Palestyna, certyfikat, wiza», jak również wystawione w języku polskim dokumenty, nie były zrozumiałe dla «nowej władzy».

W ciągu szeregu miesięcy dr Margolin nie rezygnował z prób wydobycia się do «domu» z terenów «wyzwolonych». Rzucił się po nich, jak w klatce, w różne strony. Próbował na południu i na północy, legalnie i nielegalnie. Myślał nawet, jak to uczynili niektórzy z jego przyjaciół, o udaniu się na zachód, pod okupację hitlerowską. Stykał się z wielu ludźmi, widział wiele rzeczy.

«Super-potiomkinowski» Lwów w okresie 1 maja 1940 r.: takiego bogactwa i luksusu «nie widziano tam nigdy za czasów polskich».

Ostatnią lekcję w hebrajskim gimnazjum *Tarbutu* w Pińsku: za czasów polskich była to «duma miasta», «twierdza syjonizmu, centrum wychowania izraelskiego, pod stałą i pełną miłości opieką pińskiej gminy żydowskiej».

Rozgrom biblioteki seminarium katolickiego w Pińsku, przedmiotu wieloletniej pracy i opieki «uczonego bibliotekarza, pralata Kantaka, historyka kościoła, filologa i humanisty»:

«Klucz zazgrzytał w zamku i oczom moim ukazał się nieprawdopodobny obraz: w sklepionej sali książki były zwalone na kupę, jak siano w stodole, aż do sufitu. Porwane oprawy, pożółkłe strony, pożarte przez myszy grzbiety, pył wieków, pohańbiony cmentarz kultury. Szliśmy po książkach, za każdym krokiem podnosząc chmurę kurzu. Pochyliłem się i wyciągnąłem spod obcasa wytłaczany na wpół wyblakłym złotem tom datowany 1687. ...Z bicia serca odkryłem prawdziwe skarby: inkunabuły. Trzymałem w rękach grube in folio, drukowane w dwóch kolumnach, z czerwono iluminowanymi inicjałami, w drewnianej pokrytej na wpół zgnitym pergaminem oprawie z metalowym zamknięciem. Był to mszał, łańciski Missale, datowany 1493, pokryty napisami i dedykacjami...».

Pokaźnych rozmiarów *index sowiecki* i instrukcję niszczenia umieszczonych na nim książek:

«Książki winny być palone lub rwane. W tym ostatnim wypadku każda strona winna być porwana w taki sposób, by nie mogła być w całości przeczytana».

Rozmawiał z poetami tworzącymi «na rozkaz», na «obstalunek społeczny».

«Nigdy w życiu nie byłem w sytuacji takiego poniżenia i śmieszności... co dzień mamy zebranie albo wiec. Siedzę w pierwszym rzędzie: patrz na mnie. Przysłuchuję się propagandzie, bzdurom, kłamstwom. Z chwila, gdy się wymienia imię Stalina, mój szef zaczyna klaskać i cała sala robi to samo. I ja także, składam dłoń i klaszczę, jak marionetka. Ja nie chcę tłumaczyć Majakowskiego, lecz jestem obowiązany to robić. Ja nie chcę oklaskiwać, lecz muszę. Ja nie chcę, by Lwów stał się sowiecki, lecz, sto razy dziennie, mówię co innego. Przez całe życie byłem sobą i uczciwym człowiekiem. Obecnie grywam komedię, i jestem podlecem! I wśród tych ludzi, którzy mnie zmuszają do kłamstwa, staję się zbrodniarzem. Wcześniej czy później, ja się zdradzę. Zgadzasz się ze mną, że nie powinienem prowadzić takiego życia? Dopóki jest jeszcze czas, trzeba uciekać!».

— Uciekać, lecz dokąd? Wracać pod Niemca?

— Wolę niemieckie ghetto, niż urząd sowiecki.
 — Pomyśl co mówisz! Tyś ich widział, znasz Niemców.
 — Znam obie strony. U Niemców jest się zagrożonym przez śmierć fizyczną; tu jest śmierć ducha! U Niemców nie trzeba kłamać i ukrywać swych myśli...”.

I ranny pod Radzyminem *Skamandryta*, «Europejczyk i patriota polski», którego «wiersze figurowały we wszystkich wy-pisach polskich» Mieczysław Braun, odepchnięty przez społeczeństwo polskie ku syjonizmowi, opuścił «ciepłą» «posadę» we Lwowie, gdzie mu groziła «śmierć ducha», i wrócił do Warszawy. Stamtąd w kwietniu 1940 r. pisał, iż jest «szczęśliwy, nie-wypowiedzianie szczęśliwy». Tam też zastała go śmierć fizyczna.

W Białymstoku rozmawiał ze swoją kuzynką, która za czasów polskich, — sympatyczna młoda dziewczyna, «brzydkie kacząt-ko», — ku zdumieniu całej rodziny, ujawniła się jako bojowa *komsomotka* i za demonstacje na sali sądowej została skazana na 4 lata więzienia. Obecnie z «kaczątka» wyrósł sowiecki «ła-będź». Ubrana w «luksusowe futro», mówiła tylko o swoim no-wym mieszkaniu i umeblowaniu. Gdy dr Margolin wspomniał o swoim domu w Tel-Awivie wbiła weń «złe i obce oczy».

“Jakże chłód powiał od niej. Patrzyła na mnie jak na trędowate-go... jeśli by wszyscy białostoccy Żydzi zechcieli wyjechać do Pales-tyny, komuż by ona przewodniczyła?”.

W Pińsku polescy chłopci, którzy «od ćwierć wieku przynosili do kuchni mojej matki mleko i jaja», nie bali się wypowiedzieć tajemnicy, którą — wydaje się — tłumaczyła geniza nieoczeki-wanego u dra Margolina «sentymentu» ku Polsce:

“Przez 20 lat panowie chcieli z nas zrobić Polaków, bez powodze-nia. A bolszewicy w 2 miesiące zrobili nas Polakami”.

W ciągu 9 miesięcy człowiek typu dra Margolina, inteligentny, obrotny, niestroniący od kontaktu z najróżnorodniejszymi ludź-mi, «wolny od partykularyzmu i drobnych pretensji», miał nie-zrównane pole do obserwacji i wyciągania wniosków, poży-tecznych dla innych Europejczyków na innych terenach, o «wyzwoleniu» których w owym czasie nawet się jeszcze nie śni-ło. Wszystko to skończyło się 19 czerwca 1940 r. W nocy na 20 czerwca dr Margolin przestał być CZŁOWIEKIEM: trafił do so-wieckiego więzienia.

“Przekraczając próg milicji przy ulicy Łohiszyńskiej (w Pińsku), przeszedłem nie zdając sobie sprawy linię rozdzielającą dwa światy. I prawie natychmiast zrozumiałem, że stało się coś niewiarygodnego... Po przekroczeniu progu domu przy ul. Łohiszyńskiej przestałem być człowiekiem”.

«Dość naiwny inteligent» który, pomimo 9-cio miesięcznego rzucania się w «pajęczynie sowieckiej», czuł się ciągle «w swym umyśle i sercu obywatelem wspaniałej Europy, z jej Paryżem i

Atenami i lazurowymi horyzontami Śródziemnomorza», prze-kształcił się nagle w sowieckiego raba.

— “Rozbieraj się.

“W gnieniu oka stałem na czworakach, kompletnie nagi, i bada-no mnie we wszystkich szczegółach jak zatwardziałego zbrodniarza. Przeszukano *anus*, przerzucono ubranie, kazano się ubrać, odcięto gu-ziki, zabrano pasek, wyprowadzono na podwórze i wepchnięto do cię-żarówki... W ciągu tygodnia pozostawaliśmy w podziemiu na kartofle N. K. W. D... Rano, gdy prowadzono 16 mężczyzn do wychodka, róż-nica między inteligentami o delikatnych nerwach, a “ludźmi z ludu” wystąpiła niezwłocznie. Niektórzy, co się znaleźli tak po raz pierwszy, przed wszystkimi (jeden otwór na 16 osób), wśród tłumu, okropnie się wstydzili. Ktoś stracił przytomność i osunął się na podłogę lepką od ekskrementów. Zabrano go”. “Późno w nocy mnie wywołano. Byłem już bardzo brudny, nieuczesany, nieogolony, o dzikim wyglądzie, jak przystoi człowiekowi ściganemu przez państwo. Nie miałem mydła ani wody, aby się umyć, ani ręcznika, ani grzebień, ani poduszki. I dla-tego to odczuwałem tak żywo swą nierówność społeczną, gdy naprze-ciw mnie zasiadł śledowatek N.K.W.D., młody i elegancki, o przyli-żanych wypomadowanych włosach, odświeżony i w dobrym samopoczuciu...”.

A jednak metamorfoza nie była całkowita. Wprawdzie doktor filozofii, znalazłszy się na dnie bytowania, odtąd przez prawie 6 lat, będzie przede wszystkim zmierzał do utrzymania się przy życiu i zaspokojenia najbardziej prymitywnych potrzeb, wpraw-dzie żyć będzie przede wszystkim emocjami «wstydu za czło-wieka» i «zimnej nienawiści do wszystkich tych co oszukują cały świat», — wyjąłowanie intelektu i «człowieczeństwa» nie było ani natychmiastowe, ani 100 procentowe. Podczas śledztwa brudny trygłotyda podejmie dyskusję o dialektyce material-istycznej z enkawudziśtowskim «filozofem». Głęboko się przejmie, gdy na jej zakończenie usłyszy, że ma zapomnieć o Pales-tynie i o przeszłości, «a co do twojej żony, nie przejmuj się: znajdzie sobie innego». Sprzeciwiać się będzie «kwalifikacji prawnej» swego «przestępstwa»: uchodźca wojenny, przeby-wający nielegalnie (za polskim paszportem) na terytorium przywią-zku sowieckiego i zamierzający wyjechać zagranicę.

Później z okienka «wędrownej trumny» zaobserwuje nędzę sowieckiego raju i będzie filozofował o «podróży w głąb ciem-ności» — jakbyśmy «lecieli w studnię bez dna» — i o eurazja-tyckości Rosji. W oczach «rodaka z Warszawy», przyjmującego w Miedwieżęgorsku transport nowych niewolników, zauważy błyski zawodowego oceniacza w lombardzie i odnotuje jego «złą hebrajszczyznę». Podczas dyzenterii w barce na Onedze odkryje, że «na liście europejskich swobód demokratycznych wolność wypróżniania się nie jest najmniej wartościowa». Na 48 *kwad-racie* kołaskiego łagru stwierdzi, że nierówność społeczna w sowieckim obozie pomiędzy kucharzem a zwykłym więźniem jest większa niż między miliarderm a czystościelcem butów w No-wym Yorku. Na skutek tendencji do «filozofowania» utra-

ci szybko swą pierwszą «obozową posadę» — sekretarza komendanta *łagpunktu*.

Rozdziały, w których autor na przykładach z życia obozowego przedstawia systematycznie przeprowadzoną tam dehumanizację, są szczególnie interesujące. Podając najbardziej drastyczne szczegóły, zachowuje przy tym zdolność samokrytycyzmu i chłodność oceny: po opisie jak po raz pierwszy w życiu zbił do nieprzytomności «kolegę» obozowego i jak mu tego wieszowali sąsiedzi, notuje:

“nie odczuwałem żadnej radości; byłem smutny, zawstydzony, uważałem się za spodlonego. W dniu tym przekroczyłem nowy stopień dehumanizacji. Uczyniłem coś, co było sprzeczne z moją naturą. Wśród tego wszystkiego, czego nie daruję nigdy, ani obozowi, ani jego złowrogim twórcom, ten cios pozostanie w mej pamięci, gdyż uczynił on ze mnie na chwilę ich współnika, ich ucznia, ich prozelita”.

Ciekawe są również uwagi Europejczyka-syjonisty na temat stosunków narodowościowych w obozie oraz polskiego i rosyjskiego antysemityzmu. Pomimo, iż sam dr Margolin określał się jako «bezpartyjny Palestyńczyk», jedni uważali go za «żydowskiego nacjonalistę», inni za Rosjanina. «Margolin nie jest ani Żydem, ani Polakiem. To raczej Rosjanin. On mówi zupełnie jak Rosjanin», twierdził jeden z jego obozowych szefów.

Polacy w obozie stanowili mniejszość w stosunku do Żydów i Rosjan. Ci ostatni nie mogli zrozumieć solidarności, jaka się wytwarzała pomiędzy «zachodnikami», dzięki wspólnej negacji otaczającej ich rzeczywistości.

“Żydzi rosyjscy ze zdumieniem mówili do Żydów polskich: “Skąd u was ten polski patriotyzm? Mówicie sami o polskim antysemityzmie, a jednak ich bronicie!”. Rosjanie nie lubili Polaków; instynktownie byli im wrodcy, patrzyli na nich z ironią, nie rozumiejąc ani ich katolicyzmu, ani ugrzeczniejszego indywidualizmu. “Pano wie szlachta!”, mówili o wszystkich i wrzuszali ramionami, widząc z jakim zapalem broniliśmy wszystkiego co polskie... Wśród Polaków byli sędziowie, funkcjonariusze policji, inżynierowie, urzędnicy, robotnicy i włościanie, przedstawiciele wszystkich partii, i dawni endecy, i przyszliz żołnierze armii Andersa. Lecz straszna katastrofa narodowa spowodowała zapomnienie wszystkich sporów i wszystkich różnic. Szczególne zbliżenie wytworzyło się pomiędzy inteligencją żydowską i polską. W obliczu antysemityzmu rosyjskiego, znacznie bardziej topornego i instynktownego, zapominaliśmy o antysemityzmie polskim. Było to dla nas niespodzianka. Spotkaliśmy się w obozie z powszechną i nieukrywana wrogością, w której 25 lat régime'u sowieckiego nic nie zmieniło. W miernie, w każdej kolumnie, w każdej brygadzie, w każdym baraku znajdowali się ludzie, którzy mnie nienawidzili tylko dlatego, że byłem Żydem. I byli dostatecznie liczni, by zatruć każde środowisko, w którymś żyli. Aczkolwiek nie wiedzieli oni nic o Hitlerze, stwarzali chwilami dokoła nas atmosferę hitlerowską...”

Toteż nie można się dziwić, że pod wrażeniem opowiadań jednego z niemieckich Żydów, który przed wojną spędził 7 miesięcy w Dachau, o tamtejszych «dobrych czasach», łagiernicy Żydzi

“uwierzyli w niemiecki raj w Dachau. Każdy z nich tęsknił — nie do wolności (to by było zawiele), lecz do europejskiego obozu koncentracyjnego, gdzie byłyby łóżka, kantyna i 1300 gramów chleba. Ten makabryczny obraz pozostanie na zawsze wryty w mojej pamięci. Żydzi tęskniący do Dachau! Każdy z nich byłby gotów natychmiast opuścić “48 kwadrat” by pójść do obozów hitlerowskich takich, jakimi one były w 1937 r. I ja, jeśli nie podzielałem ich zachwytów nad Dachau, to chętniebym zamienił obóz sowiecki na dobre więzienie polskie, gdzie “polityczni” byli odizolowani, gdzie nie było obowiązku pracy niewolniczej, gdzie miało się możność studiów i odwagę ujawniania swych przekonań”.

Znowuż niezwykły u dra Margolina objaw «sentymentalizmu».

Wybuch wojny niemiecko-sowieckiej spowodował ewakuację obozów z fińskiej strefy pogranicznej na wschód. Do makabrycznego opisu tej «ewakuacji» wkrada się epizod tragikomiczny: spotkanie pieszej kolumny «starych» więźniów z nowoprzywiezionymi do ZSSR «Litwinami».

“Na pierwszy rzut oka widziało się, że to byli “nowi”, ludzie absolutnie nie rozumiejący dokąd i po co ich przywieziono. Pomimo niepokoju, ta procesja z innego świata zachowywała jeszcze wygląd dostojny. Notable, senatorzy, rabini w futrzanych czapkach, bankierzy, adwokaci, i inni jeszcze Żydzi, brzuchaci i majestatyczni, kroczyli jeden za drugim w jesionkach, w futrach i w nieprawdopodobnych kapeluszach. Za nimi transportowano śmieszne kufty i luksusowe walizki ze skóry. Można by przypuszczać, że wybrali się oni do uzdrowiska lub na Rivierę... Patrzyliśmy na te wypielegnowane brody, złote pince-nez, góry bagażu i wyobrażaliśmy, co to się stanie z tym wszystkim jutro, kiedy zacnie się marsz od etapu do etapu przez setki kilometrów. Dowiedzieliśmy się później, że bardzo mało z nich pozostało przy życiu. Żydzi belgijscy i holenderscy, przywożeni pociągami turystycznymi bezpośrednio do komór gazowych w Oświęcimiu, musieli wyglądać podobnie jak ci Litwini. W Oświęcimiu ich męczarnie kończyły się w dniu przybycia, Litwini zaś żyli jeszcze przez lata w obozach. Któż może wiedzieć, jaka śmierć była mniej okrutna?”.

Jeśli dr Margolin przeżył swoje PIĘĆ lat obozu, zawdzięcza to wyłącznie personelowi lekarskiemu. Poddani trybowi obozowemu i narażeni na tysiączne niebezpieczeństwa w wypadku zdradzenia się z «liberalnym» traktowaniem więźniów, lekarze, przeważnie z Polski i państw bałtyckich, byli w stanie — podobnie jak ich koledzy w obozach niemieckich — ratować życie tylko poszczególnym jednostkom. Wydaje się jednak, że ogromna większość więźniów, która wyżyła w obozach sowieckich przez dłuższy okres czasu, zawdzięcza to w pierwszym rzędzie własnemu sprytowi, następnie zaś pomocy lekarskiej. W każdym razie bez «cichego współnictwa» lekarzy w «szwejkwaniu», nie byłoby ani omawianej książki, ani niniejszego omówienia. «Jakie to szczęście być chorym na płuća!», zawołał dr Margolin po przyjeździe z 48 kwadratu do *sangorodka* (miasteczka szpitalnego) Kruglica. «Dla tego warto przejść na piechotę kilkaset kilometrów».

Zanim jednak odkryje w obozowej sali szpitalnej *asile familialer*, dający mu «opiekę i ocalenie», zanim w dniu 20 kwietnia 1943 r. zawoła w stanie rozkosznej ekstazy: «Bogu dzięki, jestem inwalidą!», — przejdzie straszliwą tragedię «amnestii».

W *sangorodku* Kruglicy, odmiennie niż w wielu innych obozach, ogłoszono wiadomość o zawarciu polsko-sowieckiego układu lipcowego i o przewidzianej w nim «amnestii» dla obywateli polskich. Spowodowało to rewolucję w psychice zainteresowanych, lecz nie wiele zmieniło w obiektywnych stosunkach obozowych. Jak to stwierdza dr Margolin, w polityce antypolskiej «rząd sowiecki poszedł dalej», niż Hitler: «Moskwa pospieszyła się z wykreśleniem Polaków z mapy świata». Wpisując miejsce urodzenia polskich ZeKa, wpisywano: *Warszawa-Niemcy*. Obecnie wymazane z mapy państwo stało się, oficjalnym niemal, «sojusznikiem ZSSR».

«Przeżyliśmy, pisze dr Margolin, kilka dni entuzjazmu i szczęścia, chodziliśmy w mgle szczęśliwości, podnieceni i pyszni... widziałem już siebie w polskim mundurze, wyobrażałem sobie formację Izraelitów polskich, walczących w pierwszej linii, błogosławiłem los, który mnie pozwoli wziąć udział w wojnie przeciwko Hitlerowi».

Gdy, w połowie sierpnia, została zwolniona «pierwsza mała grupka Polaków», był on *cruellement dèçu*. Te słowa zrozumieć może tylko ten kto sam to przeżył.

Z mojego obozu na Syberii do pierwszej grupy «amnestionowanych» w sierpniu weszło kilkudziesięciu uczniów szkół rabinackich. Dr Margolin nie mówi, ilu Żydów polskich zwolniono wówczas z jego obozu, wspomina tylko o jednym, który «nie był złym człowiekiem», lecz poszedł na całkowitą współpracę z władzami obozowymi i, zostawszy komendantem sąsiedniego *Łagpunktu*, «nadużywał swego prawa posyłania ludzi do karceru». W pierwszym dniu wolności został zlinczowany przez współtowarzyszy: «zatluczony na śmierć i wyrzucony z pociągu». «To zlinczowanie, dodaje filozoficznie autor, było przejawem nienawiści do obozu i jego administracji».

1 września 1941 r. wszystkich więźniów-obywateli polskich z Kruglicy przeniesiono do karnego obozu w Osinówce i posłano na wyrąb lasu. Tam to, gdy ustne protesty i prośby nie pomagały, miał miejsce głośny później wśród Polaków w ZSSR strajk głodowy. 29. IX. o świcie, po gongu na pobudkę, zebrani w jednym baraku wszyscy

«Polacy i Izraelici wstali i chóralnie odśpiewali, jakby modlitwę przed bitwą, starą pieśń: **Kiedy ranne wstają zovze...** (W tekście francuskim tytuł polski z przytoczonym błędem drukarskim). Potem odniesiono szefowi obozu paczkę ze 120 kartkami żywnościowymi. Byliśmy zdecydowani nie dotykać jedzenia i nie pracować dopóki nas nie zwolnią».

Solidarny strajk głodowy w obozie sowieckim w 1941 r. nie był rzeczą zwykłą, jeszcze bardziej niezwykle było — formalne i pozorne co prawda — «całkowite zwycięstwo» strajkujących. Zarządzone początkowo przez władze lokalne represje zostały odwołane i strajkującym obiecano zwolnienie wszystkich w ciągu miesiąca i natychmiastowe przeniesienie z Osinówki do normalnych *łagpunktów*. Strajk zakończono, a obietnica — jak zwykle w Sowietach — w najistotniejszej części dotrzymana nie została. W październiku zostały, co prawda, zwolnione znaczne partie obywateli polskich, ale nie wszyscy.

Siedząc wówczas w obozach, nie wiedzieliśmy z dr Margolinem o ożywionej w tym czasie polskiej akcji dyplomatycznej, zarówno w ZSSR (noty Ambasady z 13. X. i 1. XI.) jak w Londynie (nota z 15. X.), w związku z przetrzymywaniem obywateli polskich w więzieniach i obozach sowieckich. Nie wiedzieliśmy również o cynicznej odpowiedzi odręcznej noty Mołotowa z 8. XI., iż «zgodnie z rozporządzeniem Prezydium Rady Najwyższej ZSSR z 12 sierpnia rb. o amnestii, *wszyscy polscy obywatele*, którzy byli pozbawieni wolności, jako jeńcy wojenni czy też na zasadzie innych dostatecznych podstaw, są uwolnieni». Nie wiedzieliśmy wreszcie, że od 1 listopada 1941 władze sowieckie przestały uważać za obywateli polskich wszystkie osoby narodowości nie-polskiej i że władze polskie toczyły z tym stanowiskiem zacieklą walkę, rozpoczętą notą Ambasady R.P. z dn. 10. XI. Ułamkowe i zniekształcone strzępy tych informacji doszły jednak zarówno mnie w obozie Krasnojarskim, jak i jego w Kargopolskim.

Gdy w grudniu 1941 r. udało mi się dotrzeć do przybyłego do obozu prokuratora z *otdïelenija* i zainterpelować go w sprawie mego zwolnienia, usłyszałem, jakby echo noty Mołotowa: «Wszyscy Polacy zostali już uwolnieni».

— A ja, zawołałem przerażony do szpiku kości.

— A *wy, wierojatno, nie polak*, brzmiała uprzejma lecz obojętna odpowiedź.

Co do mojej przynależności do narodu polskiego nie mogło być żadnych wątpliwości. Przynależność narodowa wpływa niekiedy na poglądy, na rzeczy i zjawiska oraz na nasz stosunek do nich, nie sądzę jednak, by miała jakiś wpływ na przeżycia i emocje ludzkie. Za największą zaletę książki dr Margolina uważam, jej głęboką wewnętrzną szczerść. Być może opis pewnych faktów (zdarzeń i ludzkich sylwetek), uległ w niej artystycznemu opracowaniu, przeżycia swe oddał w niej autor takimi, jakie były. Ja przeżywałem i czułem to samo i tak samo.

«Z przerażenia włosy stawały na naszych głowach: a co jeśli nas zatrzymają? Nie skorzystanie z amnestii było straszniejsze, niż gdyby tej amnestii w ogóle nie było: przekreślała wszelką nadzieję na przy-

szłość. Od dawna już nie staraliśmy się zrozumieć sensu i logiki traktowania nas... Nie wiedzieliśmy przeciwko czemu, ani jak powinniśmy się bronić. Nie podawano nam tajnych motywów naszego zatrzymania. Początkowo przypisywaliśmy opóźnienie trudnościom transportowym: brakowi wagonów. Lecz miesiąc przechodził za miesiącem i to tłumaczenie nie miało już żadnego sensu".

Opuszczony w cytacie środek ustępu dotyczył poglądu na rzeczy i stosunku do nich. Były one różne u Żyda i Polaka. Ja myślałem: «Zwalniają pokracznych fizycznie *«rabiniuków»*, którym każda komisja poborowa w najlepszym razie przyzna kategorię «C». A nas, wyszkolonych oficerów, zatrzymują bez żadnego wyjaśnienia». Dr Margolin pisze:

«Zwalniają faszystów, którzy przyłączyli się do armii Andersa (Ob. wyżej, o ekstazie autora na myśl o włożeniu munduru polskiego. W. S.), dzikich polskich antysemitów, wrogów rządów Sikorskiego. A nas, Izraelitów demokratów, których rodziny zginęły w ghettach, zatrzymują bez wytłumaczenia».

W toku rozmowy na Kremlu w dn. 3. grudnia 1941 r. na prowokacyjną uwagę Stalina, że «Żydzi to kiepscy wojacy», gen. Sikorski odpowiedział: «Wielu wśród Żydów, którzy się zgłosili (do tworzonej w ZSSR armii polskiej), to spekulanci lub karani za przemyt, nigdy z nich nie będzie dobrych żołnierzy. Tych w wojsku polskim nie potrzebuję». Echa tych słów w ciągu kilku tygodni dotarły do dra Margolina w północnym obozie.

«Gdy prokurator z Jercewa przejeżdżał przez Kruglicę, spytaliśmy się go, dlaczego nas nie zwalniają. Prokurator odpowiedział z uśmiechem: «Jesteście Żydzi, Sikorski was nie chce».

Doktor filozofii potraktował taką odpowiedź jako zły i głupi żart. Podobnie jak ja, pisał i wysyłał w różne strony dziesiątki podań i skarg. Oburzał się na brak odpowiedzi z Ambasady Polskiej, a obaj nie wiedzieliśmy, że żaden z naszych listów i telegramów tam nie doszedł. Wreszcie otrzymał z centralnego zarządu obozu oficjalne powiadomienie na piśmie, że «nie będąc narodowości polskiej, nie podlega amnestii udzielonej dla obywateli polskich». A przecież został osadzony w obozie za legitymowanie się przed władzami sowieckimi autentycznym paszportem obywatela polskiego.

Był to cios. Był to cios straszny.

«Psychologicznie i fizycznie uczynił mnie, pisze o sobie dr Margolin, na pewien czas jednostką nienormalną. W ciągu kilku miesięcy posiłkowałem. Byłem jeszcze młody, gdy mnie aresztowano w Pińsku. Raptem, ku memu zdumieniu zaczęto na mnie wołać *Ojczulku*, a później *Dziadku*».

Sumienny i szczerzy autor opisuje następny szczebel «dehumanizacji», jaką ten cios wywołał.

«Pewnego dnia ukradłem sąsiadowi nóż. Nie wiem dlaczego to zrobiłem, gdyż nie był mi potrzebny. Marny nożyk, sporządzony przez więźnia w obozie, wypadł z kurtki sąsiada i leżał na narach. Schowałem go do swojej kieszeni. Sąsiad, klnąc, szukał go po wszystkich ką-

tach. Leżałem w ciemności milcząc i odczuwając ponure zadowolenie, że nikomu w baraku nie przyjdzie do głowy, szukać noża w mojej kieszeni».

Nie sposób tu streszczać całej książki. Pisać, co widział, czuł i — pomimo wszystko — myślał, zepchnięty na dno między ludzkiej «postępowy i radykalny Europejczyk», sowiecki obozowy *«dochodiaga»*, balansujący przez prawie cztery lata pomiędzy życiem a śmiercią. A chciałoby się wspomnieć i o patetycznie tragicznym liście do «kolegi pisarza» — Ilii Ehrenburga, i o podejmowanych przez autora w obozie pracach naukowych: *Teoria Kłamstwa*, *Doktryna Nienawiści* i *O wolności*, których prawie wykończone rękopisy — nie mogąc ich przechowywać w baraku — zdecydował się złożyć na przechowanie w KWCz (Wydział kulturalno-wychowawczy), na co usłyszał polecenie odniesienia ich do... wychodka. (KWCz w obozach dr Margolin w innym miejscu przyrównuje do baru mlecznego w zamtuzie). I o ciekawej postaci *Maxika*, i o obcej dziewczynie żydowskiej, która podzieliła się z nim kawałkiem chleba, i o zaufanym przyjacielu, inteligencie, profesorze, który mu chleb podkładał. I o pladze życia obozowego — *urkach*. I o kobietach w obozach. I o życiu seksualnym niewolników sowieckich. I o wielu, wielu innych rzeczach, o których w frapujący sposób pisze dr Margolin na 450 stronach swej niezwykle szczerzej i ciekawej książki.

Jeśli co pozwoliło autorowi znieść pięcioletnie, gorsze od bydlęcego, bytowanie nie załamując się ostatecznie psychicznie («granica pomiędzy jednostkami normalnymi a wariatami nie istnieje w tym królestwie śmierci», pisze w zakończeniu rozdziału o *Nerwicy obozowej*), to niezachwiana wówczas wiara w «wolnych ludzi Zachodu» i nadzieja na ich ewentualnie skuteczną interwencję. «Nie wiedziałem wówczas, pisze w książce wydanej w 1949 r., że ani wtedy, ani później, ani nawet obecnie wolni ludzie Zachodu nie ruszą małym palcem by ratować tych, co giną bez śladu w ZSSR». Jakie to szczęście, żeśmy o tym nie wiedzieli w obozie, zawołał tu *unisono* z dr Margolinem.

Zwolniony wreszcie w czerwcu 1945 r. z obozu w Kotłasie został skierowany do Sławgorodu w Altajskim kraju, dokąd od dawna wysyłano tzw. *wolnych zesańców* (od 1940 r. była tam znaczna «kolonia polska»). Uzyskał tam od razu «kierownicze stanowisko» w *Mereze*, fabryce części zapasowych do traktorów. Dopiero po 9 miesiącach udało mu się zostać *repatriowanym* do «ludowej Polski», skąd wyostał się wreszcie po siedmiu latach do domu w Palestynie. Zaraz na statku napisał wspomniany na wstępie *List otwarty w sprawie Bergera*, ogłoszony w nowojorskim *Vorwärts* oraz *Socjalistycznym Wiestnikie* (Nr 12-592 z 27. XII. 1946).

Pisał go w namiętym pośpiechu, jak człowiek cudem przywrócony do życia, na jeden tylko dzień wypuszczony z mogiły, z piekła.

„Siedem ubiegłych lat uczyniły ze mnie przekonanego i namiętnego wroga ustroju sowieckiego. Nienawidzę tego ustroju całą siłą mego serca i całą energią mojej myśli. Wszystko, co tam widziałem, wypełniło mnie na całe życie przerażeniem i ohydą. Każdy, kto był tam i widział to, co ja widziałem, zrozumie mnie. Uważam, że walka z terrorystycznym i nieludzkim reżimem właścicieli niewolników, jaki tam istnieje, stanowi pierwszy obowiązek każdego uczciwego człowieka w całym świecie. Tolerancja czy poparcie tej hańby świata przez ludzi znajdujących się po drugiej stronie sowieckiej granicy w normalnych europejskich warunkach są niedopuszczalne... Są rzeczy, które muszą być powiedziane natychmiast, bez chwili zwłoki. Nie mogę sobie pozwolić na zwłokę, nie śmiem: byłoby to zbrodnią w stosunku do tych, którzy mówią przeze mnie, krzyczą przeze mnie śmiertelnym krzykiem rozpacz. Wiem, że siły moje są zbyt słabe dla tego zadania. By pisać o sowieckim piekle, potrzeba siły Dantego i Dostojewskiego w połączeniu z pełnią realizmu Dickensa. Lecz los włożył w moje ręce pióro i dotąd go nie złożę, aż nie wyczerpię wszystkiego, co mam do powiedzenia... W obozach Związku Sowieckiego giną miliony ludzi... Cała Rosja jest, jakby okropną wysypką, pokryta obozami i niewymierny cynizm władzy, doskonale zdającej sobie sprawę z tego co czyni, wyraża się w tym, że te obozy są hermetycznie i całkowicie zamknięte dla przybyszów z Europy. To stwarzało możliwość dla sprzedanych łajdaków z sowieckiej elity kulturalnej przed wojną zaprzeczanie istnienia tego nieprawdopodobnego, nie mającego precedensu w historii świata systemu... W ciągu swego istnienia obozy sowieckie pochłonęły więcej ofiar, niż obozy hitlerowskie i nie-hitlerowskie wszystkie razem i ta maszyna śmierci kontynuuje swą pracę całą parą. Ludzi, którzy reagują na to wzruszeniem ramion i zbywają nic nieznaczącymi słowami, uważam za moralnych współuczestników zbrodni i pomocników bandytów...”

Zę względu na swe wyjątkowe doświadczenie, wykształcenie, zdolności, niewątpliwy talent literacki, poglądy polityczno-społeczne i — *lust but not least* — pochodzenie i przynależność narodową, dr Margolin wydawał się osobą posiadającą szczególne kwalifikacje by wzruszyć sumienie świata sprawą sowieckich niewolników. A jednak i on podzielił los tych wszystkich, co usiłowali powiedzieć prawdę o dzisiejszej Rosji.

Gdy w połowie 1946 r. przybył do Palestyny gorzał żądzą czynu. «Moim zadaniem jest powiedzenie prawdy, której tyłu ludzi nie śmie, nie chce, nie umie czy po prostu się boi powiedzieć. Piszę z uczuciem człowieka, któremu został tylko JEDEN DZIEŃ życia i w ciągu tego dnia on musi powiedzieć najbardziej pilne, najbardziej ważne, jak można najprędzej, gdyż jutro może już być za późno», pisał w *Otwartym Liście*. W tym stanie przystąpił do pisania swych wspomnień z Rosji. Oryginałowi rosyjskiemu nadał tytuł: *Podróż do Kraju ZEKA*. Książka pisana namiętnie, z pasją, nie mogła być pisana długo. A jednak dopiero po dwóch i pół latach akcja dr Margolina odbiła się pewnym echem w ONZ, jako «ogólne i mętne» zeznania «przestępcy». Wówczas już był gotowy (może dawno gotowy)

przeszło 600 stronicowy rękopis, który, «zaczawszy czytać, nie można się było oderwać». Tak go charakteryzuje znany pisarz rosyjski Roman Gul, pomieszczając kilka wyjątków w wydawanej przez siebie w Paryżu *Narodnoj Prawdie* (Nr 2 z lutego 1949 r.). «Jest to relacja utalentowanego pisarza, i głęboko wykształconego człowieka, Rosjanina co do swych podstaw kulturalnych i cudzoziemca w stosunku do ZSSR... Nie znam żadnej książki o sowieckich obozach koncentracyjnych, która by dorównywała w sile temu rękopisowi... Jestem przekonany, że książka ta będzie wydana we wszystkich obcych językach i będzie miała niemniejsze powodzenie niż książka Krawczenki, gdyż takiej książki o niewolnictwie sowieckim jeszcze nie było».

Dotychczas ta przepowiednia R. Gula się nie sprawdziła. Wprawdzie w listopadzie 1949 r. pojawiło się francuskie wydanie, ale, jak dotąd dr Margolinowi daleko do «sławy» i powodzenia Krawczenki. Nie słyhać też o dalszych, np. anglosaskich wydaniach. A szkoda, wielka szkoda.

W zakończeniu swej pisanej w Palestynie książki dr Margolin pisze:

„Moim obowiązkiem i moim pierwszym odruchem po powrocie do Europy było złożyć sprawozdanie o tym, co przeżyłem, i przekazaćwołanie o pomoc ludzi od świata odciętych. Lecz dopiero tu, wśród wolnych ludzi Zachodu, zrozumiałem całą głębię nieszczęścia tych, co pozostają w zamknięciu. Poza kolczastym drutem ich obozów natknąłem się na drugi mur z kamienia, zbudowany przez małość duszy i zdradę. Przekonałem się, że w wiadomych kołach, właśnie tych, czyja pomoc jest w pierwszym rzędzie niezbędna, nie jest przyjęte głośno mówić o pewnych zjawiskach, jakie mają miejsce w Związku Sowieckim. To szokuje. Co więcej, to kompromituje. Nie jeden, lecz dziesiątki razy słyszałem, że oskarżać Związek Sowiecki mogą tylko wrogowie postępu i sprzymierzeńcy reakcji. Książka ta była pisana przy milczącym i jawnym potępieniu ze strony mego otoczenia i gdyby nie moje osobiste doświadczenia i siła przekonania, którą zawdzięczam pięciu latom obozu, być może, byłbym się podporządkował zbiorowej sugestii, jak to czyni wielu innych uczestników „zmowy milczenia”... W samej rzeczy dostatecznie wspomnieć o ofiarach obozów, by u ludzi, którzy w każdej innej okazji są wypełnieni młodą dobrocią i demokratyczną wrażliwością na najmniejszą niedoskonałość świata, raptem wyrosły wilcze kły i objawiła się absolutna niewrażliwość słuchu i okrucieństwo serca. Ci ludzie, podobnie jak ja, są przekonani, że ustrój sowiecki nie może się obejść bez obozów, lecz wyciągają z tego odwrotne wnioski. Postęp w ich przekonaniu doskonale da się pogodzić z systemem uwspółczesnionego niewolnictwa. Czyż ludzie, usprawiedliwiający obozy sowieckie i mówiący: „niech siedzą”, lub „a może to nieprawda”, albo po prostu „a nam co do tego?”, mogą uważać się za antyfaszystów i obnosić się maską szlachetności? Dla mnie jest jasne, że ci ludzie przygotowują dla świata drugie wydanie Hitlera. Ci ludzie są żywym świadectwem bezsilności pseudodemokracji”.

Głębokie, słuszne i szczerze prawdziwe słowa.

2.

Książka Małgorzaty Buber-Neumann*) ma to wspólne z osławioną książką Krawczyńskiej, że podobnie jak tamta nasywa wnioski, iż najbardziej prześladowani w Związku Sowieckim są... członkowie partii komunistycznej. Właściwym «przestępstwem», za które autorka została aresztowana w czerwcu 1938 r., skazana na pięć lat obozu i, po przetrzymaniu przeszło rok w obozach Karagandy, w lutym 1940 r. wydana w ręce policji hitlerowskiej, było to, iż była ona... «żoną» (zresztą, jak się dowiadujemy z książki, bez formalnego ślubu), wybitnego komunisty niemieckiego Heinza Neumanna.

W 1928 r. Neumann był, jak to stwierdza ówczesny, mocno komunizujący, moskiewski korespondent *United Press*, E. Lyons (*Assignment in Utopia*, N.Y. 1937, str. 72) «dzieckiem marnotrawnym niemieckiego ruchu komunistycznego» i «rozpieszczanym gościem» «Kości» Umańskiego w Moskwie. «W kilka lat później ten chłopak został faktycznym dyktatorem ruchu w Niemczech, jako najbardziej zaufany *lieutenant* Stalina». Z wydanego przez *Harvard University* w 1948 r. interesującego studium Ruth Fischer (*Stalin and German Communism, A study in the Origin of the State Party*) dowiadujemy o nim szczegółowych danych biograficznych. Syn zamożnych rodziców, w wieku 16 lat porzucił dom rodzinny i włóczył się po całej Europie. Jako poliglota (Neumann mówił biegle 4 - 5 językami m. in. po rosyjsku) był w 1922 r. tłumaczem na kongresie *Kominternu* w Moskwie i został wówczas przedstawiony Stalinowi, który miał polubić ambitnego i rzutkiego chłopca. W 1923 r. Neumann brał czynny udział w aferze tzw. *niemieckiego CzeKa* planującej m. in. zabójstwo gen. von Seeckta oraz eksperymentującej w Berlinie z bakteriami cholery. W 1925 r. został zawiezony przez Stalina do Moskwy, gdzie na jego zlecenie napisał pamflet przeciwko swemu dotychczasowemu «wodzowi», przywódcy «lewicy» niemieckich komunistów, Arkadiuszowi Masłowowi. W tym czasie miał być częstym gościem «at Stalin's intimate drinking parties» i dzięki swej «żywej inteligencji i znajomości międzynarodowego *background'u*» powycił więcej, niż ktokolwiek powinien był wiedzieć, tajemnic dojścia Stalina do władzy». W 1927 był wysłany do Chin, gdzie brał udział w organizacji tzw. Kantońskiej Komuny, po czym przez Moskwę wrócił do Niemiec i został członkiem niemieckiego Politiura, posłem do parlamentu oraz sekretarzem Thälmana.

Zwolennik bezwzględnej walki z dochodzącymi (przy cichym poparciu stalinowców) do władzy nazistami, w 1932 r. został znowuż wezwany do ZSSR i (tym razem z żoną, która zdążyła już być w Moskwie na święcie majowym w 1931 r.), zaproszony przez Stalina do jego prywatnej willi na Kaukazie. Powziąwszy

*) BUBER-NEUMANN, M. *Déportée en Sibirie*, Paris 1949. Str. 254. Ed. du Seuil.

wówczas pewne wątpliwości co do stopnia uległości Neumanna wobec «generalnej linii» i jej zygzaków, Stalin nie pozwolił mu wracać do Niemiec, lecz wysłał do Hiszpanii.

List wysłany stamtąd do Berlina w marcu 1933 r. trafił w niezupełnie jasnych okolicznościach w ręce GPU i spowodował rozkaz wyjazdu z Hiszpanii do Zurychu, gdzie Neumannowie spędzili prawie dwa lata, już w stalinowskiej niełasce. Gdy jednak na przełomie 1934/5, wobec żądań ekstradycji ze strony władz hitlerowskich, Szwajcarzy zarządzili jego wysiedlenie, Neumann wolał jechać do Moskwy. Tam w kwietniu 1937 r. został aresztowany i odtąd wszelki jego ślad zaginął.

Siedzibę zagranicznych komunistów w Moskwie, hotel *Lux* w r. 1928 opisuje E. Lyons w sposób następujący:

«Było to i prawdopodobnie, wciąż jest miejsce niezwykle. Fizykalnie miało charakter przedupionego mieszkania, z powodzią brudnych wózków dziecięcych w *hallu*, ostrymi i szczególnie nieprzyjemnymi zapachami żywności, odgłosami kuchmarzących i kłócących się niechlujnych gospodyń w korytarzach. Skrupulatne ostrożności w strzeżeniu mieszkańców dodawały do zapachów kapusty aurę więzienia. Zaludnienie hotelu składało się z mężczyzn i kobiet, chłopców i dziewcząt, wszelkich narodowości, kolorów i języków; mało z nich było w stanie zrozumieć jeden drugiego, wszyscy byli przejęci grozą i czcią dla wielkości i potęgi zasiadającej w majestacie rewolucji. Różni rasą i językiem, złączeni byli jednością wiary. W dziwny sposób wyglądali również jednakowo... Rzekomi agenci i urzędnicy organizacji międzynarodowej, ludzie ci nie mieli wątpliwości co do swego prawdziwego statusu. Byli gośćmi cieszącymi się powodzeniem rządu, biednymi krewnymi Kremla, jedzącymi jego chleb, chronionymi przez jego policję, śledzonymi (*shadowed*) przez jego szpiegów; utrzymanie przez nich urzędów i gościń w ostatecznej instancji zależało od tego, w jakiej mierze się dopasują do task gospodarzy. Uniżoność ubogich krewnych wyraźnie się przejawiała w piskliwej dumie, z jaką się chełpili znaczeniem i potęgą «Wujaszka Kremla», i, w szczególności, w niepokoju, z jakim znosili każdy jego kaprys. Był to groźny, swarliwy wujaszek, podejrzewający, iż jego dalecy siostrzeńcy i siostrzeńce mogą się zapomnieć i zacząć się bawić z tymi okropnymi trockistowskimi bachorami. Większość z nich, niedawno przybyła ze środowisk, gdzie byli śledzeni i prześladowani, nigdy nie była tak blisko garnków z miodem władzy i zasmakowała w nim raptownie. Nie we władzy przywódcy współwyznawców w uciskanej i kryjącej się pod ziemią partii rewolucyjnej, lecz we władzy, która się wyraża w armiach, samolotach, policji, niekwestionowanym posłuszeństwie podwładnych i w wizji ostatecznego panowania nad światem. Zwolnieni z ryzyka i odpowiedzialności dotychczasowej pracy w kraju, ich tęsknota do stanowisk, kariery, i przywilejów w wielu wypadkach przybierała wybujałość roślin w dzungli.

«Nigdy uprzednio nie widziałem tylu nagich, bezwstydnich denuncjacji i karierowiczostwa, zebranych pod jednym dachem. Kto był dobrze z kim, było tematem większości rozmów. Zadyszana towarzyszka X., tuż w pobliżu swego potulnego krótkowzrocznego męża, chełpiła się, iż przepała się z towarzyszem Y., «strasznie ważnym komunistą, wicie... bliskim Stalin!» Starła się o stanowisko dla męża. Przybycie dygnitarza komunistycznego z Niemiec czy Francji, wizyta w którymś pokoju trzeciej sekretarki sekretarza Stalina, pogłoska, iż węgierska towarzyszka, szczęśliwa dziewczyna, ma romans z tym wpływowym chińskim komunistą — oto był główny materiał plotek, dyskusji i zazdrości. Widziałem tam teorię «zawodowych rewolucjonistów» sprowadzoną do nieprzyjemnego absurdu».

Od opisu atmosfery tegoż hotelu *Lux* w dobie ponurej *czystki* lat 1937/8 zaczyna się książka p. Buber: conočne rewizje i areszty, przerażenie i rozpacz rodzin, nie «widzianych» oddatą przez «przyjaciół» i szykanowanych przez administrację hotelową i państwową, bezowocne poszukiwania aresztowanego po licznych moskiewskich więzieniach, pełne beznadziejności rozmowy na tajnych schadzkach z wieloma przyjaciółmi:

“Czyż nie ma sposobu ucieczki? Czyż damy się wydusić jak króliki? Jakżeż mogliśmy w ciągu lat godzić się z tym wszystkim bezkrytycznie? To co szło z Moskwy było święte, tłumiliśmy wszelkie wątpliwości, gdyż chcieliśmy przede wszystkim zachować naszą wiarę. Teraz musimy płacić za naszą ślepą łatwowierność”.

Niemówność znalezienia pracy, wyprzedzanie rzeczy i grożący głód i nędza, ciągle oczekiwanie aresztu i rozpaczliwe próby wydobycia się zagranicę. Wreszcie areszt, Łubianka, Butyrki. Przepelnione na wpół nagimi kobietami cele, parasze i ubikacje, nocne badania i ich metody. Barwne opisy poszczególnych więźniarek i zachowania się ich w więzieniu. I znowu są to przeważnie komunistki, niekiedy bardzo żarliwe:

“Ich przedstawicielką była Katia Siemionowa, która stanowiła nie tylko typ więźniarki lecz również dobrze reprezentowała współczesne pokolenie rosyjskie. Katia była małą przysadziłą kobietą, około lat 30 z gładkimi krótkimi włosami, odrzuconymi przy pomocy grzebienia do tyłu. Poruszała się po sali w siatkowej męskiej koszulce i krótkich czarnych majteczkach. Ruchy jej były ostentacyjnie męskie. Miała zwyczaj spinania majteczek tak, iż robiła wrażenie przepasanej w pasie i na przechadzce zazwyczaj maszerowała na czele, z piersią naprzód i podniesioną głową, jak gdyby defilowała podczas manifestacji. Wówczas gdy byłam już “starą” więźniarką przewencyjną, rozpoczęłam któregoś dnia rozmowę z Katia...”

— Właściwie za co cię aresztowano?

— Padłam ofiarą trockistowskiej kalumnii. Ale oni mi zapłacą, ci bandyci. Będą jeszcze mieli ze mną do czynienia, mówią zapalając się.

— A zatem jesteś tak samo niewinna, jak wszystkie my tutaj?, powiedziałam kontynuując rozmowę.

— Jak można mówić coś podobnego! Ja znam tylko swoją sprawę oraz kilku przyjaciółek. Trzeba ci wiedzieć, że w mojej rodzinie jest dziewięciu stachanowców i że ja byłam znana w moim warsztacie jako bezpartyjna bolszewiczka.

— Ależ Katiu, czyż nie sądzisz, że wszystkie te sto dziesięć kobiet z naszej celi są zupełnie tak samo niewinne, jak ty? Przecież rozmawiałaś z większością z nich na temat powodów ich aresztowania. Czyż nie masz wrażenia, że je aresztowano niesłusznie?

— Za mało się jeszcze aresztuje. Musimy się bronić przed zdrajcami, nawet kosztem kilku niewinnych. Gdy rąbnie się drzewo, lecą drzazgi”.

Zupełnie inny w relacji autorki jest typ «żony».

“Małżonki wiedzą że po aresztowaniu ich mężów przyjdą i po nie, toteż przygotowują zawczasu wszystko, czego mogą potrzebować na Syberii.

Pewnego dnia przybyła “nowa”. Za olbrzymim węzłem wtoczyła się przez drzwi celi przystojna, mała okrągła brunetka, uczesana a la Gretchen. Rzuciła się ze szlochom na deski, krzyżąc “Za co? Za co?”.

Spojrzałam na nią z sympatią. Obok mnie profesorka gimnastyki zaawazyła zjadliwie:

— Typ żony. Poczekaj, za tydzień się pocieszysz. Na Syberii znajdzie szybko męża obozowego. Ja znam ten rodzaj kobiet.

Po pewnym okresie szlochów “Za co?”, przybyła nagle wrzasnęła:

— **Moi kowry, o Boże, moi kowry!**

— Co ona mówi, zapytałam.

— Teraz lamentuje po swoich dywanach, wytłumaczyła mi sąsiadka.

Później dowiedzieliśmy się, że zostawiła w domu trzyletnie dziecko, ale nie do niego były skierowane jej okrzyki rozpacz.

Inna nowa, matka trojga dzieci, oświadczyła odzyskując oddech: “Chwała Bogu, że zostałam aresztowana, moje dzieci będą przynajmniej miały teraz co jeść”. Ta pozostawała bez pracy po areszcie męża”.

W książce p. Buber przebija często — poświadoma może — nutka niechęci czy nawet pogardy w stosunku do «szarych», przeciętnych, nie związanych z warstwą kierowniczą Rosjan. Nie znając dobrze języka (często przytaczane w książce słowa rosyjskie są przeważnie strasznie zniekształcone), zbliżała się ona w pierwszym rzędzie do tych, z kim łatwiej mogła się porozumieć — przede wszystkim do Niemców, następnie do różnych «sowieckich mniejszości» i wreszcie do znających obce języki Rosjan.

W czasie śledztwa, prowadzonego po niemiecku przez nadwołańskiego Niemca, zakomunikowano p. Buber, że jest «nie tylko kontrrewolucjonistką, lecz także trockistką». Nauczona przez bardziej od niej orientującą się w sowieckich stosunkach Gruzinkę Tasso, żonę naczelnika straży przybocznej Stalina, po zakończeniu «śledztwa» odmówiła podpisania akt, co wcale nie przeszkodziło skazaniu jej, jako «elementu społecznego niebezpiecznego» na 5 lat obozu. Jednocześnie z nią otrzymały wyroki: siostra *narkoma* Unslichta («Rosjanka», Stefania Bruń — na określeniu narodowości przez p. B. nie zawsze można polegać) na lat 8 i kuzynka marszałka Jakira na 10. Widocznie stopień w sowieckiej hierarchii właściwych winowajców wpływał również na wymiary «kar» dla ich żon i krewnych.

Ze względu na swoją pleć autorka miała specjalne pole i kąty obserwacji stosunków w sowieckich obozach. Już przy wsiadaniu do wagonu jej rosyjska koleżanka radziła, by się podawała raczej za prostytutkę, niż za «polityczną»: dla prostytutki znajdowało się wygodniejsze miejsce w największym nawet łokku. *Sex* był wszędzie i zawsze pewną wartością, z której należało korzystać umiejętnie. Przeciętne «sowiecki» zdawały sobie z tego doskonale sprawę. Oburzenie autorki wywołało, że jadąc na Syberię z wyrokami 5—10 lat, stłoczone po szesnaście w jednym małym przedziale, rozpoczęły niezwłocznie «pudrować się, malować i kokietować poprzez kratę żołnierzy. O, jakżeż zniechęciłam wówczas pleć niewieści! Jak mogły one się śmiać i prawie czułości tym, którzy współdziałali w

pozbawieniu nas wolności i wchodzili w skład służby NKWD».

W swym «purytańskim» nastawieniu p. Buber zwymyślała wszystkimi niemieckimi przekleństwami, jakie jej przysły do głowy, młodego *soldata* pilnie ją obserwującego podczas załatwiania najbardziej intymnych spraw w ubikacji wagonowej. «Lecz nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia», notuje rzeczowo. Inaczej w łaźni po przybyciu do Karagandy: tam protesty kobiet, domagających się usunięcia mężczyzn, wywołały tylko «wybuchy śmiechu», zaś ich «przerażliwe piski» w odpowiedzi na «poklepywania» podczas mycia «tylko bardziej podniecały».

O tym jak przedstawiały się stosunki międzypłciowe w obozie dowiedziała się osobista znajoma Stalina już w kilka dni potem. Nosiwoda w pralni, gdzie zaczęła pracować, po zamienieniu kilku słów nagle zaproponował kawałek chleba z masłem i kwaszonym ogórkiem. Ledwo zdążyła przełknąć ostatni kawałek tej niewątpliwie nielegalnej «zdobyczy», «złodziej zbliżył się znowu pełny konfidencji».

— Pajdiom krusnitsia so mnoj, wyszeptał do ucha. (Nieznany mi rosyjski — rzekomo — czasownik we francuskim wydaniu jest przetłumaczony: rouser l'un sur l'autre).

— Co mówicie? Nie rozumiem, ja źle mówię po rosyjsku. Co chcecie, żebym robiła?

«Gdy dorzucił kilka dodatkowych gestów ręki, nie pozostało mi żadnych wątpliwości, iż nasz złodziej chciał zainkasować natychmiast cenę buterbroda i ogórka... Podjęłam rozwianie tych projektów i wytłumaczyłam mu, że jestem Niemką i że u nas sprawy tego rodzaju załatwiają się w inny sposób. Na to wybuchnął śmiechem: «Ha, ha, Jesteś Niemką? Nie, nie, jesteś więźniarką w Karagandzie i jeśli nie zdasz sobie z tego sprawy, rychło zdechniesz z głodu». Po kilku minutach dyskusji, zdecydował widocznie, że jesteśmy zbyt głupie, i dał spokój».

Inaczej, znacznie bardziej subtelnie i rzeczowo, podszedł do sprawy obozowy fryzjer, «sympatyczny młody Gruzin». Kilka razy podstrzygł panią bezpłatnie, ułatwił jej uzyskanie bardziej «popłatnej» pracy i dopiero potem, gdy zjawiła się u niego już jako płatna klientka, strzygąc ją «starannie i powoli», rozpoczął rzeczową rozmowę.

— Jak znajdujecie waszą pracę? Który macie kocioł? I zaraz, bez pauzy: «Czy macie już męża obozowego?».

Odpowiedziałam, śmiejąc się, że nie. Po krótkiej pauzie:

— Czy nie chcielibyście zostać moją żoną obozową? Zarabiam 25 rubli miesięcznie i mam dobre stosunki w kuchni, dostaję mięso i wszystko, co chcę. Poza tym sypiam w oddzielnym pomieszczeniu i, jeśli zostaniesz moją żoną, będziesz mogła codziennie myć się w łaźni.

«Wygłosił tę tyradę, jakby się jej nauczył na pamięć. Gdy mu oświadczyłam że wszystkiego tego jeszcze za mało dla małżeństwa, że przecież trzeba jeszcze się poznać i pokochać, powiedział:

— Tak, rozumiem, trzeba. Ale na Syberii kobieta musi mieć męża obozowego, jeśli nie chce umrzeć z głodu».

«Obiecałam mu namyślić się i dać odpowiedź później».

Zgodził się czekać tydzień, z książki jednak nie dowiadujemy się, jak brzmiała ostateczna odpowiedź, możemy tylko wnioskować, iż była negatywna.

Niejasne — ponoć dla samej autorki również — były intencje pracującego w warsztatach obozowych byłego maszynisty kolejowego, narodowości kazachskiej. Miał ją obdarować bezinteresownie obozowym *kociotkiem* (puszka po konserwach), kubkiem i wreszcie ładnym, o inkrustowanej rękojeści, sztylcikiem-nożem. W rozmowach zaś opowiadał o kazachskim ruchu oporu i zachwycał się Hitlerem, jako nadzieją na wyzwolenie z sowieckiej niewoli.

Dopiero młody brunet o dużych brązowych oczach, wesoły i rozśpiewany, «litewski towarzysz», gruzlik, Borys Resnik, który po ucieczce z więzienia na Litwie przedostał się nielegalnie do «ojczyzny wszystkich proletariuszy» i tu po kilku miesiącach został, jako «szpieg» i «prowokator» litewskiej *ochrony*, skazany na 8 lat obozu, uzyskał «obozową przyjaźń» autorki.

«Borys brudny, nieogolony, w łachmanach. Ja z nogami owiniętymi w gałgany, w kaloszach numer 45. Borys nosił nasze puszki po konserwach».

«Gdy wieczorem wyciągałam się na rojących się od pluskiew deskach, uśmiech nie chciał zgasnąć w kącikach moich ust. Nic nie mogło już sprawić mi cierpienia. Nieskończone szeregi małych słoneczniczków mogły sobie maszerować przed mymi zamkniętymi oczami, ich roztki, grube i mięsiste, stawać się coraz ogromniejsze i rozciągać się aż po za horyzont, coż to mogło dla mnie znaczyć? Jutro będzie miało znowu sens. Borys będzie dla mnie śpiewał litewskie piosenki».

Ten niezwykle dla sowieckiego obozu romans dwojga teoretycznych wyznawców materializmu ekonomicznego, pozwalający im zapomnieć o «okropności długich dni pracy», o głodzie, «o podłej złośliwości współwięźniów», «o strasznych nocach z pluskwami i wszami» i zamiast tego wszystkiego śnić «zbliżające się ku nim niebiosy» oraz marzyć o «odzyskaniu wiary», nie mógł mieć cech trwałości. Po dwóch miesiącach Borys został wysłany do obozów dalekowschodnich co przy jego zdrowiu «oznaczało wyrok śmierci». Greta po wyjeździe Borysa poszła do niezbyt bezpiecznej pracy zwalczania epidemicznie szerzącej się wśród bydła w Kazachstanie przyszcycy (*brucellose*), później pracowała jako woziwoda z dwoma na wpół dzikimi bawołami w stepie, walczyła na słowa i pięści z prostytutkami i *bytowiczkami*, nosiła kwintalowe worki ze zbożem, aż wreszcie zachorowała na przyszcycę i trafiła do szpitala. Tam więczień-doktor medycyny z Lipska uratował jej życie, nie tylko lecząc z ciężkiej choroby, lecz nadto wydając zaświadczenie, że z powodu ogólnego osłabienia organizmu nie może być używana do prac fizycznych.

Na skutek tego zaświadczenia przydzielono ją naprzód do

składu warzyw później, w grudniu 1939 r., do pracy biurowej. Praca przy warzywach pozwoliła na «dożywianie» licznych koleżanek. Wprawdzie wszystkie więźniarki tam pracujące były rewidowane raz przy wyjściu ze składu, drugi przy wejściu do baraku, «polityczne» macano tylko po plecach i bokach, natomiast *bytowiczkom* i aspołecznym obmacywano także piersi i brzuchy. Ten to «przywilej» wykorzystała p. Buber.

«Sporządziłam worek, który podwijałam sobie dookoła brzucha na sznurku. Należało go stopniowo napełnić w ciągu dnia ziemniakami i marchwią. Wsuwałam jeszcze kilka cebul pomiędzy piersi i, omdlewając ze strachu, rozpoczynałam drogę powrotną. Lecz gra warta była trudu. Co to za radość była w całym pokoju podczas wypróżniania worka. Jedna z nas oczywiście stała przy drzwiach, trzymając je mocno zamknięte, by żadna więźniarka z innych pokoiów czegoś nie zauważyła. Stara *dniewalna* (posługaczka-stróżka) gotowała nam ziemniaczankę w kilku wielkich puszkach po konserwach. W tym celu spędzała cały dzień, kradnąc węgiel. Każda otrzymywała swoją porcję i już po paru tygodniach można było stwierdzić poważną poprawę naszego stanu».

W biurze było p. Buber jeszcze lepiej. Spotkała tam wiele koleżanek, komunistek i dygniterek, z moskiewskiego więzienia, które ją częstowały herbatą z cukrem i smażonymi kartoflami z mięsem. Wkrótce jednak nadeszła depecha wzywająca ją do centrali obozu w Dolince. Stamtąd z kilku innymi Niemkami odesłano do Moskwy. Jechały tam pociągiem osobowym, w towarzystwie młodej enkawudzistki i dwóch żołnierzy, ulokowanych w sąsiednim przydziale. Dziwny widok podróżniczek: «olbrzymie gumowe buciory na nogach owiniętych w najbardziej nieprawdopodobne szmaty, watowane kołpaki na głowach, i przede wszystkim twarze bardzo charakterystycznie znaczone obozem», wywoływał powszechne zainteresowanie innych podróżnych. Ponieważ jednak, stosownie do surowej instrukcji nie odpowiadały one na żadne skierowane do nich pytania, po chwili milczenia na twarzach pytających objawiało się nagle przerażenie, wstrząsali oni głowami i szybko oddalali się od strasznego przedziału. Więźniarki natomiast «pękały ze śmiechu». Ich dobry humor tłumaczył się obdzieleniem przez enkawudzistkę w wagonie dużym bochenkiem białego chleba i po kilowej puszcze szynki każdą.

Moskwa spotkała je pieśnią: *Szyroka strana moja rodnaja, gdzie tak wolno dyszet czelowiek*. Zachwycona dworcem enkawudzistką, która była w Moskwie po raz pierwszy, obdzieliła je na zmianę lodami i pierożkami, z mięsem, ryżem i konfiturami. Sama jadła więcej od więźniarek, toteż w końcu strasznie się rozchorowała w «czarnym kuku» odwożącym je do Butyrek. Tam, w towarzystwie innych Niemek zwożonych z różnych więzień i obozów i w bardzo dobrych warunkach, «z każdym dniem robiliśmy się coraz bardziej kwitnące, tłuste i optymistycznie na-

strojone». Gdy po tygodniu — prawdopodobnie z przejedzenia — dostały kolek w brzuchach, natychmiast zjawił się lekarz z dwiema siostrami.

«Zostały zarządzone: odpoczynek w łóżku, dieta i lekarstwa. Odwiedzano nas kilka razy dziennie by sprawdzić stan naszego zdrowia. Wylegiwałyśmy się w łózkach, śmiałyśmy się i kręciły głowami na całą tę komedię. Na Syberii można było mieć krwawą biegunkę w ciągu miesiąca i nikt na to nie zwracał uwagi. Jeśli nie miałś 38° gorączki, musiałś iść w pole do pracy od wschodu do zachodu słońca. A teraz tak pieczołowicie dbano o nasze zdrowie. Jakąż wartość nasze życie uzyskało nagle w oczach NKWD?».

Spodziewając się odzyskać wolność, komunistki niemieckie się naradzały, czy robotnikom zagranicą opowiadać o swoich przeżyciach w ZSSR. Gdy p. Buber wyraziła opinię, iż będzie to ich obowiązkiem, gdyż zbyt już długo były one, nieświadomym co prawda, narzędziem GPU, była posłanka komunistyczna Roberta Gropper, przetrzymana przez dwa lata w sowieckim więzieniu przewencyjnym, zawołała «drżącym głosem»: «Na miłość Boga nie rób tego, nie masz prawa odbierać robotnikom ich złudzeń, ich ostatniej nadziei».

Radosne nastroje wkrótce uległy pewnemu zwarzeniu, gdy się wyjaśniło, że poszczególnym z więźniarek jest proponowane zaangażowanie się do pracy dla NKWD. Jedna z nich, znana aktorka niemiecka, Karola Neher, skazana w ZSSR na 10 lat, która stanowczo odmówiła i przyznała się do tego przed koleżankami, została od nich oddzielona i pozostała ostatecznie w moskiewskim więzieniu. Inne zaprowadzono naprzód do eleganckiego fryzjera, następnie do pokoju pełnego bielizny, obuwia i ubrania, gdzie je elegancko («choć niemodnie» — skarży się p. Buber) ubrano od stóp do głowy. Później kazano podpisać dokument o zamianie kary obozu poprawczego na natychmiastową banicję z granic ZSSR. Na pytanie dokąd zostaną odesłane, odmówiono odpowiedzi.

W pierwszych dniach lutego 1940 r. p. Buber oraz jeszcze jedną Niemkę, której mąż został rozstrzelany po wielkim procesie moskiewskim w 1936 r., załadowano na dworcu Białoruskim do wypełnionego już mężczyznami wagonu więziennego. Przez pewien czas łudziły się, że w Mińsku zawrócą ich ku granicy litewskiej, ostatecznie jednak 8. II. wyładowano w Brześciu i tam przekazano władzom niemieckim. Trzech mężczyzn: Żyd z Węgier, niemiecki profesor i robotnik z Drezna, próbowało stawiać opór; zostali siłą przeniesieni przez most na Bugu. Z Brześcia więźniowie zostali odwiezieni pociągiem do Białej, gdzie autorka miała widzieć w więzieniu przekupniów chińskich zamarzających z zimna i «polskiego arystokratę» w dobrze opalanej i ładnie umeblowanej celi, obsługiwanego przy obiedzie z winem przez lokaja. W więzieniu w Lublinie zetknę-

ła się z komunistkami polskimi, które, gdy im zaczęła opowiadać o swych przejściach w Rosji, natychmiast odwróciły się gwałtownie i odtąd unikały, jak trędowatej.

Po przytoczeniu kilku obrazków z niemieckiego śledztwa i więzień, przy których metody sowieckie wyglądają bardzo niekorzystnie, francuskie wydanie książki p. Buber kończy się opisem przygotowań do wyjazdu do Ravensbrücka i rozmowy z przebywającą już od lat kilku w więzieniach i obozach hitlerowskich komunistką niemiecką. Po wysłuchaniu opowiadań o Sowietach mówiła ona ze łzami w oczach:

„Widzisz, Greto, w ciągu moich lat więzienia, ja kurczowo się trzymałam wszystkiego tego, co komuniści opowiadają o Rosji. Jakbym mogła wytrzymać inaczej? To była nasza jedyna nadzieja. Ah, gdybym mogła wątpić w twe słowa, gdy teraz na drodze do obozu koncentracyjnego odbierasz mi tę wiarę. Po cóż jesteśmy skazane na dalsze życie?”

Nie wiem, czy niemieckie i szwedzkie wydania książki p. Buber pt. *Więźniarka Stalina i Hitlera* zawierają dalsze rozdziały z opisem życia w obozie hitlerowskim. Porównanie go z opisem życia w Karagandzie mogłoby być bardzo interesujące.

Na ogół książka p. Buber jest napisana żywo i z pewnym talentem literackim. Niektóre nie pozbawione sentymentu obrazki, jak np. opisy «polowania» dygnitarza NKWD na zabłąkaną parę dzikich kaczek, czy wyprawy konwojenta Kazacha po chleb dla więźniów, czy wreszcie «wabienia» pieśnią przez młodą muzułmankę swych rodaków, niewątpliwie pozostaną długo w pamięci czytelnika. Daje ona obraz sowieckiego obozu pod nieco innym, niż większość dotychczasowych książek, kątem widzenia, nie wnosi jednak nic zasadniczo nowego, a nawet można wyrazić pewne wątpliwości, czy obraz ten we wszystkich szczegółach odpowiada całemu tragizmowi rzeczywistości.

3.

Książka p. Antoniego Ekarta*) częściowo omawia te same czasy i nawet te same «punkty» obozu w Kołtasie, co książka dr Margolina. Stanowi jednak pod pewnym względem jej przeciwieństwo. Pomimo pozornej szczerości i podkreślonego w przedmowie ściśle osobistego charakteru opowiadania, niewiele dowiadujemy się z niej o autorze i możemy tylko wnioskować, iż należy do innego niż dr Margolin pokolenia i innej «klasy».

Urodzony w 1912 r., syn «szefa wielkiego przedsiębiorstwa przemysłowego» (217**), autor uważał się — aczkolwiek, jak wy-

*) EKART Antoni: *Echappé de Russie. Le cauchemar des jours et des nuits*. Paris 1950, Hachette, str. 444.

**) Cyfry w nawiasach oznaczają strony omawianej książki.

nika z kilku wzmianek w książce, było to z różnych stron kwestionowane (107, 240) — za Polaka i nawet «patriotę polskiego». Miał studiować i wiele podróżować po zagranicy; dyplom inżyniera uzyskał w Genewie. Wrzesień zastał go w Polsce na stanowisku pracownika jakiejś fabryki, położonej w pobliżu gór, gdzie częste były wybuchy min (9). Nie wspominając nic o swym stosunku do służby wojskowej, mówi o przybyciu samochodem z żoną do «Galicji Wschodniej», gdzie «czuliśmy się bezpiecznie... i mogliśmy organizować naszą obronę przeciwko Hitlerowi». Brak benzyny zmusił go do spędzenia nocy z 16/17 «w stodole w miasteczku Kopyńczyce, około 15 km od granicy sowieckiej».

Opis wypadków dalszych kilku miesięcy jest niezwykle zwięzły i dość mętny. Pp. Ekart przybywają do Lwowa, wahają się co do kierunku, w którym mają uciekać, i ostatecznie decydują się na Wilno, gdzie, jako w «stolicy Litwy, nie było jeszcze Rosjan». Przy pomocy wuja, który w Wilnie «był *autrefois chargé de cours à l'Université*», otrzymują «*sauf-conduit*» i jadą do Łidy. Próby przedostanie się do Wilna kończą się jednak niepowodzeniem, i w marcu 1940 pp. Ekart zostają aresztowani przez sowiecki patrol graniczny.

Albo rękopis, albo korekta książki musiały być bardzo niedbałe i trzeba dużej znajomości miejscowych stosunków, by np. w *Cazmian* poznać podwileńską Oszmianę, zaś w «profesorze Muklaszewskim» zamęczonego w więzieniu sowieckim, prezydenta miasta Wilna dra Witolda Maliszewskiego. Fantastyczne szczegóły, jakie podaje o innych, osobiście mi znanych, swych współtowarzyszach celi w więzieniu w Wilejce: Jerzym Preisie (*avocat polonais célèbre, Conseiller juridique de l'Ambassade soviétique à Varsovie*) i Zygmuncie Ruszczycu (*Ruszczyc... administrateur du domaine Wilanow, près de Varsovie*) wzbudzają podejrzenia co do ścisłości i dokładności innych twierdzeń autora.

Po otrzymaniu «łagodnego» wyroku 3 lat za próbę przejścia «granicy», w dniu 27 października 1940 r. p. Ekart zostaje wywieziony do Rosji. Po drodze z wilejskiego więzienia na dworzec *dans l'obscurité de soir* potrafił odnaleźć wśród tłumu więźniów swą żonę i *pendant une demi-heure, je marchais l'ayant à mon bras*. Było to ich ostatnie na wiele lat spotkanie: w dniu 3. XI p. Ekart był już w «L.P.F.» — punkcie obozowym «F» obozu Kargopolskiego. «Nikt z nas nie był nigdy w obozie i nikt nie zna dostatecznie dobrze Rosji, by wiedzieć gdzie leży Kargopol», notuje rzeczowo autor. Możemy go poinformować, że na północny-wschód od Archangielska.

Przeniesiony następnie do punktu obozowego Aleksiejewka II próbuje bez powodzenia, dostać się do szpitala. Gdy zrozpaczony wpada w apatię, zostaje raptem zawezwany przez obozowego

proraba (kierownika robót), który, ni stąd ni zowąd, zaczyna mu udzielać dobrych rad («otrząsnąć się z bierności. Tu trzeba jeść lub być zjedzonym... Macie na pewno dość inteligencji i wiadomości, by uzyskać stanowisko wśród więźniów, którzy mają szanse wyzycia... Potrzeba *blatu*... Doktor nadzwyczaj lubi ładne koszule...») i nawet na pożegnanie obdziela paczką machorki. Rada skutkuje i autor dostaje się do szpitala, nie tyle w charakterze chorego, co posługacza. Zaznaczyć trzeba, że sądząc z książki ma on w ogóle tzw. «szczęście do ludzi». Nie tylko współwięźniowie, lecz nawet funkcjonariusze sowieccy wdają się z nim raz po raz w szczerze rozmowy i wyjaśniają mu swój, czy też oficjalny punkt widzenia. Tak np. *sledowatiel* w Wilejce uzasadnia masowość aresztów (30), «flegmatyczny» żołnierz NKWD łagodnie tłumaczy powód sadzania eskortowanych więźniów na ziemię w wypadku zatrzymania się konwoju (39/40), pierwszy ze spotkanych w punkcie «F» więźniów opowiada jak było tam źle w 1937 r. i jak «dobrze» jest teraz (45), Niemka pielęgniarka w szpitalu zapewnia, że na wolności w Sowietach żyje się nie wiele lepiej niż w obozie (59) itp. itp.

Gdy pierwszy *blat* przestał działać i p. Ekart miał być odesłany do pracy w lesie (60), wykręca się od tego, również prawdopodobnie przy pomocy *blatu*, lecz w sposób w książce nie opisany. Dostaje się do centrali obozu w Jerszowie, gdzie znowuż inżynierowie-więźniowie na funkcjach wdają się z nim od razu w szczerze rozmowy o treści antysowieckiej, i skąd po kilku tygodniach zostaje odesłany z północy do centralnej Rosji na budowę elektrowni na rzece Kłaźmie. Tam od marca 1941 r. jest w «sytuacji stosunkowo dobrej» i żyje w «warunkach znoszonych» (84). Tam też zostaje go wybuch wojny niemiecko-sowieckiej, co spowodowało, że (wtedy dopiero!) więźniowie polityczni, z p. Ekartem łącznie, zostali «zamknięci w specjalnym baraku otoczonym drutem kolczastym i pilnowanym przez strażnika z psem» (86).

Wiadomość o «amnestii» była pilnie zatajana przez władze obozowe, ale p. Ekart nie tylko dowiedział się o niej, lecz «przekonany o swoich prawach» wysunął się jako adwokat innych i stał się «*un personnage en vue*, czymś w rodzaju ochotniczego (*bénévole*) wodza grupy polskiej». Wywołało to zainteresowanie się jego osobą kontrwywiadu NKWD (90).

W połowie sierpnia 1941 r. więźniów pod wzmoczoną strażą wysyłają spiesznym marszem przez miasto Włodzimierz na budowę tajnego lotniska wojennego pod miasteczkiem Bogoliubowo przy drodze z Moskwy do Gorkiego. «Stamtąd wkrótce zwalniają członków «grupy polskiej»: Frenkiela, Sztajmana i Truskiera, p. Ekart natomiast, który ma lżejszy od nich wyrok, na skutek intryg obywatela sowieckiego Kaczanowskiego u przedstawicielki kontrwywiadu, pozostaje w obozie, by z końcem listopada zostać odesłanym do więzienia w Iwanowie. Nie jest

mu tam jednak źle: lepiej, niż chłopom rosyjskim w kołchozie (104).

28 lutego 1942 r. wzywa go z celi major NKWD by zakomunikować, że ma informacje, iż p. Ekart jest szpiegiem niemieckim. Zarzut ten autor łatwo odpiera uwagą, że przecież opuścił Warszawę przed przybyciem Niemców, nie ma żadnych środków łączności z nimi, ani żadnej dobrej racji by być po ich stronie. Wówczas major zmienia temat i zapytuje, co by robił, gdyby uzyskał wolność. Na patriotyczne oświadczenie p. Ekarta, iż niezwłocznie by się zaciągnął do armii polskiej w ZSSR, odpowiada, że to jest niemożliwe, gdyż tam nie przyjmują «takich jak wy». Okazuje się, że major uważa p. Ekarta za Żyda, na co ten mu wyjaśnia, że jest Polakiem. Pomimo to major upiera się, że wstąpienie p. Ekarta do wojska polskiego jest niemożliwe i komunikuje, że ma dla niego «inną propozycję». Chodzi o pomoc w ujawnianiu szpiegów niemieckich wśród pracujących w Iwanowie licznych Żydów, uchodźców z Łodzi.

P. Ekart licznie się oburza na tę propozycję szpiegowania swych współrodaków, po namyśle jednak i dodatkowych wyjaśnieniach majora, godzi się by komunikować władzom sowieckim, jeśli mu się zdarzy spotkać niemieckiego szpiega. Podpisuje odpowiednią deklarację, zostaje zwolniony z więzienia i... trafia w straszne sidła NKWD. Dalsze relacje autora o 15 miesiącach spędzonych na wolności w Iwanowskiej okolicy wydają się pełne wewnętrznych sprzeczności i są zupełnie niezrozumiałe nie tylko dla przeciętnego Europejczyka, lecz również i dla osób mniej lub więcej obeznanych z rzeczywistością sowiecką.

P. Ekart bardzo się wstydzi przyjętych na siebie wobec N. K. W. D. zobowiązań, a jednocześnie zwierza się z nich wobec co najmniej 5 osób (194). Przechodzi straszne męki przed każdą wizytą na ulicy Karola Marksa, a jednak chodzi tam regularnie. Nie odmawia odpowiedzi na żadne pytanie, a jednocześnie nie udziela o nikim żadnych informacji (157). Jego przełożeni są o nim dobrego zdania (151), wypłacają mu «premie» w naturze (196), a jednocześnie stale mu grożą czymś strasznym i w pewnej chwili wręcz oświadczają, iż od roku czyhają na niego (205). Przebywając w centralnej Rosji, o «dwa dni marszu» od Moskwy (83), nie może wejść w kontakt z Ambasadą R.P. i podziela opinię, iż «łatwiej jest przejść wszystkie granice europejskie od Warszawy do Lizbony, niż spróbować przejechać z jednego sowieckiego okręgu do innego» (150). Nic nie wie, że w tym samym czasie dziesiątki czy nawet setki tysięcy «amnestionowanych» Polaków dociera z najdalej położonych *łagrów*, bądź to do armii polskiej, bądź do ambasady czy jej delegatów. Jednego z takich delegatów, czy raczej mężów zaufania z polecenia NKWD w Kineszmie odwiedza p. Ekart (rozd. XVI), a jednocześnie zamierza wysłać dla nawiązania kontaktu z ambasadą

i szukania tam ratunku i pomocy polską komunistkę z Łodzi, Genię Penczynę (178).

Wreszcie gdy, gdzieś prawdopodobnie już w maju 1943 r., dowiaduje się, że do tworzonej wówczas dywizji Berlinga ochotnicy nie są przyjmowani (201), gdy, na skutek intryg NKWD, zostaje zwolniony od przymusowej do tej dywizji mobilizacji (202), gdy zapytany podczas kolejnej wizyty na Karola Marksa o opinię na temat «rozwiązania Kominternu» udziela niezadowolniającej odpowiedzi i dowiaduje się w konsekwencji, że NKWD go podejrzewa o zdradę tajemnicy współpracy z nim (204), gdy czuje dookoła siebie zacieśniające się macki, rozumie, że musi «ulec w walce, którą tak długo prowadził dla ratowania swej wolności» (207). Pisze raport na samego siebie, w którym zarzuca NKWD, że «pod stałą groźbą aresztu zmuszało go do popełniania czynów, które były zasadniczo sprzeczne z jego charakterem, wychowaniem i patriotyzmem, wpajającym weli od lat najmłodszych. NKWD pragnęło go skłonić do denuncjowania innych Polaków, których jedynym przestępstwem było, że się czuli Polakami równie jak on, i że namiętnie pragnęli wrócić do swego kraju» (208). Po złożeniu tego «raportu» w dniu 1 czerwca 1943 r. zostaje niezwłocznie aresztowany pod zarzutem «ujawnienia tajemnic państwowych».

Opisując swe ponowne śledztwo p. Ekart, bez specjalnej przykrości i jedynie w celu scharakteryzowania «umysłowości sowieckiej», przytacza podnoszone wówczas «zarzuty», że jego ojciec i inne osoby z jego rodziny były w *relations étroites* z członkami rządu polskiego, że jego żona była kuzynką marszałka Rydza-Śmigłego, którego często odwiedzali w Warszawie (217/8) itp. Gdy uprzednio storturowany przyjaciel oświadcza podczas konferencji, że oskarżony w czerwcu 1942 r. mówił mu, iż wolność słowa i prasy w Polsce były większe niż w ZSSR i że przyczyną głodu w Rosji jest kolektywizacja, p. Ekart bez chwili wahania to potwierdza, pomimo, iż zdaje sobie sprawę, że przyznanie się do «propagandy antysowieckiej» spowoduje objęcie go «straszny» art. 58 K. K. W konsekwencji w dniu 14 października 1943 r. zostaje skazany na 10 lat obozu w Workucie (231).

Ponieważ władze sowieckie nie mają zwyczaju zawczasu informować więźniów o miejscu odbywania «kary», toteż p. Ekart do Workuty, na którą ponoć został oficjalnie skazany, właściwie nigdy nie dojechał. Na czwarty dzień po wyjeździe z Iwanowa był w Kottłasie i trafił, jak twierdzi, na *pieresylnyj punkt Kottlaskogo sielskochoziajstwiennego tagieria* (punkt etapowy obozu rolniczego w Kottłasie). O *blacie* tym razem nie wspomina. Po miesiącu już uważa się za *dochodiącą* i zwraca się do szpitala by się dowiedzieć, że «jeszcze za wcześniej» i że nie ma tam dla niego miejsca. Poprzez Besarabczyka Akermana dostaje się do szefa sekcji sanitarnej obozu, Raisy Bukan, która przyjmuje go serdecznie i wykazuje duże zainteresowanie jego

przeszłością oraz okolicznościami, które go sprowadziły do obozu. Ona też skierowuje go do «baraku szpitalu Nr 10», przeznaczonego dla «chorych częściowo», gdzie p. Ekart widzi «120 ciał, które już się zaczęły rozkładać za życia». Pierwszej zaraz nocy wzywa go do siebie, do kąta oddzielonego przepierzeniem od reszty sali, kierownik tego baraku dr Berger. «Na łóżku pod jedwabną brązową kołdrą zobaczyłem człowieka ubranego w elegancki płaszcz z kołnierzem z wydry». Pochłonięty pracą doktor kazał mu zaczekać i dopiero po dłuższej chwili, tłumacząc się, iż jedyną jego «deską ratunku w tym okropnym miejscu» są studia matematyczne, zademonstrował studiowaną książkę, na pierwszej stronie, której miał widnieć tytuł: *Matematyka specjalna. Rachunek Różniczkowy*. Powiedziawszy, że p. Raisa «dużo mu mówiła o nim» i przedstawiwszy się jako prezes Organizacji Syjonistycznej na Litwie, dr Berger był nieco zgorzogny, że p. Ekart nie jest syjonistą, lecz już w drugim pokoleniu Polakiem (240). Pomimo to usprawiedliwiał się przed nim, że ze swej nieco większej niż przeciętna racji będzie dokarmił nie jego, lecz znajdującego się na sali w stanie krytycznym rabina z Wilna, oraz obiecał spróbować możliwie natychmiast urządzić go w baraku jako swego pomocnika.

Zostawszy w baraku wśród «120 rozkładających się ciał» (dr Berger mówił co prawda tylko 100 chorych na 70 łózkach) p. Ekart «czuł się jak w raj» (241). Nie wiadomo dlaczego miało być «zupełnie naturalne, że jego stosunki z dr Bergerem stały coraz bardziej intymne» (244). Doktor opowiedział mu całą swoją biografię i, gdy w grudniu 1943 został wyznaczony na naczelnego lekarza «baraku-szpitala Nr 5» przeznaczonego dla specjalnie ciężkich wypadków, zabrał p. Ekarta z sobą. «Jego wpływ na naczelnego lekarza szpitala był tak duży, że nie wywołało to żadnej kwestii» (247).

W baraku Nr 5, skąd «codziennie wynoszono trupy», zdolny i inteligentny p. Ekart, z zawodu inżynier, został «prawdziwym szefem administracyjnym» oraz, by odciążyć 63 letniego dr Bergera, pomocnikiem lekarskim, początkowo co prawda — do lata 1944 r., kiedy zdał pomyślnie odpowiedni egzamin — tylko nieoficjalnym. Wspólnie z dr Bergerem zrobił szereg «wynałazków», ratujących życie wielu więźniów, co wzmocniło jego autorytet. Gdy, pominięty przy nowej «amnestii» dla Polaków w październiku 1944 r., miał być w listopadzie zabrany z Kottlasu do Workuty, chowa się w magazynie odzieżowym i w ten sposób unika transportu, co uchodzi mu na sucho. Skomunikowawszy się przy pomocy *Związku Patriotów Polskich*, z pozostającą od września 1941 r. na wolności żoną, która daremnie usiłowała to zrobić przez ambasadę, otrzymuje od niej pomoc materialną i organizuje przysyłkę z Moskwy do obozu licznych podręczników medycznych, dzięki którym posuwa się naprzód w swych studiach i karierze lekarskiej. Gdy w marcu 1945 r. dr Berger rozchorowuje się po otrzymaniu wiadomości o śmierci całej

rodziny w Kownie, p. Ekart z powodzeniem go zastępuje i leczy (320).

W drugiej połowie 1946 r. grupa obozów kotłaskich została, według twierdzenia autora, włączona w skład *Pieczortagu* z centralną siedzibą w Abezie (?). Powoduje to, pomimo różnych starań i interwencji, przesunięcie p. Ekarta dalej na północ, do pieczorskiego obozu etapowego (*camp de triage*) w Koźwie. Tam ma okazję podziwiania wspaniale urządzonej kliniki prof. Ziatkowskiego, Instytutu badawczego botanicznego i zoologicznego, ogrodu botanicznego itd. Liczni obozowi znajomi, których tam spotkał, są bardzo dobrze sytuowani: «od czasu jak opuściłem Polskę, nie widziałem tak urządzonego pokoju i nie jadłem tak doskonałej kolacji» (349). Z tego północnego «raju» we wrześniu 1946 jedzie 300 km dalej na północ do Abezu i nawet, na jeden dzień, dociera do Workuty. W Abezie zostaje przydzielony do obozu pn. *Raibolnica Nr 1 Pieczortaga NKWD* (Szpital rejonowy Nr 1 obozu pieczorskiego). Tam także jest prowadzona praca naukowa w dziedzinie medycyny, zoologii i botaniki (359).

W Abezie p. Ekart czuje się jeszcze lepiej niż w Kotłaskie: należy do obozowej elity, posługaczki sprzątają mu pokój, czyszczą buty, piorą bieliznę, przynoszą jedzenie. Zwiedza z przystojną niewiastą miasto, uczęszcza do teatru. Wkrótce jednak rozkaz *Gulagu* (Główny Zarząd Obozów) wzywa go do Moskwy. Przejżdżając przez Kotłask, przekupuje kaftanem strażnika NKWD i organizuje przesłanie wiadomości do żony, którą już był namówił do «repatriowania» się do Polski. W Moskwie, 22 października 1946 r. trafia do więzienia na Butyrkach, gdzie spędza kilka miesięcy, najprzód wśród inżynierów, potem wśród byłych jeńców sowieckich w Niemczech, następnie «białych» Rosjan z Mandżurii i wreszcie wśród oficerów Armii Krajowej.

Pewnego dnia, już w 1947 r., zostaje zawezwany przez *sledowateľa*, który interesuje się jego ubraniem i poleca mu załatać dziury na rękawach. Następnie przysyłają mu szewca w celu reperacji butów. (Zauważmy, że w stosunku do komunistek niemieckich władze sow. były bardziej hojne). Wreszcie w dniu przez autora nie wskazanym, oficer NKWD odczytuje mu uroczyste następujący «wyrok»:

«W imieniu Związku Socjalistycznych Republik Sowieckich wasza kara zostaje zmniejszona z 10 lat do okresu, który upłynął od dnia wydania wyroku skazującego do dnia dzisiejszego».

Zrobił krótką pauzę po czym zaczął znowu:

«Na prośbę zjednoczonego Rządu Narodowego i Demokracji polskiej (czytał te słowa powoli i z emfazą i patrzył znowuż na mnie) rząd ZSSR zdecydował odesłać was do Polski».

Tegoż dnia, po złożeniu zobowiązania do zachowania w ścisłej

tajemnicy wszystkiego, co widział w więzieniach i obozach sowieckich, p. Ekart w towarzystwie oficera NKWD udaje się *sleepingiem* z Moskwy do Brześcia. Tam w obozie dla odsyłanych do Niemiec jeńców niemieckich jest przetrzymywany jeszcze kilka miesięcy w towarzystwie kilkuset jeńców polskich z kampanii 1939 r., w tym «kilku oficerów», którzy byli w Starobielsku i Kozielsku, zostali przeniesieni do «obozów w okolicy Smoleńska», po czym większość oficerów została zamordowana w lasu katyńskim, zaś «mała grupa» skierowana do Griazowca i stamtąd do Kazachstanu. W tym wypadku p. Ekart nie podaje żadnych nazwisk ani nie przytacza żadnych *personal stories*, których dziesiątki zamieszcza w swej książce. Ponieważ zaś ma wyjątkowe szczęście do spotykania osób związanych z wybitnymi osobistościami, jego opowiadania o kochanku Swietlany Stalinówny, o synowej marszałka Szaposznikowa, o Swietlanie Tuchaczewskiej i wielu innych mogłyby być bardzo interesujące, gdyby nie wątpliwości co do dokładności i ścisłości wszelkich relacji autora.

Energii p. Ekartowej («kuzynki Rydza-Śmigłego»), która otrzymałszy list od męża dotarła z nim do «Wolskiego, szefa gabinetu ministra zajmującego się repatriacją», zawdzięczali przetrzymywani w Brześciu Polacy, natychmiastowe przybycie specjalnego wysłannika z Warszawy w randze kapitana, i zabranie ich po przez Bug. Tak skończyły się «koszmarne dnie i noce» p. Ekarta. Książkę swoją z ich opisem datował w Sztokholmie w czerwcu 1948 r. W *post-scriptum* dedykuje ją pamięci dra Bergera, komunikując jednocześnie o jego śmierci w kwietniu 1948 r. w obozie w Kotłaskie.

«Sprawie doktora Bergera» był poświęcony «*List Otwarty*» dr Margolina, ogłoszony jeszcze w 1946 r. (ob. wyż.). Listem tym Margolin rozpoczął akcję, która przyczyniła się w pewnym stopniu do poruszenia sprawy obozów sowieckich przez Amerykańską Federację Pracy w ONZ (Ob. *Kultura* Nr 4/30, str. 44). Książka p. Ekarta ukazała się we Francji *jednocześnie* z książką Margolina, w czwartym kwartale 1949 r. Znajdujemy w niej wyraźną wzmiankę, że «w ciągu roku wybitny syjonista, doktor filozofii, Juliusz Margolin przeżył w Nr 5» (324). Zaznaczmy, że przez «Nr 5» p. Ekart rozumie «barak-szpital» w «punkcie etapowym obozu rolniczego w Kotłaskie». Z książki dr Margolina dowiadujemy się, że 25 lipca 1944 r. po drodze do Workuty przybył do Kotłasku, gdzie była centrala «*Kotłastagu*» i punkt tranzytowy obozów pieczorskich i polarnych i przebył tam 11 miesięcy, z tego około 4 miesięcy w baraku «szpitalnym» Nr 15, i od grudnia do lutego 1945 w baraku «szpitalnym» Nr 9. Dopiero w lutym 1945 dr Margolin dostał się do baraku Nr 5, «oazy, o której marzyli wszyscy chorzy». Niewymienionym przez dr Margolina z nazwiska naczelnym lekarzem tego «*veritable sanctuaire*» był

un Occidental dont le visage rappelait celui d'Anatol France dans sa vieilleuse, poświęcający ses loisirs à l'étude des mathématiques. Jako inwalida i nocny stróż baraku Nr 5 dr Margolin przebył tam do swego zwolnienia w dniu 21 czerwca 1945, czyli około 4 miesięcy. O chorobie w tym czasie lekarza baraku dr Margolin nie wspomina.

W swoim *post-scriptum* p. Ekart twierdzi, że «złamany przez chorobę i *OTOCZONY SZPIEGAMI*» dr Berger nie przestawał na chwilę walczyć «w obronie wartości, które uważał za istotne». W tym kontekście autor «przypomina» incydent, kiedy podczas «normalnej» (*comme d'habitude*) «dyskusji politycznej» (surowo w obozach zakazanej) «we trójkę», trzeci — *DOKTOR FILOZOFII*, próbował *uzasadniać*, że «praca przymusowa w obozach była koniecznością państwową» i został przez do głębi tym oburzonego doktora Bergera «za kark *WYRZUCONY Z POKOJU*». (Podkreślenia i wersaliki moje W. S.).

Czyżby *post-scriptum* ujawniało przyczyny i cel pojawienia się tej, *FORMALNIE* bardzo «antysowieckiej», książki, która jednak w najmniejszej mierze nie może służyć za źródło rzetelnych informacji o życiu w Sowietach w ogóle i w sowieckich obozach pracy w szczególności?

4.

W zestawieniu w wyżej omówionych książkach o obozach sowieckich i życiu w Rosji ostatnie wydawnictwa polskie*) na te same tematy przedstawiają się raczej skromnie. Składają się na to zarówno względy obiektywne jak i subiektywne, strona merytoryczna jak formalna.

Przede wszystkim obu autorom polskim brakuje właściwego należytego doświadczenia, by napisać coś naprawdę wartościowego i ciekawego o życiu w Sowietach. Kilkutygodniowy pobyt w obozie przymusowej pracy w równej mierze kwalifikuje do ich opisu, jak — *toute proportion gardée* — kilkutygodniowa «wycieczka *Inturista*» do opisu ZSSR. Życie w zasięgu organów ambasady R.P. w okresie «miodowych miesięcy» po pakcie Sikorski-Majski, jak pobyt na «placówce» dyplomatycznej czy konsularnej w ZSSR.

Oczywiste w tych twierdzeniach jest duża przesada. Rzesza Polaków deportowanych w latach 1939-41 do ZSSR, a wśród niej i obaj autorzy *skoszlowali* rzeczywistości życia sowieckiego, od którego obcy dyplomaci z reguły są hermetycznie odgradzeni. Zetknięcie się ich jednak z tym życiem było, pomimo wszystko, zbyt krótkie i zbyt powierzchowne (oraz zbyt «ułatwione» przez posiadanie, jakże cennych w owym okresie,

*) Stanisław Skrzypek, *Rosja jaką widziałem. Wspomnienia z lat 1939-1942*, Montgomeryshire Printing 1949, str. 214.

Franciszek Gonczyński, *Raj Proletariacki*. Londyn, "Gryf" 1950, str. 260.

udostowiereni o «amnestii»), by z nich uczynić w jakimkolwiek stopniu «ekspertów» od Sowietów. Pochodząc z zaborów austriackiego i, bodaj, niemieckiego autorzy nie znali, ani z własnego doświadczenia, ani nawet z tradycji, dawnej Rosji. Stojąc przed wojną daleko od ludzi wyznających poglądy tzw. «marksistowskie», obcy byli zarówno strukturze psychicznej jak i przesłankom doktrynalnym, jakie oficjalnie zatriumfowały w nowej Rosji. Dlatego też rzuceni przez wypadki dziejowe w głąb ZSSR stanęli wobec rzeczywistości podwójnie dla nich egzotycznej: dziwnego płodu nienaturalnego skrzyżowania radykalno-materialistycznych doktryn ze «świętą Rusią». Do rzeczywistości tej nie mogli się ustosunkować inaczej, jak tylko ze wstrętem i pogardą, a nie są to uczucia kwalifikujące do podejmowania obiektywnych studiów. Zanurzeni zbyt blisko dna społecznego nie mieli rozleglejszych perspektyw dla obserwacji. Co najwyżej dokonać mogli, i dokonali, szeregu migawkowych zdjęć wypadków i typów, na które się przypadkowo natknęli, bez możliwości jednak ich racjonalno-krytycznego doboru oraz umieszczenia w odpowiednich kontekstach.

Stwierdzić należy, że wiele z tych zdjęć nie uległo («naturalnemu» wydawałoby się, ze względu na okoliczności, w jakich autorzy trafili do i podróżowali po tak egzotycznym kraju), «retuszowi» przez wyżej wspomniane uczucia. Nie sądzę jednak, by słuszne było wyciąganie jakichś bardziej ogólnych wniosków na podstawie opisanych poszczególnych wypadków. Na przykład by z reguły sowieckie kobiety w «kosztownych futrach» i o «delikatnych twarzach i wypiełgnowanych rękach» ustępowały swoje «miękkie» miejsca w pociągach zwolnionym z obozów chorym Polakom, karmiły ich białym chlebem z szynką i proponowały wypoczynek u swoich siostr w Nowosybirsku (Skrzypek, 155). Lub, by «czarny robotnik» sowiecki miał równie łatwy dostęp do dyrektora fabryki, co «amnestiowany» polski profesor i równie łatwo uzyskiwał jego zgodę na dodatkowe posiłki w fabrycznej stołówce (Gonczyński, 144). By wreszcie żony obywateli sowieckich z reguły obdarzały odwiedzających ich mężów, nieznanym im oświadczeniem «kolegów» z zagranicy, «marynarką, spodniami, koszulą, chusteczką, skarpetkami, jaśkiem i innymi drobiazgami» (153). Są to wypadki równie typowe w Sowietach, co, powiedzmy, w Ameryce otrzymanie przy pierwszej wizycie przez *displaced* profesora, ubiegającego się o katedrę w Harvard, czeku na 10.000 dolarów.

Retuszowane czy nie retuszowane zdjęcia migawkowe są tym cenniejsze im bardziej aktualne. Ogłoszenie w roku 1949 czy 50 zbioru interesujących nawet obrazków z lat 1941/42 charakteru aktualności nie ma. Stosunki w Sowietach w ciągu tych 7 - 8 lat uległy dalszym zmianom i dziś różnią się znacznie od tych, jakie istniały w czasie wojny i «dobrych stosunków» z «rządem londyńskim». Obaj autorzy nie są jednak skłonni traktować

swych prac, jako wspomnień czysto osobistych czy też materiału historycznego. Uważają, iż posiadają one trwalszą obiektywną wartość i są stale aktualne. Żałują, że ukazały się tylko po polsku a nie w językach o zasięgu światowym. Nie bardzo mogą podzielić to zdanie. Tu jednak należy pomówić o pracy każdego z autorów oddzielnie. Również o ich sylwetkach, jak się z tych prac zarysowują.

Dr Stanisław Skrzypek był uczniem i bodaj asystentem uniwersytetu lwowskiego oraz działaczem politycznym ze Stronnictwa Narodowego. Jest autorem kilku przedwojennych prac ekonomiczno-politycznych i publicystycznych. Na emigracji w Londynie wydał parę publikacji poświęconych zagadnieniom ukraińskim. Aresztowany 19 listopada 1939 r. w związku z próbą organizacji przerzucania ludzi za granicę, spędził 3 miesiące w więzieniu we Lwowie i 17 w Moskwie (Łubianka i Butyrki), z tego przeszło 3 miesiące w szpitalu więziennym. Skazany na formalnej rozprawie w dn. 15. I. 1941 r. na 10 lat obozu pracy został wywieziony do *Wiatłaga* w połowie lipca i przebył tam do 2 września, cały czas w szpitalu obozowym. Po zwolnieniu, zanim trafił do wojska polskiego i następnie do ambasady w Kujbyszewie, spędził jeszcze przeszło 3 miesiące w sowieckich szpitalach «cywilnych» w Głazowie i w Czkałowie. Związek sowiecki opuścił 22 sierpnia 1942 r.

Jak z powyższego *calendarium* wynika, przebywając w szpitalach, w ambasadzie i w wojsku, autor nie wiele miał okazji i możliwości oglądania rzeczywistości normalnego i codziennego życia rosyjskiego. A jednak, jak to wyjaśnia w przedmowie, pracę swą poświęca «nie tyle omówieniu przemijających zjawisk i opisowi osobistej niedoli autora... ile przedstawieniu na kanwie wspomnień niektórych podstawowych problemów życia sowieckiego, których upływ kilku lat... w niczym zasadniczo nie mógł zmienić».

Aczkolwiek w dalszym ciągu przedmowy czytamy, że wnioski swe autor opiera «wyłącznie prawie» na «obserwacji życia sowieckiego», trudno uwierzyć, by tak wytrawny autor i doświadczony pracownik naukowy jak dr Skrzypek, istotnie opierał gęsto rozrzucone w książce i niekiedy interesujące uwagi o najróżnorodniejszych zagadnieniach sowieckiego życia politycznego, gospodarczego, społecznego, kulturalnego i obyczajowego «prawie wyłącznie» na... rozmowach ze swymi współtowarzyszami niedoli z więzień i szpitali sowieckich. Tym bardziej, iż jak sam to stwierdza, język rosyjski «zaczął rozumieć» dopiero w więzieniu moskiewskim (55), zaś opowiadania współwięźniów były często do tego stopnia kłamlive, że można by z nich wnioskować «że Rosja jest krajem postępowym, w wielu dziedzinach nawet bardziej zaawansowanym od państw zachodnio-europejskich» (59).

Nie kwestionując tedy słuszności wielu uwag autora, wyrazić

należy przypuszczenie, że do sformułowania ich mu dopomogły nie tylko obserwacje osobiste i opowiadania innych osób w ZSSR, lecz także mniej lub więcej pogłębione i systematyczne studia, jakie nad zagadnieniami sowieckimi odbył już po opuszczeniu Rosji. Ze książka przez to nie stała się «żadnym traktatem o Rosji Sowieckiej, ani też systematycznym i wyczerpującym przedstawieniem wybranych chociażby zagadnień», — to prawda. Nie nabierając charakteru opracowania naukowego, utraciła jednocześnie największą wartość dzieł literackich — ich bezpośredniość i świeżość. Stała się «nijaka», ani «gorąca» ani «zimna».

Dlatego też niesłuszne są, moim zdaniem, żale autora, że wydawcy angielscy odmówili jej wydania, zarówno w roku 1945 jak i w roku 1947. Aczkolwiek ryzykuję, że i na moją osobę ściągając analogiczne żale, wyznam szczerze, że gdybym miał do wyboru wydanie «systematycznego traktatu», czy też «*Rosji jaką widzieli*» dr Margolin, p. Buber-Neumann względnie dr Skrzypek, wątpię bym dał pierwszeństwo książce tego ostatniego.

O osobie p. Franciszka Gonczyńskiego dowiadujemy się z jego książki nie wiele. Musimy mu wierzyć na słowo, że jeszcze w 1936 r. uważał się za człowieka szukającego nowych dróg i myślącego o lepszym jutrze. Z książki wiemy, że był czynnym działaczem Z.W.Z., który nawet w syberyjskim obozie pracy «z urzędu obejmuje kierownictwo», «Józia mianuje zastępcą» i gdy «po kilku godzinach» «Józio włącza do akcji» jeszcze «ptk. dr» i «dr» «Z.W.Z. rozpoczyna się odradzać w obozie w Krasnojarsku» (97). Ze jest usposobiony romantycznie i myśli o gromadzeniu wrzuszających pamiętek historycznych, gdyż niezwłocznie po ogłoszeniu «amnestii» «poleca» «koledże Koszałkowskemu... wziąć garść ziemi z mokradł norylskich i przywieźć do kraju». «Ziemie norylską, wyjaśnia w dalszym ciągu, pragniemy złożyć w przyszlým mauzoleum ku czci Waleriana Łukasińskiego, z którego mąk i cierpień czerpaliśmy wytrwałość i siłę podczas dni, które wydawały się nam beznadziejne» (113).

Jednocześnie w żadnej bodaj z dotychczas ogłoszonych książek o Rosji nie znajdujemy tak licznych i niewątpliwie szczyrych informacji o reakcjach psycho-fizycznych autora na każde grożące mu istotne czy tylko urojone niebezpieczeństwo.

W oczekiwaniu na wezwanie na śledztwo w więzieniu na Zamarstynowie «nie śpi, drży ze strachu jak osika» (45), gdy zostaje wywołany przez strażnika «serce trzepoce, język płacze się w ustach... W ustach brak śliny, nogi uginają się, z żył ucieka wszystka krew» (50). W karetkie więziennej przewożącej go z Zamarstynowa do Brygidek «dreszcz przeszywa jego ciało» (54). Usłyszawszy o zamierzonej przez współtowarzysza w więzieniu «zdradzie ZWZ» natychmiast «myśli, że zemdleje» (62).

Przy pierwszym zawezwaniu na śledztwo w Brygidkach: «Za-

drzałem, jak osika, nogi ugięły się, z żył po prostu uchodziła krew» (68).

Gdy podczas podróży koleją z obozu po «amnestii» «jakiś cywil w czapce z podniesionym daszkiem» prosi «Rysia» szkicującego z okien wagonu kazachskie chaty, by «poszedł za nim», pada nań «blady strach», i aczkolwiek po 15 minutach «Ryś» wraca do przedziału, «krajobraz nam obrzydł, straciliśmy nawet apetyt» (159). Po ponownym aresztowaniu w lipcu 1942, już jako wyższy urzędnik delegatury ambasady R.P. w ZSSR, «drży jak w febrze», gdy go wzywają na *dopros* (237), «zaczyna dygotać ze strachu» podczas śledztwa, którego poszczególne fazy «kończą się parciem kału i moczu; nierzadko schorzały pęcherz nie wytrzymuje naporu» (241). Nawet w momencie ogłoszenia «wyroku na deportację» z ZSSR, gdy zobaczył na biurku swój «paszport polski, a obok niego plik pięciorublówek», usiadł na miękkiej kanapie skórzanej i dygoce (255). Być może wszystkie powyższe reakcje były bardzo naturalne i ludzkie, lecz po co o nich tak szczegółowo się rozpisywać, szczególnie gdy się uważa za swego bohatera Łukaszińskiego.

Książkę swą poświęca autor na jednej stronie «Drogiemu Przyjacielowi . . . Profesorowi Uniwersytetu Warszawskiego», na drugiej zaleca jej przeczytanie «proletariuszom świata», jako «słów prawdy o kraju, którym rządzą ludzie, głoszący, że służą idei stworzenia rajy proletariackiego». W przedmowie twierdzi, że pisał ją «z myślą o robotniku rosyjskim», którego widział, rozmawiał z nim i sam był «przez pewien czas robotnikiem w Sowietach», kiedy próbował «zarobić na życie jako «wolny robotnik» w sowieckim przemyśle». Po takim zaprezentowaniu się zapewnia w dalszym ciągu przedmowy, że «pożywienie robotnika pracującego po 12 i więcej godzin dziennie składa się z kaszy, źle wypieczonego chleba (jeśli jest!) i z jednego śledzia na miesiąc».

Spróbujmy obecnie w świetle podanych w książce danych sprawdzić kwalifikacje autora do mówienia «prawdy o Rosji», jak również stopień prawdziwości przytoczonego wyżej ogólnego twierdzenia o normalnych warunkach pracy iżywieniu «wolnego robotnika» w sowieckim przemyśle.

O poziomie swego wykształcenia i przedwojennym zajęciu autor dyskretnie milczy. Z przypadkowej wzmianki w tekście wnioskować możemy, że pochodzi z poznańskiego. W 1939 r. parokrotnie przechodził granicę pomiędzy okupacją niemiecką i sowiecką i ostatecznie osiadł w południowo-wschodniej Polsce. 17 lipca 1940 r. w związku z jakąś prowokacją w Z.W.Z. został aresztowany we Lwowie. W maju 1941 r. wywożą go z więzienia lwowskiego i po paru miesiącach podróży przez Starobielsk i Krasnojarsk w końcu lipca dociera do położonego na dalekiej północy obozu w Norylsku. W końcu sierpnia zostaje

na podstawie «amnestii» zwolniony z obozu i w połowie września dociera do Omska. 25 października udaje się z Omska na południe i już od 11 listopada pracuje jako funkcjonariusz polskiej placówki opiekuńczej w Taszkencie. W styczniu 1942 jedzie jako kurier do ambasady w Kujbyszewie. Po powrocie zostaje na przykład sekretarzem delegatury ambasady w Taszkencie, następnie, od marca, lustratorem polskich placówek opiekuńczych w republikach środkowo-azjatyckich. 17 lipca 1942 r. zostaje ponownie aresztowany w Stalinabadzie i po trzy miesięcznym pobycie w więzieniu w Taszkencie w połowie listopada deportowany do Persji.

Sam autor wyróżnia w przedmowie okres pobytu w Omsku, gdy pozbawiony wszelkiej pomocy ze strony placówek polskich usiłował «zarobić na życie» jako «wolny robotnik». Tym też okresem zajmijmy się szczegółowiej.

Przy zwalnianiu z obozu w dniu 31 sierpnia 1941 r. «omszczanie otrzymali po 302,75 rubli» oraz *udostowierenią* o «amnestii» (115). Zaraz potem autor kupił 9 kg białego chleba oraz był w «rządowym sklepie» gdzie «można było kupić tytoń, zapalki, po dwie konserwy mięsne, śledzie i świeże rzodkiewki» (116). Po drodze, pierwszego dnia w Igarce, w stołówce publicznej za 3,80 rubla zjadł «kapuśniak z rybą, osobno kawałek ryby ugotowanej w wodzie z trzema połówkami ziemniaków i na deser szklankę niesłodzonej herbaty» (119). Do Omska przybył wraz z towarzyszymi 12 września. «Zaczęli od wyścigu do stołówki»: dostali «po talerzu kapuśniaku, zalanego kwaśnym mlekiem, a na drugim talerzu śledzia i cztery połówki ziemniaków» (130). Na kolację to samo, co na obiad. 16 września *Ewakopunkt* skierował ich do pracy na przystani drzewnej: «pracę zaczęliśmy od zjedzenia obiadu, składającego się ze śledzia i dwóch czy trzech kartofli» (134). Niezadowoleni z warunków pracy nazajutrz do niej nie poszli, lecz udali się na bazar, uyskali w «zamkniętej» stołówce ogrodniczej «po porcji gęstej zupy z kawałkiem chleba» i próbowali nosić walizki na przystani pasażerskiej. 18 września znowu «tylnym wejściem wymknęli się z artelu, aby nie wpaść w szpony NKWD». Poszli «na kaszę», zarobili pół kg chleba i 5 rb. za przeniesienie worka kartofli i sprzedali zniszczoną marynarkę za 50 rb. 19 września oficjalnie przenieśli się do artelu budowlanego, nie pracowali tam jednak, lecz chodzili do muzeum i kina i wreszcie 22 września «urządzili się» w «fabryce owczych kozuchów». Tam pierwszego dnia ładowali ziemniaki, za co dostali «około 30 kg ziemniaków», które ugotowali, dokupili kwaśnego mleka i najedli się «do syta» (143). W stołówce fabrycznej na obiad zjedli zupę z kapustą, okraszoną łyżeczką zsiadłego mleka, kaszę postną, «bifasze» czyli ziemniaczane zrazy z odrobiną mięsa i «danie mięsne», tj. «ziemniaki i mały kotlecik». Na kolację — za specjalnym zezwoleniem dyrektora fabryki — to samo, plus «po

pół litra słodkiego mleka» (144). W ciągu pierwszego tygodnia przy niwelacji drogi «bez wysiłku» zarabiali 16,50 rb. dziennie, w stołowce płacili «łącznie z chlebem dziennie 8,28 rb., prócz tego dodatkowo... po jednym rublu dziennie na kwaśne mleko» (146). Gdy pogoda się zepsuła i praca stała się bardziej ciężka, zaczęli stosować zasadę sowieckich robotników: «jeżeli chcesz żyć, musisz oszukiwać», «w ten sposób zaokrąglając dochody za kopanie do 13 rb. dziennie» (147).

14 października zakończyli prace drogowe, dostali «po 96 rb. na rękę» (prawdopodobnie po opłaceniu stołówki i mieszkania w tatarskiej chacie) i zaczęli pracować na fabryce przy ładowaniu towaru i zwożeniu węgla, za co mieli otrzymywać już tylko po 3-4 rb. dziennie. W związku z tym, po tygodniu zdecydowali się wyjechać z Omska do wojska polskiego i, rozwiązując swój «stosunek służbowy» z fabryką, otrzymali «po 27 rb. zarobku» oraz «bezpłatnie po jednej baraniej kamizelce i po 7 kg chleba na drogę» (155). Jedną z tych kamizelek sprzedali niezwłocznie na *tołkuczce* (rynek starzyzny) za 165 rb.

Tak wyglądało w szczegółach zetknięcie się autora i współtowarzyszy jego niedoli z warunkami życia «wolnych robotników» sowieckich. Podkreślić należy, że byli to ludzie nieprzyzwyczajeni do pracy fizycznej (jeden profesor uniwersytetu, o zawodach trzech pozostałych autor milczy), wyczerpani wielomiesięcznym więzieniem i rzuceni w całkowicie obce środowisko, a zatem z jednej strony na pewnym stopniu «uprzywilejowani» jako «amnestionowani Polacy» w stosunku do normalnych robotników sowieckich, z drugiej niewątpliwie upośledzeni. Tu bylecy musieli znać lepiej miejscowe warunki, umieć lepiej «oszukiwać» i mieć lepsze, choć może mniej oficjalne, stosunki z osobami dysponującymi dobrami materialnymi. Poza tym większość z nich była bardziej zaprawiona do wszelkiego rodzaju pracy fizycznej oraz posiadała takie czy inne kwalifikacje zawodowe uzasadniające wyższe zarobki. Polacy, znalazłszy się «na dnie» społecznym, nie znając języka ani miejscowych stosunków, podczas swego czterotygodniowego pobytu na «fabryce kożuchów» nie mieli możliwości ani okazji zetknięcia się z normalnym, zawodowo wykwalifikowanym robotnikiem przemysłowym. Obracali się w kołach takich sami jak oni «*lumpen* proletariuszy». Z tego wynika, że kwalifikacje autora do występowania w charakterze «eksperta» o warunkach życia przeciętnego robotnika sowieckiego są analogiczne do kwalifikacji cudzoziemca, który by po wypuszczeniu z więzienia w Newcastle czy Durhamie i 6-cio tygodniowym tam pobycie zechciał wydawać sąd o stopie życiowej i warunkach pracy robotnika angielskiego.

Wydaje się, iż nie ma racji przypuszczać by przeciętny, z dawna osiadły na miejscu, robotnik sowiecki jadł gorzej, niż zwol-

nieni z obozu Polacy. Szczegółowo opisane wyżej pożywienie autora w czasie pobytu w Omsku było więcej niż skromne w porównaniu do standardu zachodniego, a jednak o wiele przewyższało podane w przedmowie rzekomo «normalne» pożywienie «przeciętnego» robotnika sowieckiego: «kasza, źle wypieczony chleb (jeśli jest!) i jeden śledź na miesiąc». Tego rodzaju dieta (gorsza niż w sowieckich więzieniach i obozach) nie wystarcza dla podtrzymania organizmu ludzkiego, zaś wszelka kłamliwa przesada w opisie warunków w Sowietach jest nie tylko niepotrzebna, lecz również bardzo szkodliwa, gdyż ze względu na swą oczywistą nieprawdopodobność, podważa zaufanie do prawdziwych relacji o sowieckim życiu. Niewątpliwie wbrew swym intencjom autor idzie tu na rękę elementom, urabiającym opinię na Zachodzie, iż niczemu, co mówią Polacy o Rosji, wierzyć nie można.

Duży niesmak budzą luźne rozrzucone w książce uwagi o stosunkach w polskich placówkach opieki w ZSSR. Nacechowane płytką demagogią i całkowitym niezrozumieniem olbrzymich trudności zorganizowania — początkowo z niczego — pomocy dla setek tysięcy zwolnionych z obozów, więzień i osiedlenia nędzarzy polskich w ten sposób, by wszystkich zadowolnić, obracają się mimowoli przeciwko samej osobie autora. Przy ujawnionej w książce skłonności do «dygnitarstwa» — «Poleciłem koł. K.», «Przecież wojsko powinno nas poszukiwać, a nie my wojska» (131), «Osadzam z miejsca» jakiegoś 20-letniego młodzika, który «z opaską na rękę basowym głosem chce mnie uczyć porządku» — musiał on, po zrobieniu w szybkim tempie «kariery» w ambasadzkiej opiece społecznej, wywoływać wiele podobnych uwag ze strony bardziej spóźnionych w dotarciu do polskich placówek rodaków.

Wreszcie kwestia stylu. Poważne wydawnictwo nie powinno dopuszczać, by w wydawanych pod jego firmą książkach znajdowały się takie «kwiatki» stylistyczne, jak: «Rozmówcą naszym okazał się być...» (137), «Codziennie przychodzą pod stację dwie tegie panny, a może i mężatki» (188) i wiele innych.

Wiktor SUKIENICKI.

Listy do Redakcji

Do Redakcji "Kultury",

W nrze "Kultury" 7/33-8/34 p. Z. Markiewicz w artykule "Przyjaciele Moskale" omawia m. in. trzy osoby. Pragnę dodać tu kilka szczegółów, ale i wysunąć nieco wątpliwości:

Makryna Mieczysławska. — Że nie była księżną Bazylianek, za którą się podawała, to po badaniach O. Urbana nie ulega wątpliwości. Czy jednak była agentką rosyjską? Nie mam pod ręką publikacji O. U., ale pamięć myliłaby mnie niezwykle, gdyby O. U. to twierdził. Przeciwnie, powiada że jej rewelacje, przyjmowane powszechnie za autentyczne, były nie na ręce przedstawicieli Rosji, kompromitując metody jej rządów, i że zaprzeczali zeznaniom czemu nikt zresztą nie wierzył. Opiekowali się Makryną najbardziej Zmartwychwstańcy. Jełowicki obwoził ją po Francji i ciceronował po Rzymie, on tłumaczył na francuskie jej zeznania, na włoskie pod jej wpływem O. Ryłło, i oni utorowali jej drogę do Watykanu.

Towiański. — Teza że był agentem rosyjskim jest stara. Na ten temat broszurę w II połowie w. XIX ogłosił x. Różański (jeśli dobrze pamiętam nazwisko). Miałem ją w rękę przed 50 laty, dowodzenia nie przypominam sobie.

Cokolwiek bądź działalność T-go należy ocenić jako nadzwyczaj złą. On przecież odwiódł Mickiewicza od twórczości poetyckiej, właśnie gdy ten, jak świadczą pierwsze kursa Literatury Słowiańskiej, doszedł do wyżyn swego rozwoju. Odkąd Mickiewicz uwiarył w mistrza Andrzeja, poziom kursów obniżył się wyraźnie. Ostatecznie postradał katedrę, a tym samym Polska jedyną w swoim rodzaju trybunę międzynarodową. Trudno o większą szkodę. Jeżeli Towiański był agentem rosyjskim, to zaiste wywiązał się z zadania nadkompletnie.

Ksawera Deyblówna. — Pisze p. Markiewicz, że była prototypem Judyty z "Xiędza Marka" i Ody oraz Pychy z "Króla-Ducha". Ok. r. 1930 ogłosiłem w "Pamiętniku Literackim" artykuł pt.: "Deyblówna w Poezji Słowackiego" gdzie wywodząc to samo, dodałem że była również pierwowzorem Krystyny z "Rapsodu" o Bolesławie Śmiałym i może kilku pomniejszych postaci. Jeżeli p. M. doszedł do swego zdania niezależnie od mego artykułu, potwierdza to moją tezę.

Czy D. była Żydówką? Jest nią, neofitka Judyta. Dlaczego, jeśli nią nie była, poeta tak ją przedstawił? Czy to aluzja do nawrócenia na wiarę Towiańskiego (X. Marka)? Problem dwóch wiar nasuwa się także przy Odzie, choć w innej formie.

Pycha w "Królu-Duchu" zapatrzyła się na gwiazdę północy, skłamała, rzuca urok na Polskę. Czy to aluzja do agentki rosyjskiej?

Dialogi Judyty i Kossakowskiego (podług Kleimera: samego Słowackiego) oraz Ody i Mieczysława dają może wskazówkę o sposobie, w jaki D. pozyskiwała czy utwierdzała adeptów Towianizmu. M. i. powraca w nich motyw małżeństwa ("Ja się z tobą żenić gotów"). Inaczej, ujemnie, ale coś podobnego Mieczysław i Oda. W równoczesnej korespondencji poety znajdujemy wzmianki o możliwości małżeństwa.

Jakie są dane że Deyblówna rozbiła porozumienie Słowackiego i Mickiewicza? Zwykle się przyjmuje, że najistotniejszy powód to adres Towiańczyków do Mikołaja. Mnie się wydaje wątpliwe czy Mickiewicz myślał kiedykolwiek szczerze o porozumieniu. W antypatii mogła go utwierdzać Deyblówna. Że ani ona ani Towiański nie byli zadowo-

leni z transpozycji w "X. Marku", tego dowodzi ujemne o nim zdanie Mickiewicza w Literaturze.

"Matka dziecka nie wiadomo czyjego", D-a wytoczyła proces Mickiewiczowi o alimenty, co nie stanowi jeszcze dowodu, iż tak było na prawdę. Jedną z moich znajomych, zaprzyjaźnioną z domem Mickiewiczów, mówiła mi ok. r. 1935 że znalazłszy w antykwariacie w Warszawie czy w Paryżu ogłoszone drukiem listy Deyblówny do Mickiewicza, wykupiła i posłała p. Maryli Mickiewiczównie. Ile pamiętam, Mainard ogłosił wspomnienia o Mickiewiczu.

Ok. r. 1930 śp. W. Charkiewicz ogłosił w "Słowie" wileńskim artykuł o Mieczysławskiej i Towiańskim. Zwróciłem mu wtedy uwagę na Deyblównę. Odpowiedział mi, że poszukiwał jej śladów w aktach urzędów i archiwów wileńskich — bezowocnie. Może to przypadek, że się nic nie zachowało — ale może, jeżeli była agentką rosyjską, kompetentne czynniki umyślnie usunęły wszystko. Jeśli kto kiedy dotrze do archiwów centralnych Ochrony, może się te sprawy wyjaśnić.

Agentka czy nie agentka rosyjska, Deyblówna była agentką mistyczną Towiańskiego, niejako wędką na jaką łowił adeptów. Jest to objaw pospolity że herezjarchowie się posługiwali kobietami aby szerzyć swoje idee. Klasyczny przykład to ów Szymon Mag co woził z sobą niejaką Helenę, wydobytą z greckiego czy syryjskiego lupanaru, a przedstawiał jako wcieloną Mądrość Bożą (Sofia).

Zupełnie się zgadzam z p. Markiewiczem, że Deyblówna zasługuje na specjalne opracowanie — gdyby to było we Francji, miałyby je dawno. Sądzę, że z tego doskonale by się wywiązała p. Maria Czapska.

X. Kamil KANTAK

Szanowny Panie Redaktorze,

W 7/8 (33/34) numerze "Kultury", w artykule p. Wł. Poboga-Malinowskiego pt.: "Nocna z rodakiem rozmowa" na str. 152, wśród kilku informacji podobnego rodzaju, znajduję się uwaga: "Jak najgorsze wrażenie zrobił w kraju artykuł — nie pamiętam dobrze — zdaje się Terleckiego, dający bilans cierpień Polaków podczas wojny".

Pragnę stwierdzić, że nigdy takiego artykułu nie ogłosiłem. W pierwszych latach po Jacie pisałem wiele (m. in. w "Kulturze") na temat emigracji. Niektóre z tych wystąpień były atakowane przez prasę krajową, często przez moich dawnych przyjaciół. Dopuszczam, że w pewnych kręgach społeczeństwa mogły one wyrzeźić złe, a nawet "najgorsze" wrażenie. Uchylam się jednak od odpowiedzialności za artykuł przypisany mi przez zawodną pamięć.

Korzystam z nadarzonej okazji, aby zwrócić uwagę na wieloznaczność terminów: "kraj", "w kraju". Rozmówca p. Malinowskiego, którego uczciwości niepodobna zresztą kwestionować, nie określa co przez te terminy rozumie: opinię inspirowaną i kontrolowaną, czy swobodną? Jawną czy poufną? Opozycyjną wobec panującego porządku, bierną czy fatalistycznie z nim pogodzoną? Odruchowo emocjonalną, czy krytyczną?

Sądzę, że należy dążyć do takiej ścisłości. Mają prawo domagać się jej pisarze emigracyjni, którzy w czasie największego zamętu uczuć i pojęć usiłowali określić stosunek społeczeństwa polskiego na wygnaniu do jego macierzystego trzonu w kraju. Pisząc w takich okolicznościach, liczyli się oni z tym, że ich usiłowania będą oceniane rozmaicie, że reakcja będzie podzielona. Jeśli dziś notuje się te oceny, należy ściśle, tak ściśle jak to jest możliwe, określać zakres i charakter tej reakcji. Tylko wtedy stwierdzenia — dotyczące oczywiście autorów rzeczywistych, nie domniemyanych — mogą być ważne i cenne.

Londyn, 3 października 1950.

Tymon TERLECKI.

Alicia Rolleder
4334 W. Walton St.
Chicago 51. Ill.

Chicago, dnia 25 sierpnia 1950 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z listem P. Z. Ossowskiego, zamieszczonym w Nr. 2/28 "Kultury" pragnę tą drogą podziękować P. Ossowskiemu za poczynione słuszne uwagi i sprostowania do zestawienia "Druków Polski Podziemnej i Wydawnictw Powstańczych", dotyczących mego pierwszego męża śp. Lucjana Rościszewskiego i wydawanego przez niego pisma "ZNAK".

Ze swej strony pragnę jedynie wyjaśnić pewną nieścisłość, mianowicie właściwym imieniem mego pierwszego męża było Lucjan, a nie jak podaje P. Ossowski — Andrzej. Imię Andrzej używane było przez niego jedynie jako pseudo.

Łączę wyrazy poważania,

Alicia ROLLEDER I-Voto Rościszewska

Redaktor przyjmuje po uprzednim porozumieniu się listownym lub telefonicznym

Redakcja KULTURY rękopisy nadesłane a nie zamówione zwraca jedynie przy załączeniu znaczków pocztowych na porto

KULTURA omawia w pierwszym rzędzie książki i czasopisma nadsyłane do redakcji w 2-ch egzemplarzach

Cena ogłoszeń: cała strona 6.000 fr. fr.; ½ strony 4.000 fr. fr.

Wydawca: EDITION ET LIBRAIRIE « LIBELLA »
12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV^e)

Directeur-gérant: Roger Grosjean.

Dépôt légal: 4^e trimestre 1950.

KULTURA

pod redakcją Jerzego Giedroycia

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (Seine-et-Oise).
Telefon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		½-roczna	Roczna
FRANCJA: "LIBELLA", 12, rue St-Louis en l'Île, PARIS IV ^e	120 fr.	770 fr.	1446 fr.
W. BRYTANIA: "GRYF", Publications Ltd., 169/171, Battersea Church Road, LONDON, S.W. 11	3 sh.	16 sh.	3 ⁰ sh
WŁOCHY: Jan GROCHOWSKI, 81, via della Croce, ROMA.	200 lir	1200 lir	2000 lir
SZWECJA: Red. Norbert ŻABA, Kaliskärsgatan 3/IV, STOCKHOLM.	2,50 kr.	12 kor.	2 ⁴ kor.
NIEMCY: "Universum", (14 a), HEILBRONN/N., Badenerhof, US. Zone.	2,50 DM	15 DM	25 DM
ARGENTYNA: Jan Miecznikowski i Tadeusz Dąbrowski, "SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ", Av. Leandro N. Alem 641, BUENOS AIRES	6 peso	36 peso	72 peso
KANADA: BOOKS AND NEWSPAPERS AGENCY, H. R. Radomski, 83, Front St. E., TORONTO Ont	75 cent.	4 dol.	6 dol.
U.S.A.: Na stan New York — S. DZIARCZYKOWSKI, 414 Prospect Ave, BROOKLYN 15, N. Y. Na stan Illinois — Józef BIAŁASIEWICZ, 2339 N. Sawyer Ave., CHICAGO 47, Ill. Na stan California — L. DUDAREW-OSSETYNSKI, 28471 Ventura Boulevard, AGOURA, California. Na stan Michigan — Kazimierz TROJANOWSKI, 6042 Jos. Campau, DETROIT 11, Mich. Na stany Ohio, New Jersey, Pennsylvania, Indiana, Wisconsin, Florida, Virginia i West Virginia — Chrystian M. KRETOWICZ, 1828 Glenwood Ave, TOLEDO 2, Ohio. Na pozostałe stany — M. K. DZIEWANOWSKI, 38 Quincy Street, CAMBRIDGE, Mass.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
BELGIA i KONGO BELG.: Marie Christ. JANTA-POLCZYŃSKA, 24, Grande Rue au Bois, BRUXELLES, 3, Konto Cheque Postal 244 113 — Bruxelles ..	25 bfr.	120 bfr.	210 bfr.
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz KRUSZYŃSKI, 71, Raglan Street, Sydenham, JOHANNESBURG	3 sh.	16 sh.	30 sh.
AUSTRALIA: VISTULA (Australia) PTY, Ltd., 77, Pitt Street, SYDNEY	4 sh. (a.)	£A1.0.3.	£A1.18.0.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Julia BARCINSKA, r. Erasmo Braga 227 s. 214, RIO DE JANEIRO oraz Zofia KIETLIŃSKA, Av. Batel 1514, CURITIBA, Parana.	15 cruz	90 cruz	150 cruz
SZWAJCARIA: Zbigniew MAŁECKI, 8, Kistlerweg, BERN, 16	1,80 fr. szw	10 fr. szw	18 fr. szw

Koszta przesyłki pojed. nru: 20 fr. fr.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 1, Av. Corneille, Maisons-Laffitte (S.-et-O.).

„ORZEL BIAŁY”

TYGODNIK POLITYCZNO-LITERACKI

WYDAWCA: **GRYF PUBLICATIONS LTD.**
169/171, **Battersea Church Road, London S.W.11**
Tel. **BATtersea 0879**

ADRES REDAKCJI: c/o **R. PIESTRZYŃSKI,**
32 Blenheim Gardens — London N.W.2.

*Przedstawicielstwa w Austrii, Belgii, Francji,
Holandii, Norwegii, Szwajcarii, Szwecji i we Włoszech
Nadto w Argentynie, Kanadzie, Libanie, Płd. Afryce
w Stanach Zjednoczonych.*

● Cena egzemplarza:

We FRANCJI 25 franków fr. * W BELGII 5 franków belg
W WIELKIEJ BRYTANII: 1/-

● P r e n u m e r a t a :

We FRANCJI miesięcznie 100 fr. fr.; kwartalnie 300 fr. fr
W BELGII miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belg.
W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/
roczn e 45/.

● Prenumeratę przyjmują:

WE FRANCJI: *Libella*, 12, rue St. Louis en l'Île, Paris IV
nr. konta pocztowego Paris cc 565.150.

W BELGII: *J. Roskiewicz*, 44, Rue Vinçotte — Bruxelles
nr. konta pocztowego 3172.28.

W ARGENTYNIE: *Składnica Książki Polskiej*, Av. Leandro
N. Alem. 641, Buenos Aires.

OGŁOSZENIA: (za 1 cal przez 1 łam = £ 1)
przyjmują przedstawicielstwa „Orla Białego,
na terenie zaś W. Brytanii wyłącznie firma

CARLTON BERRY LTD.,
Grand Buildings, Trafalgar Sq., LONDON W.C.2.

Cena 120 frs.